



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Żnak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

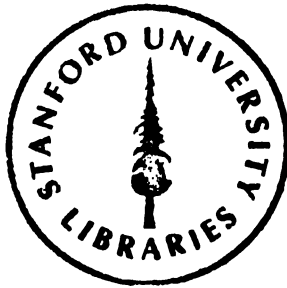
Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

Pisma

Henryk
Sienkiewicz

82472






RODZINA POŁANIECKICH

II

P I S M A

HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XXV



RODZINA POŁANIECKICH

TOM II



Henryk Sienkiewicz

RODZINA POŁANIECKICH

POWIEŚĆ

WYDANIE DRUGIE

TOM II

NAKLAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW

WARSZAWA

GEBETHNER I WOLFF

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1897

PG 1158

S4

1883

v. 25

Дозволено Цензурою.
Варшава, 14 Марта 1896.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

I.

Podczas tych wszystkich rozterek duchowych, przez które przechodził Połaniecki, interesa Domu handlowego rozwijały się jednak pomyślnie. Dzięki zdrowemu rozsądkowi, pilności i czujności Bigiela, bieżące sprawy były załatwiane zawsze z jednakością dokładnością, która ze strony klientów Domu usuwała wszelką możliwość zawodu, niezadowolonia, skarg. Dom zyskiwał z każdym dniem na opinii, rozszerzał zwolna i stopniowo działalność, porastał w pierze. Połaniecki zresztą pracował nie z takim wprawdzie spokojem, jak dawniej, ale nie mniej od Bigiela. Ranne godziny spędzał codziennie w biurze, im zaś większe były jego duchowe frasunki, im nieporozumienia z Marynią stawały się od chwili jej przyjazdu do Warszawy głębsze, tem pracował gorliwiej. Ta robota, najczęściej ciężka i chwilami wymagająca nawet dość natężonego myślenia, ale nie stojąca w żadnym związku z tem, co go bolało, i nie mogąca przyczynić żadnej wewnętrznej troski, stała mu się w końcu rodzajem przystani, w której się chował przed burzą. Połaniecki począł ją lubić. „Tu przynajmniej wiem, co robię i do czego

dążę (mówił Bigielowi), tu wszystko jest bardzo jasne: jeśli nie znajdę szczęścia, znajdę przynajmniej to rozszerzenie życia i tę swobodę, którą daje pieniądz, i tem lepiej dla mnie, jeśli potrafię na tem poprzestać“. Ostatnie wypadki utwierdziły go tylko w tych myślach. Rzeczywiście, od strony uczuć przychodziły nań wyłącznie zmartwienia. Ta siejba dawała gorzkie żniwo, podczas gdy jedyne powodzenia, których doznał, a które bądź-cobądź, krzepią i bronią w życiu od nieszczęścia, dał mu ów Dom handlowy. Sam Połaniecki myślał z pewnem zdziwieniem, że tak jest, ale tak nie było. Sam czuł ciąsnotę tego zadowolenia, które mógł dać Dom; ale jednocześnie mówił sobie, że skoro nie można inaczej, to trzeba i bezpieczniej jest na tem poprzestać, albowiem lepiej jest być wyłącznie kupcem, któremu się powodzi, niż romantykiem, którego wszystko zawodzi. Więc od śmierci Litki postanowił tem bardziej stłumić w sobie wszystkie te porywy, którym rzeczywistość nie umiała odpowiedzieć i które nie przynosiły nic, prócz zgryzot. Oczywiście Bigiel rad był z takiego usposobienia swego współnika, które Domowi mogło przynieść tylko korzyść.

Połaniecki nie mógł jednak stać się w ciągu kilku tygodni człowiekiem zupełnie obojętnym na to wszystko, z czem niegdyś związane było jego serce. Skutkiem tego od czasu do czasu odwiedzał Litkę, której kamień grobowy pokrywały już rankami białe, zimowe szrony. Dwukrotnie spotkał na cmentarzu panią Emilię z Marynią. Raz odwoził je do miasta i wówczas pani Emilia poczęła dziękować mu za pamięć o małej. Połaniecki zauważył, że czyniła to ze względnym spokojem, zrozumiął zaś ten

spokój, gdy przy pożegnaniu rzekła mu: „Ja teraz ciągle myślę, że ona, żyjąc sama w wieczności, uważa to rozłączenie za tak krótkie, jak jedno mgnienie oka — i pan nie wie, co to za pociecha, że przynajmniej nie tęskni“. Połaniecki powiedział sobie w duszy: „No, że nie wiem, to nie wiem!“ Jednakże głębokie przekonanie, z jakim mówiła pani Emilia, uderzyło go: „Jeśli to są złudzenia — pomyślał — to są prawdziwie żywotne złudzenia, skoro potrafią nawet z piwnicy grobowej wyciągnąć soki dla życia...“

Marynia potwierdziła zresztą, w pierwszej rozmowie z Połanieckim, że pani Emilia żyje tylko tą myślą. To jedno łagodziło jej żal. Po całych dniach nie mówiła z Marynią o niczem innym i powtarzała tak uporeczywie w kółko, iż śmierć widziana od strony Boga jest rozłączeniem na jedno mgnienie oka, że ta uporeczywość poczęła Marynię niepokoić.

— Mówi też o Litee — rzekła w końcu panna Pławicka — jakby dziecko nie umarło i jakby je miała jutro zobaczyć.

— To i szczęście — odpowiedział Połaniecki. — Waskowski oddał jej rzetelną usługę. Taki gwóźdź w głowie nie boli.

— A przecież ona ma słuszność, bo to tak jest...

— Nie będę pani zaprzeczał.

Marynię niepokoiła wprawdzie uporeczywość, z jaką pani Emilia wracała ciągle do jednej myśli; z drugiej strony jednak sama patrzyła na śmierć nie inaczej, więc ów odcień sceptycyzmu, widoczny w słowach Połanieckiego, dotknął ją nieco i zabolął.

Nie chcąc wszelako zdradzić się z tem, zmieniała rozmowę.

— Kazałam powiększyć fotografię Litki — rzekła. — Wczoraj mi odniesiono trzy egzemplarze. Jeden dam Emilce. Bałam się poprzednio, że to ją nadto wzruszy, ale teraz widzę, że można. Owszem: będzie jej bardzo miłe.

To powiedziawszy, wstała i poszła do półek z książkami, na których leżały obwiniete w bibulkę fotografie, następnie siadła obok Połanieckiego przed małym stolikiem i poczęła je rozwijać.

— Opowiadała mi Emilka — rzekła — jakąś wazszą rozmowę, na krótko przed śmiercią małej, w której Litka powiedziała, że życzyłyby sobie, żebyście we troje byli brzożami i rośli blisko siebie. Pamięta pan tę rozmowę?

— Tak, przypominam sobie. Dziwiła się, że drzewa tak długo żyją, a potem namyślała się, jakimby chciała być i najlepiej jej się podobała brzoza.

— Tak. A pan powiedział, że także chciałby rosnąć blisko... Więc ja teraz naokół tych fotografii, na passe-partout, chciałam wymalować brzozy. O, tu, widzi pan, zaczęłam, ale nie bardzo mi idzie, bo naprzód dawno nie miałam farb w ręku, a powtóre, nie umiem malować z pamięci.

To rzekłszy, wydobyla jedną z fotografii i poczęła pokazywać Połanieckiemu podmalowane akwarelą brzozy, że zaś wzrok miała nieco krótki, więc pochyliła się nad swoją robotą, tak, że skroń jej znalazła się przez chwilę tuż przy skroni Połanieckiego.

Nie była mu już ona dawną Marynią, o której ma-

rzył, wracając wieczorami od pani Emilii, i która wypełniała mu wówczas całą duszę. Ten czas minął. Myśli jego odeszły w inną stronę. Natomiast Marynia nie przestała być typem kobiecym, czyniącym wyjątkowo silne wrażenie na jego męskie nerwy, i teraz, gdy skroń jej dotykała niemal jego skroni, gdy jednym rzutem oczu objął jej matową twarz, zarumienione nieco policzki i pochyloną nad malowidłem postać, odczuł ów pociąg z dawną siłą i żartka krew poczęła mu napędzać równie żartkie myśli do głowy.

— Gdybym jej teraz zaczął całować oczy i usta — powiedział sobie — ciekawym, jakby postąpiła?

I na jedno mgnienie oka porwała go chęć, by to uczynić, choćby przytem obrazić śmiertelnie Marynię. Za to długie odpychanie go, za tyle niepokoju, trosk i zmartwień, chciałby był mieć taką chwilę zapłaty i — może zarazem — zemsty.

Tymczasem Marynia, przypatrując się robocie, mówiła dalej:

— Dziś mi się to wydaje gorsze jeszcze, niż wczoraj. Na nieszczęście, drzewa nie mają teraz liści i nie będę mogła znaleźć modelu.

— Nie — rzekł Połaniecki — to wcale niezła grupa. Tylko jeśli te drzewa mają wyobrażać panią Emilię, Litkę i mnie — to czemu pani zrobiła cztery brzozy?

— Czwartą, to ja — odrzekła z pewną nieśmiałością Marynia. — Ja także chciałabym kiedyś tak rosnać razem...

Połaniecki spojrział na nią bystro, ona zaś, obwijając nanowo fotografie, poczęła mówić, jakby się śpiesząc:

— Tyle się rzeczy dla mnie związało ze wspomnieniem tej dziecinki... Byłam w ostatnich czasach prawie ciągle z nią i z Emilką... Emilka, to dziś dla mnie jedna z najbliższych w świecie osób... Ja tak samo należałam do nich, jak i pan... Nie wiem dobrze, jak to powiedzieć... Było nas czworo, a teraz zostało troje — związanych przez Litkę... Bo ona nas związała. Ja teraz, jak o niej myślę, to zarazem myślę o Emilce i o panu... Dlatego postanowiłam wymalować cztery brzozy, a widzi pan, że jest trzy fotografie: jedna dla Emilki, jedna dla mnie, a jedna dla pana.

— Dziękuję pani — odrzekł Połaniecki, wyciągając ku niej rękę.

Marynia oddała mu uścisk bardzo serdecznie i rzekła:

— Dla jej pamięci też powinniśmy zapomnieć o wszystkich dawnych urazach.

— To się już stało — odpowiedział Połaniecki — a co do mnie, to chciałem, żeby tak było jeszcze na długo przed śmiercią Litki.

— To też odtąd zaczęła się moja wina, za którą pana przepraszam.

I znów podała mu rękę. Połaniecki zawahał się przez chwilę, czy ma ją podnieść do ust, nie uczynił tego jednak, tylko rzekł.

— A więc zgoda?

— I przyjaźń? — odpowiedziała Marynia.

— I przyjaźń.

W oczach jej odbiła się głęboka spokojna radość, która opromieniła całą jej twarz łagodnym światłem. Było w niej teraz tyle dobroci i ufności, że Połanie-

kiemu mimowoli przypomniła się owa dawna Marynia, którą widział w Krzemieniu, gdy siedziała na ganku ogrodowym, w promieniach zachodzącego słońca.

Jednakże od śmierci Litki był on w takim nastroju, że podobne wspomnienia uważał za niegodne siebie, więc wstał i począł się żegnać.

— Nie zostanie pan z nami na cały wieczór? — spytała Marynia.

— Nie, pani, muszę wracać.

— Powiem Emilce, że pan wychodzi — rzekła, idąc ku drzwiom przyległym.

— Ona teraz albo rozmyśla o Litce, albo się modli, inaczej byłaby tu sama przyszła. Niech jej pani nie przerywa, a ja i tak jutro przyjdę.

Na to Marynia zbliżyła się ku niemu i, patrząc mu w oczy z wielką serdecznością, rzekła:

— I jutro i codziennie. Wszak prawda? Niech pan pamięta, że pan jest teraz dla nas „pan Stach.“

Od śmierci Litki drugi raz Marynia nazwała go w ten sposób, to też, idąc do siebie, Połaniecki myślał:

— Jej stosunek do mnie jest zupełnie zmieniony. Ona się poczuwa po prostu do przynależności do mnie, bo się do tego zobowiązała obietnicą, daną umierającemu dziecku, gotowa nawet pokochać się we mnie i nie pozwoli sobie nie pokochać się... Takich u nas na tuziny.

I nagle począł się złościć:

— Znam te rybie natury z zimnem sercem, a natomiast egzaltowaną głową, pełną tak zwanych zasad. Wszystko dla zasady, wszystko dla obowiązku — nie samorzutnego w sercu! Mógłbym zdechnąć przy jej no-

gach i nic nie wskórać, dopiero gdy *obowiązek* każe jej mnie pokochać, to będzie kochała nawet rzeczywiście.

Widocznie Połaniecki przywykł w swoich włóczęgach za granicą do innego rodzaju kobiet, a przynajmniej o innych zapewne naczytał się w książkach. Ponieważ jednak miał przytem trochę i zdrowego rozsądku, więc ten rozsądek począł do niego także przemawiać:

— Słuchaj Połaniecki — (mówił) — toż to są właśnie dlatego wyborowe natury, nadzwyczaj pewne, na których można budować, na których można oprzeć życie. Czyś ty zwaryował! Tobie przecie chodziło o żonę, nie o przemijającą awanturę miłosną.

Ale Połaniecki nie przestawał się zżymać i odpowiadał rozsądkowi:

— Jeśli mam być kochany, chcę być kochany dla samego siebie.

Rosądek próbował jeszcze tłómaczyć mu, że wszystko jedno, jak się miłość zaczyna, bo potem nie może być inaczej kochany, jak dla samego siebie, w tym zaś wypadku, po owych pracach i rozdrażnieniach, to jest rzeczą i zarazem naturalną i niemal cudowną, niemal opatrnościową, że zaszło coś takiego, co od razu złamało zapory. Ale Połaniecki nie przestawał się dąsać.

Rosądkowi przyszedł wreszcie na pomoc i ów pociąg, i owo upodobanie w Maryni, na mocy którego Połaniecki widział w niej więcej uroku, niż w każdej innej kobiecie. Ten pociąg mówił z kolei:

— Nie wiem, czy ją kochasz, czy nie, i mniejsza o to, ale dziś, gdy się zbliżyła do ciebie ramieniem i twarzą, małoś ze skóry nie wyskoczył. Czemu cię taki

dreszcz nie przejmuję, gdy siedzisz koło innej kobiety? Pomyśl, co za różnica!

Ale Połaniecki odpowiadał na to wszystko:

— Ryba! Obowiązkowa ryba!...

I znowu przyszła mu myśl: Łapże ją, skoro ten gatunek wolisz, niż każdy inny. Ludzie się jednak żenią i na ciebie czas. Czego będziesz więcej szukał? Czy takiej jakiejś miłości, z której pierwszy gotów jesteś się wyśmiewać... Miłość twoja zgasła — dobrze! ale został pociąg i to przekonanie, które jednak masz, że to uczciwa i pewna kobieta.

— Tak — myślał dalej — ale z miłości, czy głupiej, czy mądrej, płynie wola, a czy ja ją teraz mam? Nie, bo się waham, podczas gdy poprzednio nie wahałem się. Powtóre, trzeba zważyć, co lepsze: czy panna Pławicka, czy „*mu*“ i „*winien*“ w Domu pod firmą Bi-giel i Połaniecki. Pieniądz daje potęgę i swobodę, a ze swobody najlepiej się korzysta, gdy się nikogo nie dźwiga ani na ramionach, ani w sercu.

Tak rozmyślając, przyszedł do domu i położył się spać. W nocy śniły mu się brzozy na wydmach, spokojne niebieskie oczy i czoło ocienione ciemnymi włosami, od którego biło ciepło.

II.

W kilka dni później, rano, zanim wyszedł do biura, przyszedł do niego Maszko.

— Przychodzę do ciebie w podwójnym interesie — rzekł — ale zaczynam od pieniężnego, żeby ci zostawić swobodę powiedzenia: „Tak, lub nie.“

— Mój drogi, pieniężne interesa załatwiam w biurze, więc zacznij od drugiego z kolei.

— To nie jest sprawa waszego Domu, tylko prywatna, dlatego wolę mówić o niej prywatnie. Wiesz, że się żenię, potrzebuję pieniędzy. Wydatków mam, jak włosów na głowie, a przytem spłat co niemiara. Przychodzi termin wypłacenia ci pierwszej raty z owej sumy na Krzemieniu, którą od ciebie nabyłem. Czy nie możesz odłożyć mi terminu jeszcze na kwartał?

— Będę z tobą szczery — rzekł Połaniecki — mogę, ale nie chcę.

— No, to ja będę równie szczery i spytam, co zrobisz, jeśli ci jej nie zapłacę?

— I to się zdarza na świecie — odpowiedział Połaniecki — ale tym razem masz mnie za głupszego niż jestem, bo wiem, że zapłacisz.

— Skąd masz tę pewność?

— Żeniąc się, i to żeniąc bogato, nie możesz narazić się na opinię niewypłacalnego. Z pod ziemi wydusisz, a zapłacisz.

— Z próżnego i Salomon nie naleje.

— Bo nie brał u ciebie lekcyi. Mój drogi, nikt nas nie słyszy, więc powiem ci, że ty przecie całe życie nic innego nie robisz.

— Więc jesteś pewny, że zapłacę?

— Tak.

— Masz słuszność. Chciałem od ciebie grzeczności, do której nie mam prawa. Tylko, że nareszcie i ja czuję się tem wszystkiem zmęczony... Tu brać, tam zatykać — wiecznie żyć w takim kołowrocie — to nareszcie przechodzi siły ludzkie!... Zawijam niby do portu. Za dwa miesiące stanę na innych nogach, ale tymczasem dopływam resztą pary... Nie możesz — trudno!... Jest trochę lasu na Krzemieniu — wytnę go i zapłacę, skoro nie można inaczej.

— Co tam za lasy na Krzemieniu! Stary Pławicki wygolił, co się dało.

— Jest duża dąbrowa za dworem ku Niedziałkowu.

— Prawda. Jest.

— Wiem, że wy z Bigielem robicie i takie interesy. Kupcie odemnie tę dąbrowę. Oszczędzi mi to szukania kupca, a wy możecie wyjść z zyskiem.

— O tem pomówię z Bigielem.

— Więc z góry nie odmawiasz?

— Nie. Jeśli oddasz tanio... możebym nawet i sam... Ale w takich rzeczach potrzebuję obliczyć możliwe zyski

lub straty. Chcę także wiedzieć twoje warunki. Oblicz się i ty. Przyślij mi wykaz, ile tam tego jest — i jakie sztuki. Ja tego nie pamiętam.

— Przyślę ci za godzinę.

— W takim razie wieczór dam ci odpowiedź.

— O jednym warunku z góry cię uprzedzam: nie będziesz miał prawa wyciąć dąbrowy przed dwoma miesiącami.

— Dlaczego?

— Bo Krzemień ogromnie traci bez tej ozdoby, więc po ślubie zaproponuję ci odprzedaż, naturalnie z odpowiednim zyskiem.

— Zobaczymy.

— Prócz tego mam na Krzemieniu margiel. Pamiętaj, żeś sam mi o tem mówił. Pławicki obliczał to na miliony — i to głupstwo! — ale w rękach sprytnych ludzi to naprawdę może być niezły interes. Pomyślcie i o tem z Bigielem; ja przyjąłbym was do spółki.

— Jeśli interes okaże się dobry — po to jest nasz Dom, żeby dobre robił.

— Więc o tem pomówimy później, a teraz wracam do dąbrowy. Ogólny zarys naszego układu niech będzie taki, że ja, zamiast przypadającej raty, daję ci dąbrowę, lub jej część, stosownie do obliczenia; daję ci ją niejako w zastaw, ty zaś zobowiązesz się nie wycinać dębów przed upływem następnego kwartału.

— To mogę zrobić — rzekł Połaniecki. — Oczywiście przyjdą następnie takie kwestye, jak dostawy dębów do kolei etc., o których będziemy mówili przy spisaniu kontraktu, jeśli wogóle będziemy go spisywali.

— Więc przynajmniej jeden ciężar z głowy — rzekł Maszko, trąc ręką czoło. — Wyobraź sobie, że mam takich dziesięć lub piętnaście na dzień, nie licząc rozmów o interesach z panią Krasławską, które są cięższe od wszystkiego, i służby przy narzeczonej, która...

Tu Maszko zaciął się na minutę, lecz nagle machnął ręką i dodał:

— Która także nie jest lekka...

Połaniecki spojrzał na niego ze zdziwieniem. W ustach Maszki, tak przestrzegającego światowych względów w każdym słowie, było to coś niesłychanego.

A Maszko mówił dalej:

— Lecz mniejsza o to. Pamiętasz, jak przed śmiercią Litki omal raz nie przyszło między nami do kłótni... Nie policzyłem się z tem, żeś ty bardzo kochał tę małą, żeś był niespokojny, rozdrażniony i postąpiłem po grubijańsku... Wina była zupełnie po mojej stronie, zatem przepraszam cię.

— To rzecz zapomniana — odpowiedział Połaniecki.

— Przypomniałem ją dlatego, że mam cię prosić o usługę. Jest rzecz taka: Ja nie mam przyjaciół; krewnych, albo nie mam, albo mam takich, z którymi nie warto się popisywać. Teraz muszę szukać družbów i dalsibóg nie bardzo wiem, gdzie się zwrócić... Wiesz, że miałem w ręku interesa rozmaitych paniczyków... Ale prosić pierwszego lepszego pajaca, dlatego, że ma tytuł — nie idzie i nie chce mi się. Chodzi mi o to, bym miał družbów porządnych ludzi, a powiem otwarcie — i porządne nazwiska... Te panie również bardzo na to uważają, więc — czy zechcesz mi družbować?

— Tegobym ci nie odmówił, gdybyś przyszedł w innych okolicznościach. Ale powiem ci, jak jest. Patrz: nie noszę krepy na kapeluszu, ni białych tasiemek przy surducie, więc nie jestem w żałobie, a mimo tego daję ci słowo, że jestem w większej żałobie, niż gdyby mi własne dziecko umarło...

— Tak, nie policzyłem się z tem — rzekł Maszko.—
Przepraszam cię.

Połanieckiego ujęły te słowa:

— Jeśli zresztą bardzo ci na tem zależy... jeśli prawdziwie nie będziesz mógł znaleźć nikogo innego — to niechże będzie, jak chcesz, ale szczerze ci mówię, że po takim pogrzebie ciężko mi być na weselu.

Połaniecki nie powiedział wprawdzie: „na takim weselu“, ale Maszko odgadł jego myśl.

— Przytem — mówił dalej Połaniecki — jest i druga okoliczność. Tyś musiał o tem słyszeć, że było jakieś biedaczysko, doktorzyna..., który kochał się na śmierć w twojej narzeczonej. Wolno jej było nie być wzajemną i nikt jej z tego powodu nie może robić zarzutu, ale tamten swoją drogą pojechał gdzieś, gdzie pieprz rośnie, i lichy go wzięło... rozumiesz? — a ja byłem z nim w przyjaźni, zwierzał mi się ze swoich nieszczęść i wyplakiwał mi się w kamizelki — rozumiesz?... W tych warunkach družbować innemu — sam powiedz?

— I tamten naprawdę umarł z miłości dla mojej narzeczonej?

— Toś ty o tem nie słyszał?

— Nie tylko nie słyszał, ale uszom nie wierzę...

— Wiesz co, Maszko, małżeństwo zmienia czło-

wieka, ale widzę, że i narzeczeństwo. Ja cię wprost nie poznaję.

— Bo jak ci powiedziałem, jestem tak zmęczony, że już mi tchu nie staje, a w takich razach maska spada.

— Co przez to rozumiesz?

— Rozumiem, że są dwie kategorie ludzi: jedni nie robią sobie z niczego nic i sposób postępowania stosują przygodnie do każdej okoliczności, drudzy mają pewien system, którego się mniej więcej konsekwentnie trzymają. Ja należę do tych drugich. Przywykłem do ochraniań pozorów, i co więcej, przyzwyczailem się do tego tak bardzo, że w końcu zmieniło się to w moją naturę. Ale widzisz, gdy się naprzykład podróżuje samowtór w wielki upał — wówczas na człowieka najbardziej „comme il faut“ może przyjść chwila, w której rozepnie nietylko surdut, ale i kamizelkę. Na mnie przyszła taka chwila, więc się rozpinam.

— To się znaczy?

— To się znaczy, iż zdumieniem mnie przejmuje wiadomość, iż ktoś mógł się na śmierć zakochać w mojej narzeczonej, która jest, jak mi to kiedyś w złości dałeś do zrozumienia, zimna, sztywna i tak mechaniczna w ruchach, słowach i myślach, jakby była nakręcana kluczem. To wszystko jest zupełną prawdą — i ja to potwierdzam. Nie chcę, żebyś mnie miał za większego nieponia, niż jestem. Ja jej nie kocham i moje małżeństwo będzie równie sztywne, jak moja narzeczona. Kochałem pannę Pławicką, która mnie odrzuciła. Pannę Krasławską biorę dla jej majątku. Jeśli powiesz, że to jest niegodziwość, odpowiem ci, że tę niegodziwość speł-

niło lub spełni tysiące tak zwanych porządných ludzi, którym podajesz rękę i którym, co więcej, życie nie upływa w rozkoszy, ale też i nie w tragedyi. Kuleje, ale idzie... Później pomaga im przyzwyczajenie, przeżyte lata, które przynoszą jakiś rodzaj przywiązania, dzieci, które się rodzą — i jakoś idzie! Takich małżeństw jest większość, bo większość ludzi woli chodzić po ziemi, niż wspinać się na szczyty. Często nawet insze małżeństwa są gorsze — bo gdy naprzykład kobieta woli latać, a mężczyzna pęłzać, lub odwrotnie — to niema widoków na porozumienie. Co do mnie, napracowałem się jak wół. Pochodząc z rodziny podupadłej, chciałem wypłynąć — do tego się przyznaję. Gdybym chciał być zostać nieznanym kauzyperdą i zbijać tylko pieniądze, mógłbym je zbić i otworzył mojemu synowi na rozcież wrota do życia. Ale ja nie kocham moich dzieci przed ich przyjściem na świat — więc chciałem sam mieć nietylko pieniądze — ale być czemś, coś znaczyć, zająć jakieś stanowisko, zaważyć, jak u nas można zaważyć, więc przynajmniej w życiu towarzyskiem. Z tego wynikło, że co adwokat zarobił, to grand seigneur pochłonał. Stanowisko obowiązuje. Zatem nie mam pieniędzy, znudziła mi się szarpalina, polegająca na wrywaniu dziury w jednym miejscu, żeby ją zatkać w drugim — i dlatego biorę pannę Krasławską, która znów dlatego idzie za mnie, że, jeśli nie rzeczywiście, to pozornie jestem wielkim panem, a raczej udaję wielkiego pana. bawiącego się w adwokaturę... Partye są równe. nieczyjej krzywdy niema i nikt nikogo nie oszukuje. albo. jeśli wolisz. oboje oszukujemy się

w jednakiej mierze. Oto jest cała prawda, a teraz, jeśli chcesz, to mną pogardzaj.

— Dalibóg, że nigdy nie szanowałem cię więcej — odpowiedział Połaniecki — bo teraz podziwiam nie tylko twoją szczerość, ale odwagę.

— Przyjmuję komplement za szczerość, ale w czym widzisz odwagę?

— W tem, że mając tak mało złudzeń co do panny Krasławskiej, żenisz się z nią jednak.

— Bo jestem więcej mądry, niż głupi. Szukałem pieniędzy — prawda, ale czy myślisz, że dla pieniędzy ożeniłbym się z pierwszą z brzegu, która je posiada. Bynajmniej, mój kochany. Ja biorę pannę Krasławską i wiem, co robię. Panna Krasławska ma swoje wielkie przymioty, niezbędne w warunkach, w jakich ją biorę, a ona za mnie wychodzi. Panna Krasławska będzie żoną zimną, nieprzyjemną, kwaśną — a nawet pogardliwą, o ile nie będzie się mnie bała. Ale natomiast panna Krasławska, tak jak i jej matka, ma cześć religijną dla pozorów, dla tego, co wypada lub nie wypada, a ogólnie mówiąc, dla tak zwanej przyzwoitości. To raz. Dalej, niema w niej ani jednego takiego ziarnka, z którego wyrastają awanturnice — i pożycie z nią, tak nieprzyjemne jak być może, nie skończy się nigdy skandalem. To dwa. A po trzecie, jest we wszystkim pedantką, zatem zarówno w pobożności, jak i w spełnianiu tych wszystkich zobowiązań, które na siebie weźmie. To już istotnie wielki przymiot. Nie będę z nią szczęśliwy, ale będę mógł być spokojny, kto wie zaś, czy to nie jest maximum, którego w życiu można żądać. I to ci, mój

kochany, powiadam: gdy będziesz brał żonę, przedewszystkiem myśl o przyszłym spokoju. W kochance szukaj sobie czego chcesz: dowcipu, temperamentu, poetycznego nastroju, wrażliwości, ale z żoną trzeba żyć lata — więc szukaj w niej tego, na czem się można oprzeć — szukaj zasad.

— Nie miałem cię nigdy za głupiego — rzekł Polaniecki — ale widzę, że masz więcej rozumu, niżem myślał.

— Bo widzisz, nasze kobiety, ot naprzykład ze świata pieniężnego, kształcą się naprawdę na francuskiej powieści, a wiesz, co z tego wynika?

— Mniej więcej wiem, ale dziś jesteś tak wymowny, że rad wysłucham twego określenia.

— Oto, że kobieta staje się sama dla siebie Bogiem i prawem.

— A dla męża?

— Kameleonem i dramatem.

— To się tak trochę dzieje w świecie bardzo pieniężnym, a pozbawionym tradycyi. Tam wszystko jest pozorem i toaletą, pod którą siedzi nie dusza, ale mniej więcej wykwintne zwierzątko.

— Ale ten świat bogaty i strojny, bawiący się, przesiąknięty dyletantyzmem artystycznym, literackim, a nawet i religijnym, trzyma białutę i kieruje chórem.

— U nas jeszcze nie.

— U nas jeszcze nie zupełnie. Zresztą, są wyjątki nawet w tym świecie, tem bardziej muszą być poza nim. Tak, u nas są inne kobiety, naprzykład panna Pławicka. Ach, co za spokój, co za bezpieczeństwo, a przytem co

za wdzięk życia z taką, jak ona! Niestety — ona nie dla takich, jak ja!

— Maszko! Spryt gotów ci byłem od biedy przyznać, ale nie wiedziałem, że jest w tobie i entuzjazm.

— Co chcesz: bom się w niej kochał, a teraz żenię się z panną Krasławską!

Ostatnie słowa Maszko wymówił jakby z pewną złością. Poczem nastąpiła chwila milczenia,

— Więc nie będziesz mi družbował? — spytał Maszko.

— Daj mi czas do namysłu.

— Za trzy dni wyjeżdżam.

— Dokąd?

— Do Petersburga. Mam tam interesa. Zabawię ze dwa tygodnie.

— To ci po przyjeździe odpowiem.

— Dobrze. Dziś ci przyślę wykaz moich dębów w trzech rozmiarach... Byle raty nie płacić!

— A ja warunki, pod którymi je kupię.

Tu Maszko pożegnał się i wyszedł, a wkrótce za nim podążył do biura Połaniecki. Po naradzie z Bigielem, postanowił, jeśli rzecz się okaże możliwa i korzystna, kupić dąbrowę na własną rękę. Sam nie umiał sobie zdać sprawy, dlaczego czuł jakąś dziwną chęć zachaczyć się o Krzemień. Po godzinach biurowych myślał także o tem, co mu mówił Maszko o pannie Pławickiej. Czuł doskonale, że mówił prawdę — i że z tego rodzaju kobietą życie może być nie tylko bezpieczne, spokojne, ale i pełne wdzięku. Spostrzegł się jednak, że w tych rozmyślaniach oddaje sprawiedliwość raczej już

tylko typowi, którego Marynia była okazem, niż Maryni samej. Spostrzegł również tysiące niekonsekwencji w sobie. Bo oto było w nim jakieś zniechęcenie, a nawet gniew przeciw kochaniu kogokolwiek lub czegokolwiek, przeciw zapędzaniu serca w jakieś więzy i węzły, tak zwykle poplątane, że aż bolesne. Na samą myśl o tem burzył się i w duchu powtarzał: „Nie chcę! mam tego dosyć! — to jest niezdrowa wybujałość, która prowadzi tu ludzi tylko do zbroczeń i cierpień.“ Jednocześnie zaś miał naprzykład za złe Maryni, że nie pokochała go jakąś wybujałą bezwzględną miłością, a poczęła otwierać mu serce dopiero wówczas, kiedy poniekąd nakazał jej to obowiązkiem. Następnie, nie chcąc kochania, dziwił się jednak, że mu ono tak łatwo poczęło więdnąć i że daleko więcej pragnął Maryni wówczas, gdy ona go nie chciała, niż teraz, gdy okazywała mu się skłonniejszą. „Ostatecznie — myślał — to wszystko prowadzi do tego, że człowiek sam nie wie, czego chce i czego się ma trzymać, to jest do stanu, który niech piorun trzaśnie! Panna Pławicka ma więcej przymiotów, niż się sama domyśla, panna Pławicka jest obowiązkowa, prawa, cicha, piękna, zmysły moje ciągną mnie do panny Pławickiej, a jednocześnie czuję, że panna Pławicka nie jest mi tem, czem była, i że coś we mnie dyabli wzięli.“

— Ale co?

— Jeśli zdolność do kochania — monologował dalej Połaniecki — to ponieważ doszedłem do wniosku, że kochanie jest najczęściej głupstwem, a zbytnie kochanie zawsze głupstwem, więc powinienem być kontent — tymczasem nie jestem kontent.

Lecz po chwili przyszło mu na myśl, że to jest tylko rodzaj osłabienia taki, jaki przychodzi naprzykład po chirurgicznej operacyi, lub po przebytej chorobie — i że życie pozytywne wypełni mu zczasem ową czezość, którą odczuwał.

Życiem pozytywnem zaś był dla niego „Dom handlowy.“

Przyszedłszy na obiad, zastał Waskowskiego i dwóch służących, którzy mrugali na siebie, widząc, jak staruszek podnosi chwilami widelec z kawałkiem mięsa do góry i zamyśla się na śmierć, lub rozmawia sam z sobą. Profesor Waskowski od niejakiego czasu ustawicznie rozmawiał z sobą, i to tak głośno, że ludzie oglądali się za nim na ulicy. Niebieskie jego oczy patrzyły teraz chwilę bezprzytomnie na Połanieckiego, poczem zbudził się jakby ze snu i rzekł, kończąc początą w głowie myśl:

— Ona powiada, że ją to zbliży do dziecka.

— Kto powiada? — spytał Połaniecki.

— Pani Emilia.

— W jaki sposób się zbliży?

— Bo chce zostać Siostrą miłosierdzia.

Połaniecki zamilkł pod wrażeniem tej wiadomości. Mógł on sobie myśleć, co mu przez głowę przeszło, rugować z siebie uczuciowość, filozofować o niezdrowych wybujałościach całego społeczeństwa, w którym żył — w duszy miał jednak dwie jakby świętości: Litkę i panią Emilię. Litka była już tylko drogiem wspomnieniem — natomiast panią Emilię kochał żywem, braterskiem i najtkliwszem uczuciem, którego w rozmyślaniach nigdy nie tykał.

To też przez jakiś czas nie mógł się zdobyć na odpowiedź, następnie spojrzał surowo na Waskowskiego i rzekł:

— Pan, profesorze, namawiasz ją do tego. Ja się w pańskie mistycyzmy i pańskie idee z pod ciemnej gwiazdy nie wdaję, ale wiedz o tem, że bierzesz na swoje sumienie jej życie, bo ona po prostu nie ma sił fizycznych na Siostrę miłosierdzia i w rok umrze — rozumiesz pan?

— Mój drogi — odpowiedział Waskowski — ot i skazałeś mnie sądem doraźnym, nie wysłuchawszy. Czyś ty się zastanawiał nad tem, co znaczy wyrażenie: „mąż sprawiedliwy?“

— Gdy mi chodzi o kogoś blizkiego, drwię z wyrażen.

— Mnie ona wczoraj powiedziała o tem najniespodzianie, a ja ją spytałem: „Moje dziecko, ale czy ty będziesz miała dość siły, bo to ciężka praca?“ Wówczas uśmiechnęła się do mnie i powiada tak: „Nie odmawiajcie mnie, bo to moja ucieczka i moje szczęście. Jeśli się pokaże, że nie mam sił, to mnie nie przyjmą, a jeśli przyjmą, a siły mi nie starczą, to pójdę wcześniej do Litki, a ja tak tęsknię!“ Co ja miałem powiedzieć na taką wolę i taką prostotę? Co ty potrafisz powiedzieć? Kto, nawet niewierzący, śmiały powiedzieć, że może Litki wcale niema, i że życie w pracy, w miłosierdziu, w poświęceniu, a śmierć w Chrystusie, może do Litki nie doprowadzić? Wymyśl jej inną pociechę, ale jaką wymyślisz? Daj inną nadzieję, ukój ją czem innym, ale czem ukoisz? Będziesz ją przecie widział — więc powiedz szczerze: czy ośmielisz się jej odradzać?

— Nie — rzekł krótko Połaniecki.

Po chwili zaś dodał:

— Nic, tylko zmartwienia ze wszystkich stron!

— Jednoby można — mówił dalej Waskowski — namawiać ją, żeby zamiast Sióstr miłosierdzia, u których praca jest nad jej siły, wybrała jaki zakon kontemplacyjny. Są takie, gdzie biedny atom ludzki rozplywa się tak w Bogu, że przestaje żyć życiem osobistem, więc przestaje i cierpieć...

Połaniecki machnął ręką.

— Ja się na tych rzeczach nie rozumiem — rzekł szorstko — i nie wdaję się w nie.

— Właśnie mam tu gdzieś książeczkę włoską o Nazaretankach — rzekł Waskowski, rozpinając surdut. — Nie wiem, gdzie mi się podziała... Wychodząc, gdzieś ją schowałem.

— Co mnie mogą obchodzić pańskie Nazaretanki?

Lecz Waskowski za surdudem rozpiął następnie w poszukiwaniu i kamizelkę, poczem zamyślił się i rzekł:

— Czegóż ja szukałem? A wiem, tej włoskiej książeczki. Za parę dni jadę do Rzymu — na długo, na bardzo długo. Pamiętasz, com ci mówił, że to przedsiönek do innego świata. Już mi czas do bożej sieni. Emilkę bardzobym namawiał, żeby jechała do Rzymu, ale ona od dziecka nie odjedzie. Jako Siostra miłosierdzia zostanie tutaj. Możeby się jej jednak podobała reguła Nazaretanek... Taka pogodna i prosta, jak pierwsze chrześcijaństwo... A ja jadę wkrótce... Nie z głową, mój drogi, bo tam lepiej wiedzą, czego się trzymać, ale z sercem — maluczki, ale miłujący.

— Zapnij profesor kamizelkę — rzekł Połaniecki.

— Dobrze, zapnę. Ja, widzisz, mam coś pod sercem i powiedziałbym ci, boś ty wartki, jak woda, ale ty masz duszę... Widzisz, chrześcijaństwo nietylko się nie kończy, jak się niektórym filozofującym wartogłowom zdaje, ale zrobiło dopiero połowę drogi...

— Kochany profesorze — rzekł łagodniej Połaniecki — wysłucham tego, co mi pan chcesz powiedzieć, chętnie i cierpliwie, ale nie dziś, bo dziś myślę tylko o pani Emilii i po prostu za gardło mnie ściska... To przecie katastrofa!

— Dla niej, nie. Życie jej się przyda — i śmierć również.

Połaniecki zaś począł mruzczyć:

— Dalibóg, nietylko każde mocniejsze uczucie, ale prosta przyjaźń kończy się zgryzotą... Nigdy żadne przywiązanie nie przyniosło mi nic, prócz zmartwień. Bukacki ma słuszność... Z ogólnych przywiązań tylko bieda, z osobistych tylko bieda — i żyj tu w takim otoczeniu!...

Rozmowa urwała się, a raczej zmieniła w monolog profesora Waskowskiego, który począł rozprawiać z sobą o Rzymie i chrześcijaństwie. Po obiedzie wyszli razem na ulicę, pełną brzęku dzwonek od sanek i wesołego zimowego ruchu, albowiem zrana dnia tego spadł dość obficie śnieg, a pod wieczór uczyniło się pogodnie, cicho i mroźno.

— Zapnijże profesor kamizelkę — rzekł nagle Połaniecki, spostrzegłszy rozpięte ubranie Waskowskiego.

— Dobrze, zapnę — odpowiedział Waskowski.

I począł ciągnąć dziurki kamizelki do guzików surduta.

— Lubię jednak tego Waskowskiego — mówił sobie Połaniecki, wracając do domu. — Gdybym się do niego na dobre przywiązał, pewnieby go lichu wzięło, bo taki już mój los. Na szczęście, dotychczas dość mi to obojętne.

I tak mówiąc, Połaniecki wmawiał w siebie rzecz nieistniejącą, albowiem miał szczerą przyjaźń dla profesora Waskowskiego i los jego nie był mu bynajmniej obojętny.

Gdy wrócił do domu, na wstępie uśmiechnęła się do niego twarzyczka Litki z dużej fotografii, którą podczas jego niebytności przysłała Marynia. Jej widok wzruszył Połanieckiego do głębi duszy. Często zresztą doznawał on tego rodzaju wzruszeń, gdy niespodzianie przypomniał sobie Litkę, lub nagle spostrzegł jeden z jej portretów. Zdawało mu się wówczas, że miłość do tego dziecka, pochowana gdzieś w głębi serca, wstawała nagle z dawną żywotnością i siłą, przejmując całą jego istotę ogromną tkliwością i ogromnym żalem. To odświeżanie się żalu było nawet tak bolesne, że go unikał, jak zwykle człowiek unika prawdziwego cierpienia. Teraz jednak było w jego wzruszeniu coś słodkiego. Litka uśmiechała się do niego przy blasku lampy, jak gdyby chciała powiedzieć: „Pan Stach“. Naokół jej główki, na białem obramowaniu, zieleniły się cztery brzozy, namalowane przez Marynię.

Połaniecki stał i patrzył przez długi czas, nakoniec pomyślał:

— Wiem, w czem może być szczęście życia — w dzieciach.

Lecz po chwili rzekł sobie:

— Tylko ja moich własnych nie będę nigdy tak kochał, jak kochałem to biedactwo.

Tymczasem wszedł służący i oddał mu list od Maryni, który przyszedł razem z fotografią. Marynia pisała, co następuje:

— „Ojciec polecił mi prosić pana na wieczór. Emilka przeniosła się już dziś do siebie i woli, żeby do niej tego dnia nie przychodzić. Posyłam panu fotografię Litki i proszę koniecznie o przyjście, chcę bowiem pomówić z panem o Emilce. Papa prosił i pana Bigiela, którego obiecał bawić, będziemy więc mogli pomówić spokojnie“.

Połaniecki po przeczytaniu listu ubrał się i, pozycytawszy czas jakiś, poszedł do Pławickich.

Bigiel bawił tam już od kwadransa i grał w pikietę z panem Pławickim; Marynia siedziała opodal, przy małym stoliku, zajęta jakąś robotą. Połaniecki, przywitawszy się ze wszystkimi, siadł przy niej i począł mówić:

— Dziękuję pani najmocniej za fotografię. Zobaczyłem ją niespodzianie i Litka tak mi stała przed oczyma, że nie mogłem ochłonąć. Wie pani, że takie chwile są miarą żalu, z którego człowiek sobie nawet sprawy nie zdaje. Dziękuję najmocniej! I za cztery brzozy także... Co do pani Emilii, wiem już wszystko od Waskowskiego. Czy to zamiar tylko, czy nieodwołalne postanowienie?

— Prędejj, że to nieodwołalne postanowienie — odpowiedziała Marynia.

— I co pani myśli?

Marynia podniosła na niego oczy, jakby czekając od niego jakiejś rady.

— Ona nie ma na to sił — rzekła wreszcie.

Połaniecki milczał przez chwilę, następnie rozłożył bezradnie ręce.

— Mówiliśmy o tem z Waskowskim — rzekł — ja na niego napadłem, bo myślałem, że to jego myśl, ale on mi przysięgał, że w niczem się do tego nie przyczynił. Pytał natomiast, jaką inną pociechę jej wymyślimy — i nie umiałem mu na to odpowiedzieć. Co jej naprawdę w życiu zostało?

— Tak — odrzekła cicho Marynia.

— I myśli pani, że ja nie rozumiem, skąd się wzięło to postanowienie? Ona po prostu nie chce w niczem swoich zasad religijnych obrazić, a chce wcześniej umrzeć. Wie, że to obowiązki nad jej siły i dlatego je na siebie bierze.

— Tak — powtórzyła Marynia.

I schyliła głowę tak nisko nad robotą, że Połaniecki widział tylko rozbiór jej ciemnych włosów na małej główce. Miała przed sobą pełne pudełko perełek, które naszywała na rozmaite przedmioty, przeznaczone na dobroczynną loteryę, i teraz do owych perełek poczęły się sypać łzy, które płynęły z jej oczu.

— Ja widzę doskonale, że pani płacze — rzekł Połaniecki.

A ona podniosła na niego załzawione oczy, jakby mu chciała powiedzieć: „Przed tobą nie będę skrywała łez“ — i odrzekła:

— Wiem, że Emilka dobrze robi — ale tak żal!...

Na to Połaniecki, trochę ze wzruszenia, a trochę dlatego, że sam nie wiedział, co ma powiedzieć, pocałował ją, po raz pierwszy w życiu, w rękę. Perły z oczu Maryni poczęły się potem sypać jeszcze gęściej, tak, że musiała wstać i odejść.

Połaniecki zbliżył się do grających w chwili, gdy pan Pławicki mówił kwaśno uprzejmym tonem do swego partnera:

— Rubikon za Rubikonem. Ha, trudno! Pan przedstawiasz nowe czasy, a ja starą tradycję, zatem muszę być pobity.

— Co to się ma do pikiety? — odrzekł spokojnie Bigiel.

Marynia wróciła po chwili z oznajmieniem, że herbata gotowa. Oczy miała nieco czerwone, ale twarz jasną i spokojną. Gdy później Bigiel z panem Pławickim zasiedli znowu do kart, rozmawiała z Połanieckim takim cichym, poufnym tonem, jakim rozmawiają ludzie bardzo sobie bliscy, mający mnóstwo wspólnych spraw w życiu. Wprawdzie wspólność ową wytworzyła między nimi śmierć Litki i nieszczęście pani Emilii, więc też rozmowa ich nie mogła być wesołą, ale, mimo tego, oczy, jeśli nie usta Maryni, uśmiechały się do Połanieckiego, zarazem smutno i pogodnie.

Późnym zaś wieczorem, gdy Połaniecki odszedł, Marynia, rozmyślając o nim, nie nazywała go w myśli inaczej, jak „pan Stach“.

Połaniecki również wrócił do domu w usposobieniu o wiele łagodniejszym, niż bywał dotąd od czasu śmierci

Litki. Chodząc po pokoju, zatrzymywał się co chwila przed fotografią małej, patrząc zarazem na cztery brzozy, malowane przez Marynię, i myślał, że jednak ten węzeł, jaki zawiązała między nim a Marynią Litka, staje się codzień niemal ściślejszy, sam przez się — jakby bez niczyjej woli i wprost jakąś tajemniczą siłą rzeczy.

I myślał także, że jeśli brak mu już dawnej, pierwotnej ochoty do utrwalenia tego węzła — to również brakłoby mu prawie odwagi, by go stanowczo przeciąć, zwłaszcza tak prędko po śmierci Litki.

Późną nocą zasiadł nad wykazami, przysłanymi przez Maszkę. Chwilami jednak czynił pomyłki w rachunkach, bo widział przed sobą pochyloną głowę Maryni i jej łzy, spadające do pudełka ze szklanymi paciorkami. Nazajutrz zakupił dąbrowę na Krzemieniu — bardzo zresztą korzystnie.

III.

Maszko powrócił po dwóch tygodniach z Petersburga, dość zadowolony z obrotu własnych spraw kredytowych, i przywiózł ważne wiadomości, które doszły go, jak utrzymywał, drogą czysto poufną i nie były dotąd nikomu znane. Oto zeszłego roku zbiory w całym państwie były bardzo niepomyślne. Tu i owdzie poczęło się pokazywać widmo głodu, łatwo zaś było odgadnąć, że do wiosny zapasy wyczerpią się w całych okolicach i że klęska głodowa może stać się powszechną. Wobec tego ludzie świadomszy rzeczy zaczęli przebąkiwać o prawdopodobieństwie zakazu wywozu zboża za granicę — i tego to rodzaju echa przywiózł Maszko, zaręczając przytem, że doszły do jego uszu przez osoby bardzo rzeczy świadome. Połanieckiego wiadomość ta uderzyła tak silnie, że zamknął się na kilka dni z ołówkiem w ręku, poczem udał się do Bigiela z propozycją, żeby tak rozporządzałną gotowizną, jak i kredyt Domu, obrócić na hurtowe zakupy zboża.

Bigiel zląkł się — ale on od tego zaczynał wobec każdego nowego interesu. Połaniecki nie ukrywał mu

zresztą, że to będzie operacja na wielką skalę, od której powodzenia lub niepowodzenia mogą ich losy zależeć. Zupełne niepowodzenie było jednak mało prawdopodobne, powodzenie zaś mogło uczynić z nich jednym zamachem ludzi prawdziwie zamożnych. Było do przewidzenia, że wobec braku zboża, ceny pójdą w każdym razie w górę — było również do przewidzenia, że prawo ograniczy wprawdzie możliwość robienia nowych kontraktów z kupcami innych krajów, ale uszanuje kontrakty, zawarte przed jego ogłoszeniem; gdyby zaś i to chybiło, podniesienie się cen w samym kraju było rzeczą niemal pewną. Połaniecki wszystko, o ile było w mocy ludzkiej, przewidział, wszystko obliczył — i Bigiel, który, mimo swej ostrożności, był człowiekiem rozsądnym, musiał przyznać, że widoki powodzenia są istotnie znaczne, i że szkoda pomijać sposobności.

Jakoż po kilku jeszcze naradach, podczas których opozycja Bigiela słabła coraz bardziej, stanęło na tem, czego Połaniecki chciał — i po pewnym czasie, główny komisant Domu, Abdulski, wyjechał z upoważnieniem czynienia kontraktów w imieniu Domu. tak na gotowe już zboże, jak i na mające przyjść z przyszłych omłotów.

Wśląd za Abdulskim wyjechał do Prus Bigiel. Połaniecki został sam na czele Domu i pracował od rana do wieczora, skutkiem czego nie pokazywał się prawie u nikogo.

Ale czas nie dłużył mu się, bo ożywiała go nadzieja wielkich zysków i obfitszej w działalność przyszłości. Połaniecki, rzucając się na ową spekulację i wciągając do niej Bigiela, uczynił to przedewszystkiem dla-

tego, że uważał ją za dobrą. Ale miał przytem i inną myśl. Oto Dom handlowy, razem ze wszystkimi swemi sprawami, był za ciasnym polem dla jego fachowego wykształcenia, dla zdolności i dla energii — i Połaniecki to czuł. Ostatecznie o co chodziło w tego rodzaju sprawach, jakie prowadził Dom? Kupić tanio, sprzedać drożej — i schować do kasy zysk — to był jedyny cel. Zakupna na własną rękę, albo pośrednictwo — nic więcej. Połanieckiemu było ciasno w tej uprzęży: „Chciałbym coś kopać lub coś fabrykować — mówił w chwilach zniechęcenia i niesmaku do Bigiela — bo my, w gruncie rzeczy, staramy się tylko o to, by z tego potoku pieniędzy, jaki w obrotach ludzkich płynie, zwrócić choć jaką taką strugę do naszej kieszeni, ale nie produkujemy nic“. I to była prawda. Połaniecki pragnął dojść do majątku, zdobyć kapitał, a następnie wziąć się do jakiej roboty, bardziej walnej, dającej szersze pole do pracy i twórczości.

Sposobność, jak mu się zdawało, nadeszła, więc chwycił ją oburącz.

— Potem pomyślę o wszystkim innym — mówił sobie.

Przez „wszystko inne“ rozumiał swoje sprawy ducha i serca, to jest swój stosunek do wiary, do ludzi, do ziemi, do kobiety. Rozumiał, że chcąc być w życiu spokojnym, trzeba te stosunki wyjaśnić i stanąć na pewnych nogach. Są ludzie, którzy całe życie nie wiedzą, czem są względem tych podstaw, i których każdy wiatr kieruje w inną stronę. Połaniecki czuł, że tak nie powinno być. W obecnem swem usposobieniu przewidywał,

że te pytania mogą być rozstrzygnięte w sposób tak trzeźwy, że aż suchy, i tak pozytywny, że aż materialistyczny, a wogóle ujemny; ale rozumiał, że rozstrzygnięte być muszą.

— Chcę wiedzieć jasno, czym coś powinien, czy nie — mówił sobie.

Tymczasem pracował i ludzi mało widywał. Nie mógł się jednak całkowicie od nich usunąć. Przekonał się też, że najbardziej osobiste pytania nie mogą być rozstrzygane tylko wewnątrz, tylko we własnym mózgu lub sercu, zamkniętem na cztery spusty, ale że najczęściej jakieś wpływy zewnętrzne, jacyś ludzie dalsi lub bliżsi, przyspieszają tak koniec rozmyślań, jak i płynących z rozmyślania postanowień. Stało się to przy pożegnaniu pani Emilii, która codziennie teraz i niemal gorączkowo skracala termin wstąpienia do nowicyatu Sióstr miłosierdzia.

Połaniecki nie przestawał wśród swych zajęć chodzić do niej, ale kilkakrotnie nie zastał jej w domu, raz zaś znalazł u niej panią Bigielową, a zarazem i panią i pannę Krasławską, których obecność krępowała go w wysokim stopniu. Następnie, gdy Marynia doniosła mu, że pani Emilia rozpoczyna nowicyat za kilka dni, poszedł, by ją pożegnać.

Zastał ją spokojną i niemal wesołą, ale na jej widok ścisnęło mu się serce. Twarz miała przezroczystą, miejscami jakby uczynioną z perłowej masy; błękitne żyły przeglądały jej przez skórę na skroniach. Była bardzo piękna, w sposób prawie nadziemski, ale Połaniecki pomyślał: „Żegnam ją na dobre, bo ona i miesiąca nie

wytrzyma: z jednego więcej przywiązania, jedna więcej zgrzyzota i nieszczęście!“

Ona poczęła z nim mówić o swoim postanowieniu, jako o rzeczy najzwyczajszej, która się sama przez się rozumie — i jest naturalnem następstwem tego, co się stało, naturalną ucieczką przed życiem, pozbawionem wszelkiej podstawy. Połaniecki zrozumiał, że odradzać jej byłoby z jego strony wprost rzeczą niesumienną i zupełnie bezmyślną.

— Pani tu zostanie? w Warszawie? — spytał.

— Tak. Bo chciałabym być blisko Litki — i Matka przełożona obiecała mi, że będę, naprzód w domu, a potem, jak się czegoś nauczę, to przy którym z tutejszych szpitalów. Chybaby zaszyły jakieś nadzwyczajne wypadki... Póki będę w domu, co niedziela będzie mi wolno odwiedzać Litkę.

Połaniecki zacisnął zęby i milczał; patrzył tylko na delikatne, jakby woskowe, ręce pani Emilii, myśląc w duszy:

— Ona chce temi rękoma opatrywać chorych...

Ale jednocześnie odgadywał, że ona chce przede wszystkim czego innego. Pod jej pogodą i rezygnacją odczuwał niezmierny ból, mocny jak śmierć i wołający o śmierć ze wszystkich sił duszy i serca. Chciała tylko, by ta śmierć przyszła bez jej winy, nie jako jej grzech, ale jako zasługa, której nagrodę miało stanowić połączenie się z Litką...

I teraz dopiero Połaniecki zrozumiał różnicę między bólem a bólem, żalem a żalem. I on kochał Litkę, ale w nim, obok żalu za nią i wspomnień o niej, było

jeszcze coś innego, jakiś życiowy interes, jakaś ciekawość przyszłości, jakieś chęci, myśli, dążenia. Pani Emilii nie zostało nic, tak, jakby umarła razem z Litką, i jeśli zajmowało ją coś jeszcze na świecie, jeśli kochała tych, którzy jej byli bliżej, to tylko dla Litki, przez Litkę i o tyle, o ile byli z nią związani.

Połanieckiemu ciężkie były te odwiedziny i to pożegnanie. Przywiązał się był do pani Emilii głęboko, a teraz miał poczucie, że nić łącząca ich prysła raz na zawsze — i że drogi ich rozchodzą się w tej chwili, bo on idzie dalej, drogą życia, ona zaś chce, by jej życie wypaliło się jak najprędzej i wybiera trud — wprawdzie błogosławiony — ale nad siły, by przyspieszyć śmierć.

Ta myśl zamykała mu usta. W ostatniej jednak chwili, przywiązanie, jakie miał z dawna dla niej, przemogło, i począł mówić z prawdziwym wzruszeniem, całując jej rękę:

— Droga pani, bardzo droga! niech panią Bóg strzeże i pociesza!

Tu zabrakło mu słów, lecz ona, nie puszczać jego ręki, rzekła:

— Do śmierci nie zapomnę panu, że pan Litkę tak kochał. Wiem od Maryni, że ona was połączyła i dlatego wiem, że będziecie szczęśliwi, bo inaczej Bóg nie byłby jej tak natchnął. Ile razy was w życiu zobaczę, tyle razy pomyślę sobie, że wasze szczęście — to dzieło Litki. Niechże jej wola spełni się jak najprędzej i niech was Bóg błogosławi oboje.

Połaniecki nie odrzekł nic, tylko, wracając do domu, myślał:

— Wola Litki!... Ona ani przypuszcza, że wola Litki może być nie spełniona — i jakże jej miałem powiedzieć, że tanta nie jest już tem dla mnie, czem była...

A jednak czuł coraz wyraźniej, że dłużej nie powinno tak być i że owe węzły, łączące go z Marynią, należy w krótkim czasie albo ściętnić, albo zerwać, by położyć koniec dziwacznemu położeniu, nieporozumieniom i troskom, jakie stąd mogły wyniknąć; czuł, że trzeba to uczynić prędko, by postąpić uczciwie. I ogarnął go nowy niepokój, wydało mu się bowiem, że jakkolwiek postąpi, nie przyniesie mu to szczęścia.

Wróciwszy do domu, zastał list Maszki, który brzmiał, jak następuje:

— „Byłem u ciebie dziś dwa razy. Jakiś waryat zelżył mnie wobec moich dependentów, z powodu dąbrowy, którą ci sprzedałem. Nazywa się Gątowski. Potrzebuję z tobą pomówić i będę raz jeszcze przed wieczorem“.

Jakoż przybiegł przed upływem godziny i nie zdejmując paletota, począł pytać:

— Ty znasz tego Gątowskiego?

— Znam. To sąsiad i krewny Pławickich. Skąd to poszło i co się stało?

Maszko zdjął paletot i rzekł:

— Nie rozumiem nawet, skąd wieść o tej sprzedaży mogła się rozejść, bo ja nie mówiłem o tem nikomu i nawet zależało mi na tem, by się nie rozeszła.

— Nasz agent, Abdulski, jeździł do Krzemienia obejrzeć dąbrowę. Gątowski musiał się od niego dowiedzieć o sprzedaży.

— Słuchajże, co się stało. Dziś w biurze przynoszą mi kartę Gątowskiego. Nie wiedząc, kto to jest — przyjmuję. Wchodzi jakiś chłystek i pyta mnie, czy prawda, że sprzedałem dąbrowę i że chcę rozkolonizować część Krzemienia? Oczywiście, odpowiadam także pytaniem, co go to może obchodzić? Ten mówi, że obowiązałem się płacić z Krzemienia dożywotnią rentę staremu Pławickiemu i że jeśli, prowadząc rabunkowe gospodarstwo, zrujnuję Krzemień, nie będzie mnie na czem poszukiwać. Rozumiesz, że na to poradziłem mu, żeby wziął kapelusz, zapiął się dobrze ze względu na mróz i żeby poszedł, skąd przyszedł. Wówczas począł wrzeszczeć, nazwał mnie wobec moich dependentów szachrajem, oszustem, wreszcie powiedział mi, że mieszka w Saskim hotelu — i poszedł. Czy ty nie masz do tego klucza? Czy nie możesz powiedzieć mi, co to znaczy?

— Owszem! Po pierwsze: ten Gątowski jest ograniczony i z natury gbur; po drugie: Gątowski jest od lat całych zakochany w pannie Pławickiej i chciało mu się zostać jej rycerzem.

— Wiesz, że mam dość zimnej krwi — ale istotnie, chwilami zdaje mi się, że to sen. Żeby ktoś pozwolił sobie zelżyć mnie za to, że sprzedaję swoją własność — to wprost przechodzi ludzkie pojęcie.

— Co myślisz robić? Gątowskiemu pierwszy stary Pławicki natrze uszu i zmusi go, by cię przeprosił.

Na to twarz Maszki przybrała taki wyraz zimnej i zawziętej złości, że Połaniecki mimowoli pomyślał:

— No, „niedźwiadek“ nawarzył piwa, jakiego się nie spodziewał — i musi je wypić.

— Mnie nikt nigdy w życiu bezkarnie nie ubliżył i nie ubliży — rzekł Maszko — a ten człowiek nietylko mnie zelżył, ale zrobił mi taką krzywdę, jakiej się nie domyśla.

— To jest chłystek, po prostu niepoczytalny.

— Wściekły pies jest niepoczytalny, a mimo tego w łeb mu się strzela. Widzisz, że mówię chłodno, więc słuchaj, co ci powiem: spotkała mnie katastrofa, z pod której się nie podniosę.

— Mówisz chłodno, ale złość cię dusi, więc przesadzasz.

— Bynajmniej. Bądź cierpliwy i wysłuchaj mnie do końca. Położenie jest takie: jeśli moje małżeństwo nie dojdzie do skutku, albo nawet odwlecze się na jakie kilka miesięcy, dyabli wezmą mnie, moje stanowisko, mój kredyt, mój Krzemień, i wszystko, co mam. Powiedziałem ci, że jadę resztką pary — i muszę stanąć. Panna Krasławska nie wychodzi za mnie z miłości, tylko dlatego, że ma dwadzieścia dziewięć lat, i że wydają się jej, jeśli nie wymarzoną, to przynajmniej dostateczną partyą. Jeżeli się tylko pokaże, że nie jestem taką, jak myśli, to zerwie ze mną. Gdyby te panie dziś dowiedziały się, że sprzedał dąbrowę na Krzemieniu z potrzeby — jutro miałbym rekuzę. Teraz pomyśl: awantura była publiczna, bo przy moich dependentach. Rzecz nie utai się. Mógłbym im może sprzedaż dąbrowy wytłómaczyć — ale pozostaję prócz tego człowiekiem zelżonym. Gdybym nie wyzwał Gątowskiego, mogą ze mną zerwać, jako z szują bez honoru, jeśli go wyzwę — pamiętaj, że to są dewotki, a prócz tego kobiety tak przestrzegające

pozorów, jak drugich nie znam — więc zerwą ze mną, jako z awanturnikiem. Jeśli Gątowskiego postrzelę, zerwą ze mną jako z zabójcą; jeśli on mnie, zerwą, jako z nie-dołęgą, który się pozwolił zelżyć i poturbować. Na sto danych jest dziewięćdziesiąt, że tak postąpią. Rozumiesz teraz, dlaczego ci powiedział, że dyabli wezmą mnie, mój kredyt, moje stanowisko i w dodatku Krzemień.

Połaniecki machnął ręką, z całym bezmyślnym egoizmem, na jaki zdobyć się może tylko mężczyzna w stosunku do drugiego mężczyzny, który go w gruncie rzeczy mało obchodzi.

— Ba! — rzekł — Krzemień może ja od ciebie kupić. Ale położenie jest ciężkie. Co tedy myślisz robić z Gątowskim?

Na to Maszko rzekł:

— Dotychczas płacę długi. Nie chciałeś mi drużbować, czy zechcesz być moim świadkiem?

— Tego się nie odmawia — rzekł Połaniecki.

— Dziękuję. Gątowski mieszka w Saskim hotelu.

— Jutro będę u niego.

Zaraz po wyjściu Maszki, Połaniecki wybrał się na spędzenie wieczoru do Pławickich, po drodze zaś myślał:

— Z Maszką niema żartów — i rzecz nie skończy się byle jak; ale co mnie to może obchodzić? Co oni wszyscy mnie obchodzą, albo ja ich? Jednakże jaki człowiek jest dyabelnie sam na świecie!

I nagle uczuł, że jedyną na świecie istotą, którą on coś obchodzi i która o nim myśli, nie jak o rzeczy, jest Marynia.

I rzeczywiście, gdy wszedł, z samego uścisku jej ręki poznał, że tak jest; ona zaś rzekła mu na powitanie swoim łagodnym i spokojnym głosem:

— Miałam przeczucie, że pan przyjdzie. Niech pan patrzy: jest gotowa dla pana filiżanka.

IV.

Połaniecki, przybywszy do Pławickich, zastał tam Gątowskiego. Młodzi ludzie przywitali się od razu z widocznym chłodem i niechęcią. Dnia tego nie było w całym świecie nieszczęśliwszego człowieka, niż Gątowski. Stary Pławicki z niego drwił, jak zwykle, a nawet więcej niż zwykle, był bowiem w wybornym humorze z powodu swej krewnej, po której spodziewał się znacznego spadku; Marynię krępowała jego obecność, i przymus ów napróżno starała się pokryć uprzejmem obejściem się i dobrocią. Nakoniec Połaniecki udał niemal, że go nie widzi. Widocznem także było, że Gątowski nie przyznał się do niczego przed starym Pławickim i że drży teraz o to, by Połaniecki nie uczynił o jego zajściu z Maszką jakiejś wzmianki, lub żeby go nie opowiedział.

Połaniecki zrozumiał to od razu, jak również i przewagę, jaką mu jego milczenie daje nad „niedźwiadkiem“; chcąc zaś jej użyć w interesie Maszki, do czasu milczał, lecz nie umiał sobie odmówić chęci ukarania Gątowskiego w inny sposób. Oto przez cały wieczór zajmował się tak Marynią, jak nigdy od czasu śmierci Litki, co

Marynię przejmowało widoczną radością. Zostawiwszy Gątowskiego staremu Pławickiemu, chodzili oboje w pofuonej rozmowie po pokoju, potem zaś siedli pod ową palmą, pod którą Połaniecki widział po powrocie z pogrzebu panią Emilię — i rozmawiali właśnie o jej blizkiem wstąpieniu do Sióstr miłosierdzia. Lecz Gątowskiemu zdawało się chwilami, że tak mogą rozmawiać tylko narzeczeni i czuł wówczas to, co musi czuć dusza, nie w czyścju, bo czyścjowa ma jeszcze przed sobą nadzieję, lecz taka, która przestępuje bramę z napisem: „Lasciate ogni speranza“. Widząc ich tak razem, wyobrażał sobie również, że może Połaniecki kupił dąbrowę z gruntem, żeby choć część Krzemienia odzyskać dla Maryni, a zatem z jej wolą i wiedzą. I na samą myśl, jak w takim razie zabrnął, uczyniwszy awanturę Maszce, włosy powstawały mu na głowie; Pławicki zaś, słysząc jego nawpół przytomne, albo i całkiem niedorzeczne odpowiedzi, bawił się coraz lepiej kosztem „prowincyała“, który na bruku miejskim traci resztę rozumu. Pan Pławicki miał się już za wzór człowieka „stołecznego“.

Przyszła jednak chwila, że, gdy Marynia zajęła się w drugim pokoju herbatą, a pan Pławicki poszedł do siebie po cygara, młodzi ludzie zostali sam na sam; wówczas Połaniecki zwrócił się do Gątowskiego i rzekł:

— Wyjdźmy po herbacie razem; chcę z panem pomówić w sprawie pańskiego zajścia z panem Maszką.

— I owszem — odrzekł ponuro Gątowski, zrozumiawszy, że Połaniecki jest świadkiem Maszki.

Tymczasem trzeba było jeszcze zostać na herbacie, a potem siedzieć dość długo, gdyż stary pan Pławicki

nie lubił kłaść się wcześniej i wzywał Gątowskiego na partycję szachów. Podczas partyi panna Marynia z Połanieckim siedzieli znów osobno i rozmawiali z ożywieniem, ku serdecznej męce „niedźwiadka“.

— Przyjazd pana Gątowskiego — rzekł nagle Połaniecki — musi być pani miły, bo pani przypomniał Krzemień.

Przez twarz Maryni przemknęło zdziwienie, że Połaniecki pierwszy wspomina Krzemień. Ona sądziła, że na mocy milczącej ugody, sprawę tę pokryje wiekuiste milczenie. Po chwili też odrzekła:

— Ja już więcej nie myślę o Krzemieniu.

I mówiąc to, mówiła nieprawdę, bo w głębi serca było jej serdecznie żal i miejsca, w którem się wychowała, i pracy kilku lat, i zburzonych nadziei; ale sądziła, że tak jej nakazuje mówić zarówno obowiązek, jak i budzące się dla Połanieckiego coraz silniejsze uczucie.

— Krzemień — dodała nieco wzruszonym głosem — był powodem naszej kłótni, a ja chcę teraz zgody i zgody na zawsze.

I mówiąc to, patrzyła Połanieckiemu w oczy z taką pełną słodczy kokieterią, na jaką umie się zdobyć licha kobieta zawsze, a ucziwa wówczas tylko, gdy poczyna kochać; Połaniecki zaś pomyślał:

— Jednakże ona jest ogromnie dobra.

I zaraz powiedział głośno:

— Paniby miała przeciw mnie bajeczną broń, bo mnie dobrocią do piekłaby można zaprowadzić...

A ona odrzekła:

— Ja tam nie chcę pana prowadzić.

I na znak, że nie chce, poczęła trząść z uśmiechem swoją ciemną, śliczną główką, a Połaniecki patrzył w jej twarz, w śmiejące się, nieco za szerokie usta, i mówił sobie w duchu:

— Kocham ją, czy nie kocham, ale żadna mnie tak nie ciągnie, jak kleszczami!

Jakoż nigdy nie ujęła go i nie podobała mu się więcej, nawet wówczas, gdy nie miał ani cienia wątpliwości, że ją kocha, i gdy borykał się z tem uczuciem.

Począł się jednak żegnać, gdyż uczyniło się późno — i po chwili obaj z Gątowskim znaleźli się na ulicy.

Wówczas Połaniecki, który nigdy nie umiał uchronić się od popędliwości, zatrzymał nieszczęśliwego „niedźwiadka“ i spytał niemal w sposób wyzywający:

— Czy pan wiedziałeś, że dąbrowę na Krzemieniu kupiłem ja?

— Wiedziałem — odpowiedział Gątowski — bo wasz komisant, ten, co powiada, że pochodzi z Tatarów.... zapomniałem jak mu tam!... był u mnie w Jałbrzykowie i mówił mi, że to pan.

— Dlaczego tedy zrobiłeś pan awanturę panu Maszce, nie mnie?

Na to Gątowski odrzekł:

— Niech mnie pan tak nie przyciska do muru, bo ja tego nie lubię. Awanturę zrobiłem tamtemu jegomości, nie panu, bo państwu Pławickim nie się od pana nie należy, a tamten ma im płacić rocznie z Krzemienia tyle, ile się zobowiązał, a jak zdewastuje Krzemień, to nie będzie miał z czego. Chciałeś pan wiedzieć, dlaczego tamtemu nawymyślałem, to pan wiesz.

Połaniecki musiał przyznać w duchu, że w odpowiedzi Gątowskiego jest pewna słuszność, począł też natychmiast rozmowę z innej strony.

— Pan Maszko prosił mnie na świadka — rzekł — dlatego mieszam się do tej sprawy. Jako świadek, będę u pana jutro, dziś zaś, jako człowiek prywatny, i jako krewny, choć daleki, pana Pławickiego, mogę panu powiedzieć tylko to: oddałeś najgorszą usługę panu Pławickiemu, i jeśli i on, i panna Marya, zostaną bez kawałka chleba, to panu będą to zawdzięczali. Tak jest!

Oczy Gątowskiego stały się zupełnie okrągłe.

— Bez kawałka chleba?... mnie będą zawdzięczali?...

— Tak jest — powtórzył Połaniecki. — Słuchajże pan dobrze. Bez względu na to, jaki będzie rezultat zajścia... okoliczności są takie, że może ono mieć najfatalniejsze skutki. Mówię to panu pod słowem — pan prawdopodobnie zrujnowałeś pana Pławickiego i odjąłeś i jemu, i córce, sposób, a raczej środki do życia.

Jeśli Gątowski istotnie nie lubił, gdy go przyciskano do muru, to teraz była pora do okazania owego wstępu. Lecz Gątowski stracił zupełnie głowę i stał w przerażeniu, z otwartymi ustami, nie umiejąc znaleźć odpowiedzi i dopiero po chwili zaczął:

— Co? jak? jakim sposobem? Bądź pan pewny, że do tego nie przyjdzie, choćbym miał im Jałbrzyków oddać.

Lecz Połaniecki przerwał:

— Panie Gątowski, szkoda słów! Ja waszą okolicę znam od małego dziecka. Co to jest Jałbrzyków — i co pan masz na Jałbrzykowie?

Była to prawda. Jałbrzyków był wioszczyną o dzie-
więciu włókach, a przytem Gątownski miał, jak to bywa,
odziedziczonych długów wyżej uszu na Jałbrzykowie —
więc ręce opadły mu zupełnie.

Przyszło mu jednak do głowy, że może rzeczy tak
nie stoją, jak je przedstawia Połaniecki i chwycił się tej
myśli, jak deski zbawienia.

— Ja tego nie rozumiem, co pan mówi — rzekł. —
Bóg mi świadek, że wolałbym własną zgubę, niż zgubę
państwa Pławickich, i to pan wiedz, że chętniebym nad-
kręcił karku panu Maszce, ale jeśli trzeba, jeśli chodzi
o państwa Pławickich, to niech mnie pierwej dyabli
wezmą. Ja byłem zaraz po tem zajściu u pana Jamisza,
który teraz jest na kadencyi, i przyznałem mu się do
wszystkiego. Powiedział mi, że mój głupstwo zrobił i zwy-
myślał mnie — prawda! Żeby o moją skórę chodziło —
co mi tam! palcemby nie ruszył; ale skoro to co in-
nego, więc co mi powie pan Jamisz, to zrobię, choćby
mnie miał potem piorun trzasnąć. Pan Jamisz mieszka
w Saskim hotelu i ja też.

Na tem rozstali się i Gątownski poszedł do swego
hotelu, klnąc Maszkę, siebie i Połanieckiego. Czuł, że
musiało tak być, jak Połaniecki mówił, że stało się ja-
kieś nieszczęście niepowetowane i że wyrządził ciężką
krzywdę tej samej pannie Maryi, za którą oddałby osta-
tnią kroplę krwi; czuł, że ostatecznie, jeśli była dla niego
jakakolwiek nadzieja, to ją zniszczył. Pławicki zamknie
mu drzwi. Panna Marya wyjdzie za Połanieckiego —
chybaby on sam jej nie chciał. Ale ktoby jej nie chciał?
I jednocześnie biedny Gątownski ujrzał jasno, że między

tymi, którzyby mogli pożądać jej ręki — on, w każdym razie, byłby ostatnim, za któregooby wyszła. — „Co ja mam? — nic — mówił sobie — ten parszywy Jałbrzyków i nic więcej: ani rozumu, ani pieniędzy. Każdy coś wie, tylko ja nie wiem! Każdy coś zna, tylko ja nie znam. Taki Połaniecki ma i naukę i pieniądze, a że ja ją lepiej kocham — dyabli mi z tego i tyle jej, skorom taki dureń, że jeszcze jej przez to szkodę, nie pomagam“.

Połaniecki, wracając do domu, myślał o Gątowskim to samo i wogóle nie miał dla niego ani iskry współczucia. W domu zastał Maszkę, który go czekał od godziny i który rzekł mu na powitanie:

— Drugim świadkiem będzie Kresowski.

Połaniecki skrzywił się nieco i odpowiedział:

— Widziałem Gątowskiego.

— I co?

— To dureń.

— Przedewszystkiem. Czy mówiłeś mu co w moim imieniu?

— W twojem nic. Mówiłem mu jako krewny pana Pławickiego, że oddał mu najgorszą w świecie usługę.

— Nie dałeś żadnych wyjaśnień?

— Żadnych. Słuchaj Maszko, tobie chodzi o pełną satysfakcję — mnie także nic na tem nie zależy, żebyście sobie we lby postrzelali. Na mocy tego, com Gątowskiemu powiedział, gotów jest przystać na wszystkie twoje warunki. Na szczęście, udał się do radcy Jamisza. a to jest rozsądny i łagodny człowiek, który także rozu-

mie, że Gątownski postąpił jak dureń — i rad będzie dać mu lekcję.

— Dobrze — rzekł Maszko. — Daj mi pióro i kawałek papieru.

— Masz na biurku.

Maszko siadł i zaczął pisać, a gdy skończył, podał zapisaną ćwiartkę Połanieckiemu.

Połaniecki czytał, co następuje:

„Oświadczam niniejszem, że napadłem na pana Maszkę po pijanemu, w stanie nieprzytomnym, i nie zdając sobie sprawy z tego, co mówię. Dziś wytrzeźwiony, wobec moich świadków i świadków pana Maszki, oraz osób, które były przy napaści obecne, uznaję mój postępek za grubijański i bezrozumny, i z największym żalem i pokorą odwołuję się do wyrozumiałości i łaski pana Maszki, prosząc go o przebaczenie i wyznając publicznie, że jego postępowanie było i jest we wszystkim wyższe nad sądy ludzi do mnie podobnych“.

— Gątownski ma to wydeklować, a następnie podpisać — rzekł Maszko.

— To jest dyabło nielitościwe. Na to się nikt nie zgodzi.

— Uznajesz, że ten błazen dopuścił się względem mnie czegoś niesłychanego?

— Uznaję.

— Rozumiesz, jakie skutki ta awantura dla mnie pociągnie?

— Tego nie można wiedzieć.

— To ja wiem — i powiem ci tylko tyle: te panie żałują w duszy, że się związały i skorzystają z lada

poзору, który je osłoni przed światem. To jest pewne. Jestem zgubiony, niemal bez ratunku.

— Do licha!

— Rozumiesz teraz, że to, co mnie nurtuje, musi się na kimś skrupić — i że Gąłowski musi mi w taki lub owaki sposób za krzywdę zapłacić.

Połaniecki ruszył ramionami.

— Nie rozczulam się i ja nad nim. Niech tak będzie.

— Kresowski przyjdzie po ciebie jutro o dziewiątej.

— Dobrze.

— Zatem do widzenia. Ale! jeśli zobaczysz jutro Pławickiego, powiedz mu, że w Rzymie umarła jego krewna, Płoszowska, po której spodziewał się spadku. Testament był tu u regenta Podwójnego i ma być jutro otwarty.

— Dobrze, Pławicki już o tem wie, bo ona umarła przed pięciu dniami.

Połaniecki został sam. Przez czas jakiś myślał o swojej sumie, nie przewidując sposobu, w jaki ją będzie mógł od zbankrutowanego Maszki wydobyć — i myśl ta zaniepokoiła go. Przypomniawszy sobie jednak, że suma ta nie mogła być przed całkowitą splątą wykreślona z hipoteki Krzemienia, że więc w ostatecznym razie zostanie, jak był dawniej, wierzycielem Krzemienia. Krzemień nie był wprawdzie wiele lepszym dłużnikiem od Maszki, nie była to więc wielka pociecha — ale na razie należało na niej poprzestać.

Później też przyszło mu do głowy co innego. Począł wspominać Litkę, panią Emilię, Marynię i uderzyło

go to, jak tego rodzaju świat kobiety, czysto uczuciowy, którego główny interes polega na kochaniu, na szczęściu blizkich, różny jest od świata męskiego, pełnego współzawodnictw, walki, czubienia się, gniewów, pojedynków, wysiłków dla zrobienia majątku i zmęczenia. I uznał w tej chwili, czego już nie czuł dawno, że jeśli jest na świecie spoczynek, szczęście, ukojenie, to należy ich szukać u kochającej kobiety. Było to poczucie wprost przeciwne jego filozofii z dni ostatnich, dlatego zaniepokoiło go. Ale porównywając dalej te dwa światy, nie mógł się jednak oprzeć uznaniu, że ten kobiety, kochający, ma swoją zasadę i swoją rację bytu.

Gdyby Połaniecki był bieglejszy w Piśmie Św., byłyby mu niechybnie przyszły do głowy słowa: „Marya lepszą część obrala“.

V.

Kresowski spóźnił się nazajutrz blisko o godzinę. Był to, według znanego u nas określenia, jeden z administratorów świeżego powietrza w mieście, to jest jeden z ludzi nie robiących nic. Miał dość znane nazwisko i stracił dość znaczny majątek. Na tych dwóch podstawach stał, żył, bywał wszędzie i uznawany był powszechnie za porządnego człowieka. Jak powyższe tytuły mogą na to wszystko wystarczyć, to jest tajemnica wielkich miast, dość, że nietylko stanowisko Kresowskiego było uznane i zapewnione, ale uważano go nadto za człowieka, do którego w delikatnych sprawach można się bezpiecznie udać. W sądach honorowych używano go za arbitra, w pojedynkach na świadka. Wysokie sfery finansowe zapraszały go rade na obiady, śluby, chrzciny i tym podobne uroczystości, albowiem miał patrycyuszowską łysinę i bardzo polską fizygnomię, doskonale więc stół ubierał.

Był to człowiek w gruncie rzeczy ogromnie rozczarowany do ludzi, trochę suchotnik i bardzo zgryźliwy; posiadał jednak pewną dozę humoru, która pozwalała mu widzieć śmieszne strony rzeczy zwłaszcza bardzo drobnych,

w czem przypominał nieco Bukackiego — i drwić z własnej zgryźliwości. Pozwalał także żartować z niej innym, ale pod miarę. Gdy ją przebrano, wyprostowywał się nagle i przyciskał ludzi aż nadto, wskutek czego uważano go za niebezpiecznego. Opowiadano o nim, że w kilku wypadkach znalazł odwagę tam, gdzieby wielu jej brakło i że wogóle umiał „wysoko nos nosić“. Nie szanował nikogo i niczego, prócz swojej, istotnie bardzo szlachetnej fizyognomii, nie szanował zwłaszcza czasu, albowiem spóźniał się zawsze i wszędzie.

Wszedłszy obecnie do Połanieckiego, począł też zaraz po przywitaniu tłumaczyć swoje opóźnienie.

— Czy pan nie zauważył — rzekł — że jeśli się człowiekowi bardzo śpieszy i bardzo na pośpiechu zależy, wówczas najniezbędniejsze do wyjścia rzeczy giną umyślnie, jakby w wodę wpadły. Służący szuka kapelusza — niema kapelusza, szuka kaloszy — niema kaloszy; szuka się portmonetki, niema portmonetki. O zakład, zawsze!

— Bywa tak — rzekł Połaniecki.

— Ja nawet wynalazłem na to sposób. Gdy mi coś tak jak w wodę wpadnie, siadam, uśmiecham się i mówię głośno: „Pasyami lubię tak coś zgubić; człowiek szuka, ożywia się, rusza, zapełnia czas — to niezmiernie zdrowe i przyjemne“. I co pan powiesz? Wtedy od razu znajduje się to, co zginęło.

— Można by wziąć patent na taki wynalazek — odpowiedział Połaniecki. — Ale mówmy o sprawie Maszki.

— Mamy iść do radcy Jamisza. Maszko przysłał mi cyrograf, który napisał dla Gątowskiego. Nie chce ani słowa zmienić — ale to niemożliwe, zbyt ostre — to nie

może być przyjęte... Rozumiem, że czeka nas pojedynek, nic więcej — innego wyjścia nie widzę.

— Gątowski zdał się ze wszystkim na pana Jamisza i zrobi wszystko, co mu pan Jamisz każe, a pan Jamisz jest, naprzód, także oburzony na Gątowskiego, a powtóre człowiek chory, łagodny, spokojny, tak, że kto wie, czy nawet takich warunków nie przyjmie.

— Pan Jamisz jest safandula — odparł Kresowski — ale chodźmy, bo późno.

I wyszli. Po chwili sanki zatrzymały się przed Saskim hotelem. Pan Jamisz czekał na nich, ale przyjął ich w szlafroku, był bowiem istotnie niezdrów. Kresowski, patrząc na jego twarz inteligentną, ale pognębioną i nalaną, pomyślał:

— Ten istotnie gotów się zgodzić na wszystko.

— Siadajcież panowie — rzekł pan Jamisz. — Przyjechałem dopiero od trzech dni — i choć nie czuję się dobrze, rad jestem, bo może się uda awanturę załagodzić. Wierzcie mi, że pierwszy natarłem uszu mojemu paliwodzie.

Tu począł ramionami ruszać, a następnie, zwróciwszy się do Połanieckiego, spytał:

— Co tam u Pławickich? Nie byłem dotąd u nich, a tęskno mi do mojej złotej Maryni...

— Panna Marya zdrowa — odrzekł Połaniecki. .

— A staruszek?...

— Umarła przed kilku dniami daleka jego krewna, bardzo bogata, więc liczy na spadek. Wczoraj mi to mówił, ale ja słyszałem, że cały majątek zapisała na dobroczynność... Testament dziś, albo jutro będzie otwarty...

— Bógby ją natchnął, żeby Maryni co zapisała. Ale przystąpmy do sprawy. Moi panowie, nie potrzebuję wam mówić, że naszym obowiązkiem jest skończyć ją, o ile można, zgodnie.

Kresowski skłonił się. Nudziły go podobne wstępy, które już słyszał Bóg wie ile razy w życiu, więc przerwał:

— Jesteśmy tym obowiązkiem głęboko przejęci...

— Tak się też spodziewałem — odrzekł dobrodusznie pan Jamisz. — Ja sam przyznaję, że pan Gątowski nie miał najmniejszego prawa postąpić, jak postąpił; uznaję nawet za słuszne, żeby był za to ukarany, więc skłonię go do wszelkich, nawet bardzo znacznych ustępstw, mogących zapewnić panu Maszce należyłą satysfakcję.

Kresowski wydobył z kieszeni złożony arkusik listowego papieru i podał go z uśmiechem panu Jamiszowi, mówiąc:

— Pan Maszko nie wymaga też niczego więcej, jak żeby pan Gątowski naprzód odczytał ten mały dokumencik wobec swoich i jego świadków, oraz wobec dependentów, obecnych przy awanturze, a następnie, by podpisał pod nim swoje szanowne nazwisko.

Pan Jamisz, znalazłszy między papierami okulary, nałożył je na nos i począł czytać. Lecz w miarę, jak czytał, twarz jego zaczerwieniła się, następnie pobladła, następnie zaczął sapać, następnie i Połaniecki i Kresowski prawie oczom nie chcieli wierzyć, że to jest ten sam pan Jamisz, który przed chwilą gotów był do wszelkich ustępstw.

— Moi panowie — rzekł przerywanym głosem — pan Gątowski postąpił jak paliwoda, narwaniec, ale pan

Gątownski jest... szlachcic, i oto, co w jego imieniu odpowiadam panu Maszce.

To rzekłszy, przedał arkusik na cztery części i rzucił go na ziemię.

Rzecz nie była przewidziana. Kresowski poczał się namyślać, czy pan Jamisz postępkim swym nie ubliżył jego godności, jako świadka — i twarz poczęła mu w jednej chwili lodowacieć i ściągać się, jak u złego psa; ale Połanieckiemu, który pana Jamisza lubił, podobało się to jego oburzenie.

— Panie radco — rzekł dobitnie — pan Maszko jest pokrzywdzony w tak niebywały sposób, że nie może mniej wymagać, ale i ja, i pan Kresowski, przewidywalimy pańską odpowiedź, i zwiększa ona tylko szacunek, jaki dla pana mamy.

Radca Jamisz usiadł — i będąc nieco astmatykiem, oddychał czas jakiś ciężko; poczem uspokoił się i rzekł:

— Mógłbym panom zaofiarować przeproszenie ze strony pana Gątownskiego, ale całkiem w innych wyrazach; widzę jednak, że tracilibyśmy tylko czas, więc mówmy po prostu o zadośćuczynieniu z bronią w rękę. Za chwilę przyjdzie tu pan Wilkowski, drugi świadek Gątownskiego, i jeśli możecie poczekać, to ułożymy zaraz warunki.

— To się nazywa isć prosto do celu — rzekł Kresowski, całkiem pogodzony z panem Jamiszem.

— Ale się idzie z konieczności i ze smutnej konieczności — odpowiedział pan Jamisz.

Połaniecki spojrział na zegarek.

— Ja muszę o jedenastej być w biurze — rzekł —

ale jeśli pan radca pozwoli, wpadnę tu koło pierwszej, dla przejrzenia i podpisania warunków.

— Dobrze. Z góry pana uprzedzam, że rozumiem, iż warunki nie mogą być ułożone tak, by budziły śmiech ludzki, ale liczę też na to, że i pan Kresowski i pan, panie Połaniecki, nie zechcecie ich posuwać do ostateczności.

— Nie; możesz pan być pewny, że nie myślę być nadto zapalczywy kosztem cudzej skóry.

To rzekłszy, Połaniecki wyszedł i udał się do biura, gdzie istotnie czekało go kilka spraw dość ważnych, o których pod niebytność Bigiela musiał stanowić własną głową. W południe podpisał warunki, które były poważne, ale nie nadto ostre, następnie udał się na obiad, spodziewał się bowiem zastać w restauracji Maszkę.

Maszko jednak widocznie musiał być u pań Krasławskich, natomiast pierwszą osobą, jaką Połaniecki ujrzał, był pan Pławicki, przybrany jak zwykle starannie, ogolony, opięty, wyświeżony, ale posepny, jak noc.

— Co tu szanowny wujaszek porabia? — spytał Połaniecki.

— Jak mam jakie zmartwienie, nie jadam zwykle w domu, by nie zasmucać Maryni — odparł pan Pławicki. — Idę gdziekolwiek i ot --- skrzydełko kapłona, łyżeczka kompotu — to wszystko, czego mi potrzeba. Siadaj, jeśli nie znajdziesz weselszego towarzystwa.

— Co się stało? — pytał Połaniecki.

— Giną stare tradycje — to się stało!

— Ba! to nie osobiste wujaszka nieszczęście.

Pan Pławicki spojrział na niego zarazem ponuro i uroczyście i rzekł:

— Dziś było otwarcie testamentu.

— No i co?

— I co? I gadają teraz po Warszawie: „Pamiętała o najdalszych krewnych!” Ładnie pamiętała! Marynia ma zapis — tak? — a wiesz jaki? Czterysta rubli dożywotnie. I to milionerka!! Pannie służącej się taki legat zostawia — nie krewniej.

— A wujaszek?

— A ja nic. Rządcy zapisała piętnaście tysięcy rubli, a o mnie ani dudu.

— Cóż robić?

— Giną stare tradycje! Ilużto ludzi dawniej dochodziło przez testamenta do majątków, a dlaczego? Bo istniała miłość i solidarność w rodzinach.

— I dziś jeszcze znam takich, którym tysiące spadły na głowę z zapisów.

— Tak. Są tacy, są! Jest takich pełno, ale ja do nich nie należę.

Pan Pławicki wsparł głowę na rękę i z ust jego wyszło coś w rodzaju monologu:

— Że też zawsze i wszędzie gdzieś, komuś, ktoś, coś...

Tu westchnął i po chwili dodał:

— A mnie nigdy i nigdzie, nikt, nic...

A Połanieckiemu przyszła nagle równie okrutna jak pusta myśl do głowy, by rozweselić pana Pławickiego. więc rzekł:

— E, ona umarła w Rzymie, a tutejszy testament dawniej pisany, przedtem zaś także istniał, jak słyszałem.

całkiem inny. Kto wie, czy z Rzymu nie nadejdzie jaki kodycyłek i czy się wujaszek nie obudzi którego dnia milionerem.

— Nie przyjdzie! — odpowiedział pan Pławicki.

Lecz słowa Połanieckiego poruszyły go; począł na niego spoglądać, począł się kręcić, jakby krzesło, na którym siedział, było łóżem madejowem — wreszcie rzekł:

— I ty uważasz, że to jest możliwe?

A Połaniecki odrzekł z prawdziwie szelmowską powagą:

— Nie widzę w tem nic niepodobnego.

— Gdyby wola Opatrzności...

— I to być może.

Pan Pławicki spojrział po sali: byli sami; nagle odsunął krzesło i rzekł, wskazując na kamizelkę:

— Chłopcze! chodź tu...

Połaniecki pochylił głowę, którą pan Pławicki dwukrotnie ucałował, mówiąc przytem ze wzruszeniem:

— Dodałeś mi otuchy, pokrzepiłeś mnie... Niech będzie, jak Bóg chce, ale pokrzepiłeś mnie. Przyznam ci się teraz, że do niej pisałem. Nic, tylko żeby się przypomnieć, że żyjemy. Pytałem, kiedy się kończy termin dzierżawy jednego folwarku. Nie miałem, rozumiesz, zamiaru brać tej dzierżawy, ale pozór był dobry... Niech ci Bóg zapłaci za to, żeś mnie pokrzepił... Ten testament mógł być zrobiony przed moim listem, potem pojechała do Rzymu, po drodze musiała myśleć o moim liście, a więc i o nas — i — powiadasz że to być może? — niech ci Bóg zapłaci.

Po chwili twarz jego rozjaśniła się zupełnie; nagle

położył dłoń na kolanie Połanieckiego i, klasnąwszy językiem, zawołał:

— Wiesz co, chłopcze? Może w szczęśliwą godzinę powiedziales! A żebyśmy tak wypili buteleczkę Mouton-Rotschild, na rachunek tego kodycyłku — co?

— Dalibóg, nie mogę — rzekł Połaniecki, który poczynał się trochę wstydzic swego konceptu — nie mogę i nie będę.

— Musisz.

— Pod słowem, nie mogę. Mam pełno roboty i nie będę sobie czupryny zaprószał za nic w świecie.

— Kozieł uparty — czysty kozieł! To ja sam wypiję pół na szczęśliwą godzinę.

I kazał podać, poczem spytał:

— Co ty masz takiego do roboty?

— Rozmaite rzeczy. Zaraz po obiedzie muszę być u profesora Waskowskiego.

— Co to za figura ten Waskowski?

— A prawda — rzekł Połaniecki — na tego także spadł po bracie, który był górnikiem, majątek, i to znaczny. Ale on wszystko biednym rozdaje.

— Biednym rozdaje, a chodzi do porządnej restauracyi — lubię takich filantropów! Ja, gdybym miał co biednym rozdawać, to sobie wszystkiębym odmawiał.

— On długo chorował i doktor kazał mu zdrowo jadać. Ale on i tu jada tylko to, co tanio kosztuje. Mieszka w ciupie i hoduje ptaki, a obok ma dwa wielkie pokoje — i wie wuj, kto w nich nocuje? — oto dzieci, które zbiera po ulicach.

— Mnie się też od razu zdawało, że on ma coś tu!...

Tu pan Pławicki począł się stukać palcem w czoło.

Waskowskiego Połaniecki nie zastał, więc po widzeniu się poprzedniem z Maszką, koło piątej po południu wpadł do Maryni, bo jednak sumienie go gryzło z powodu bzdurstw, których nagadał Pławickiemu. „Stary — mówił sobie — będzie spijał wysokie wina na rachunek tego kodycyłu, a oni podług mnie i tak nad stan żyją. Nie trzeba, żeby żart trwał zbyt długo“.

Marynię zastał w kapeluszu. Miała iść do Bigielów, ale zatrzymała go, on zaś, ponieważ i tak nie przyszedł na długo, więc został.

— Winszuję pani spadku — rzekł.

— I ja rada jestem — odpowiedziała — bo to coś pewnego, a w naszym położeniu, to ważna rzecz. Zresztą chciałabym być jak najbogatsza.

— Dlaczego?

— A pamięta pan, co pan raz mówił, że chciałby mieć tyle, żeby założyć fabrykę i nie prowadzić domu handlowego. Ja to zapamiętałam, a że każdy ma jakieś swoje pragnienia, więc i ja chciałabym mieć dużo, dużo pieniędzy.

Tu, myśląc, że może powiedziała zbyt wiele i zbyt wyraźnie, zaczęła rozprostowywać fałdy sukni, bo to pozwalało schylić jej głowę.

— Ja przychodzę jeszcze, żeby panią przeprosić — rzekł Połaniecki. — Dziś przy obiedzie nagadałem głupstw panu Pławickiemu, że panna Płoszowska może zmieniła testament i zapisała mu cały majątek. Nad moje spodziewanie wziął to poważnie. Nie chciałbym, żeby się ludził, i jeśli pani pozwoli, to zaraz pójdę do jego pokoju, by jakoś mu to wytłómaczyć.

A Marynia poczęła się śmiać.

— Ja już to tłumaczyłam — i wylażał mnie, i to bardzo! Widzi pan, co pan nabroił. Naprawdę, ma pan za co przepraszać.

— Więc przepraszam.

I chwyciwszy jej rękę, pocałował ją okrywać pocałunkami, a ona zostawiła mu ją zupełnie, powtarzając niby żartobliwie, ale ze wzruszeniem:

— A niedobry pan Stach, niedobry pan Stach!

Połaniecki dnia tego czuł na ustach, aż do chwili snu, ciepło ręki Maryni i nie myślał ani o Maszce, ani o Gątowskim, powtarzał sobie natomiast z wielką uporczywością:

— Czas to rozstrzygnąć...

VI.

Kresowski z doktorem i z pudełkiem, zawierającym pistolety, siedział w jednej karetkce, a Połaniecki z Maszką w drugiej — i jechali na Bielany. Dzień był jasny i mroźny, pełen na dole różowej mgły. Koła obracały się ze skrzypieniem po zmarzłym śniegu, konie dymiły i okrywały się szronem; na drzewach leżała okiść obfita.

— Mróz, bo mróz — rzekł Maszko. — Palce poprzy-marzają nam do cyngłów.

— I miła rzecz zdejmować futra.

— To też zmiłujcie się, nie marudźcie. Mój drogi, powiedz Kresowskiemu, żeby od razu przystąpił do rzeczy.

Tu Maszko począł przecierać zapocone binokle i dodał:

— Nim dojedziemy, słońce pójdzie w górę i będzie ogromny blask od śniegu.

— To się prędko skończy — odpowiedział Połaniecki. — Skoro Kresowski stawiał się na czas, na tamtych nie będziemy czekali, bo przywykli rano wstawać.

— Wiesz, co mnie w tej chwili zastanawia? — rzekł Maszko — że jest w świecie jeden czynnik, z którym się nikt w swoich planach i w swoim działaniu nie liczy,

a przez który wszystko się może rozbić, zawieść, popsuć — to głupota ludzka. Dajmy na to, że ja mam dziesięć razy więcej rozumu niż mam, że nie mam na celu interesów pana Maszki, tylko, że jestem, przypuśćmy, jakimś wielkim politykiem, jakimś Bismarckiem lub Cavourem, który potrzebuje zdobyć majątek dla przeprowadzenia swoich planów i który oblicza każdy krok, każde słowo — cóż? Przychodzi takie bydlę, nieobliczalne dla żadnego umysłu — i wszystko od razu w łeb bierze. To coś bajecznego! Zastrzeli mnie, czy nie zastrzeli — mniejsza na teraz z tem, ale bestya popsuła mi robotę całego życia.

— Któż to może obliczyć — rzekł Połaniecki. — To tak samo, jakby ci dachówka na głowę spadła.

— Właśnie dlatego wściekłość bierze.

— A co do tego, żeby cię miał zastrzelić — daj spokój.

Maszko ochłonął, przetarł znowu binokle i począł mówić:

— Mój drogi, widzę, że od chwili wyjazdu trochę mnie obserwujesz, a teraz chcesz mi dodać animuszu. I to jest naturalne. Z mojej strony, muszę cię także uspokoić i zaręczam ci pod słowem, że nie zrobię wam wstydu. To jest prosta rzecz, że czuję trochę niepokoju, ot tu — w dołku, ale wiesz dlaczego? To, co stanowi niebezpieczeństwo życia, samo strzelanie do siebie, to jest nic! Niech mnie i jemu dadzą strzelby, niech nas puszcza w las, dalibóg pół dnia będę walił do tego durnia i pół dnia wytrzymał jego strzały. Ale ja już miałem jeden pojedynek w życiu i wiem, co to jest. To ta komedia

niepokoi człowieka, to przygotowania, to świadkowie, to myśl, że będą na ciebie patrzyli i obawa, jak się znajdziesz, jak się popiszesz. To jest po prostu wystąpienie publiczne — i kwestya miłości własnej — nic więcej. Dla natur nerwowych prawdziwe przejście. Ale ja nie jestem zbyt nerwowym. Rozumiem także, że pod tym względem mam wyższość nad przeciwnikiem, bom więcej przywykłem do ludzi, niż on. Taki osieł ma wprawdzie mniej wyobraźni i nie potrafi, naprzykład, wyobrazić sobie, jak będzie wyglądał jako trup, jak zacznie się psuć i tak dalej. Ale panować nad sobą ja jednak lepiej potrafię... Przytem powiem ci to jeszcze. Filozofia filozofią, ale w takich razach rzecz rozstrzyga temperament i namiętność. Mnie ten pojedynek do niczego nie prowadzi, w niczem nie ratuje, przeciwnie, może mnie wpędzić w kłopoty. A jednak nie umiem go sobie odmówić... Tyle mi się w duszy zebrało oburzenia, tak tego osła nienawidzę, takbym go chciał zgnieść, zdeptać, że w tym razie przestają rozumować. I tego możesz być pewny, że jak tylko zobaczą tę bałwańską twarz, zapomnę o niepokoju, zapomnę o komedyi, a będę widział tylko jego.

— To dość rozumiem — rzekł Połaniecki.

A na twarzy Maszki wypieki powiększyły się i stały się sine od mrozu, przyczem wyglądał zarówno zawzięcie, jak szpetnie.

Tymczasem nadjechali. Jednocześnie prawie zaskrzyiała i karetą, wioząca Gątowskiego, pana Jamisza i Wilkowskiego, którzy wysiadłszy, poczęli się kłaniać przeciwnikom, poczem, w siedmiu, licząc z doktorem, udali

się w głąb lasku, na miejsce upatrzone już poprzedniego dnia przez Kresowskiego.

Furmani, spoglądając na owe siedm paletotów, rysujących się czarno i dziwacznie na śniegu, poczęli na siebie mrugać:

— Wiecie, co to będzie? — spytał jeden.

— Albo mi to pierwszyzna — odpowiedział drugi.

— Niech się świat poleruje, niech się kpy biją!

Tamci w tym czasie, cłapiąc ciężkimi kaloszami i wyrzucając z nozdrzy słupy białej pary, szli ku drugiemu brzegowi lasku. Po drodze, pan Jamisz, trochę wbrew regułom obowiązującym w podobnych okolicznościach, zbliżył się do Połanieckiego i począł mówić:

— Chciałem szczerze, by mój paukant przeprosił pana Maszkę, ale w takich warunkach niepodobna.

— Ja proponowałem Maszce także, żeby złagodził to, co napisał — i nie chciał...

— To i niema wyjścia. Wszystko to bardzo głupie, ale niema wyjścia!

Połaniecki nie odpowiedział i szli w milczeniu. Pan Jamisz znów począł mówić:

— Ale! Słyszałem, że Marynia Pławicka ma jakiś zapis?

— Mały, ale ma.

— A stary?

— Zły, że cały majątek nie jemu zapisany.

• Pan Jamisz uderzył się rękawiczką po czole.

— On ma trochę tu, ten Pławicki.

Potem, obejrawszy się naokół, rzekł:

— Jakoś daleko idziemy.

— Zaraz będziemy na miejscu.

I szli dalej. Słońce podniosło się nad zarośla. Od drzew kładły się na śniegu błękitnawe cienie, ale coraz więcej światła wnikało w las. Pochowane gdzieś po wierzchołkach wrony i kawki strząsały suchy jak puch śnieg, który sypał się bez szelestu na ziemię, tworząc pod drzewami małe, śpiczaste kopce. Wszędzie była wielka cisza i spokój. Ludzie tylko zmacili ją na to, by do siebie strzelać.

Stanęli wreszcie na skraju lasu, gdzie było widno. Krótkiej przemowy pana Jamisza o wyższości zgody nad wojną, Maszko i Gątowski wysłuchali z uszami zakrytymi przez futrzane kołnierze; następnie, gdy Kresowski nabił pistolety, wybrali je i, zrzuciwszy futra, stanęli naprzeciw siebie, z lufami zwróconymi ku górze.

Gątowski oddychał pośpiesznie, twarz miał czerwoną i wąsy w soplach. Z całej jego postawy i twarzy widać było, że rzecz sprawia mu niezmierny przymus, że trzyma się przez wstyd i siłę woli i że, gdyby poszedł za naturalnym porywem uczuć chwili, to wołałby skoczyć na przeciwnika i wyłomotać go kolbą od pistoletu a choćby pięścią. Maszko, który poprzednio udawał, że go nie widzi, patrzył teraz na niego z twarzą pełną nienawiści, zawziętości i pogardy. Policzki jego całe były w plamach. Panował nad sobą jednak więcej od Gątowskiego i — przybrany w długi surdut, w wysokim kapeluszu na głowie, ze swojemi długimi bokobrodami — wyglądał aż nadto sztywnie, aż zbyt podobnie do aktora, grającego rolę pojedynkującego się dżentlemana.

— Zastrzeli niedźwiadka, jak psa — pomyślał Polaniecki.

Rozległy się słowa komendy, i dwa strzały wstrząsnęły ciszą leśną, poczem Maszko zwrócił się do Kresowskiego i rzekł zimno:

— Proszę nabić pistolety.

Lecz jednocześnie przy nogach jego ukazała się na śniegu plama krwi.

— Pan jesteś ranny — rzekł, zbliżając się szybko, doktor.

— Być może... proszę nabić...

I w tej chwili zachwiał się, albowiem istotnie był ranny. Kula zniosła mu sam wierzchołek kości w kolanie.

Pojedynek został przerwany. Tylko Gątowski stał jeszcze czas jakiś na miejscu z wytrzeszczonymi oczyma, zdumiony tem, co się stało.

Po pierwszym opatrunku zbliżył się jednak, popchnięty przez pana Jamisza, do Maszki i rzekł zarówno niezgrabnie, jak szczerze:

— Teraz przyznaję, że nie miał prawa nachodzić pana — i odwołuję wszystko, com powiedział, i przepraszam. A że pan jesteś ranny, to ja tego nie chciałem.

I po chwili, gdy odchodził z panem Jamiszem i Wilkowskim, słyhać było, jak mówił:

— Jak Boga najszczerzej kocham, czysty przypadek — to pistolety takie, bo ja chciałem mu nad głowę...

Maszko tego dnia nie otworzył ust — na pytanie zaś doktora, czy rana bardzo mu dokucza, potrząsał tylko głową na znak, że nie.

Bigiel, który był dniem pierwszej powrócił z Prus,

z kieszeniami pełnymi kontraktów, dowiedziawszy się o wszystkim, co zaszło, mówił do Połanieckiego:

— Maszko jest niby inteligentny człowiek, ale, dalibóg, między nami każdy ma jakiegoś ćwieka... On na przykład: ma wzięcie, ma mnóstwo doskonałych spraw; mógłby mieć znaczne dochody, robić majątek! Nieprawda! Woli się rzucać, wyciągać kredyt do ostatka, kupować majątki ziemskie, udawać wielkiego właściciela, lorda, być Bóg wie kim, byle nie być tym, kim jest. Jakie to wszystko dziwne i tem dziwniejsze, że takie powszechne! Nieraz myślę, że życie samo w sobie jest niezłe, ale tu wszyscy je sobie psują brakiem równowagi w głowie i tą jakąś dyabelską fantazją, jakimś bzikiem, którego każdy ma za kołnierzem. Bo ja rozumiem, że człowiek chce mieć więcej niż ma i znaczyć więcej niż znaczy, ale niech nie dąży do tego w fantastyczny sposób. Maszce ja pierwszy przyznaję i spryt i energię, ale, wzięwszy wszystko na uwagę — dalibóg, on ma coś tu.

Tu Bigiel stuknął kilkakrotnie palcem w czoło.

Maszko tymczasem cierpiał z zaciśniętymi zębami, albowiem rana jego, nie będąc niebezpieczną dla życia, była jednak nadzwyczaj bolesna. Wieczorem zemdlał dwukrotnie w obecności Połanieckiego. Potem przyszło osłabienie, podczas którego owa hardość duszy, która przez cały dzień podtrzymywała młodego adwokata, wyczerpała się zupełnie. Po opatrunku, gdy doktor odszedł, leżał czas jakiś spokojnie, poczem rzekł:

— Ależ bo ja mam i szczęście!

— Nie myśl o tem — odpowiedział Połaniecki — dostaniesz większej gorączki.

Maszko zaś mówił dalej:

— Zelżony, ranny, zrujnowany — wszystko na raz!

— Powtarzam ci, że nie pora o tem myśleć.

Maszko wsparł się łokciem na poduszce, syknął z bólu i rzekł:

— Daj spokój. To ostatni mój czas, w którym mogę się wygadać z porządnym człowiekiem. Za tydzień lub dwa będę należał do ludzi, których się unika... Co mi tam gorączka! Jest coś nieznośnego w takiej zupełnej ruinie, w takim zarwaniu się ludzkiej doli, mianowicie, że potem pierwszy lepszy kretyń, pierwsza lepsza geś, będą mówili: „Ja to oddawna wiedziałem“ — „Ja to z góry przewidywałam“. Tak! wszyscy zawsze wszystko przewidują... po fackie — i z człowieka, w którego piorun trzasł, robią w dodatku głupca lub waryata.

Połaniecki przypomniał sobie w tej chwili słowa Bigiela, Maszko zaś, dziwnym trafem mówił w dalszym ciągu tak, jakby chciał na nie odpowiedzieć:

— A myślisz, że ja nie zdawał sobie sprawy, że siedzi za ostro, że się pchał za gwałtownie, że chciałem być czemś więcej niż byłem, że za wysoko nos nosiłem... Tej sprawiedliwości mi nikt nie odda, ale ty wiedz o tem, że ja to sobie mówiłem... Tylko mówiłem sobie jednocześnie: tak potrzeba — to jedyna droga, żeby wypłynąć — i co? — może stosunki są krzywe, może ogólne życie idzie na opak, ale jednak, gdyby nie ta bezdennie głupia a nieprzewidziana i nieobliczalna awantura, byłbym wypłynął — właśnie dlatego, że taki byłem, jak byłem... Gdybym był skromnym człowiekiem, nie byłbym dostał panny Krasławskiej... U nas trzeba zawsze coś

udawać — i jeśli mnie dyabli biorą, to nie przez moją pychę, tylko przez tamtego kpa.

— Przecie, u licha, nie możesz napewno wiedzieć, czy twoje małżeństwo nie dojdzie do skutku.

— Mój kochany, nie znasz tych kobiet. One w braku czego lepszego zgodziły się na pana Maszkę, bo panu Maszce dobrze się wiodło... Gdy byle cień padnie na mój majątek, moje położenie, moje stanowisko — porzucą mnie bez miłosierdzia, a potem góry będą na mnie waliły, by siebie osłonić przed światem... Co ty o nich wiesz? Panna Krasławska, to nie panna Pławicka!

Nastąpiła chwila milczenia, poczem Maszko mówił dalej słabnącym głosem:

— Ta mogła mnie uratować... Byłbym dla niej wszedł na inną drogę, daleko spokojniejszą... Krzemień w takich warunkach byłby uratowany... Od razu odpadał dług jej, renta Pławickiego... Byłbym wybrnął... Przytem, czy ty wiesz, że ja kochałem się w niej, jak student?... Ot, tak przyszło, niewiadomo skąd... Ale ona wolała się na ciebie gniewać, niż mnie kochać... Teraz to rozumiem. Na to niema rady...

Połaniecki, któremu nie w smak była ta rozmowa, przerwał ją i rzekł z odcieniem niecierpliwości:

— Dziwi mnie, że człowiek z twoją energią uważa wszystko za stracone, podczas gdy wszystko nie jest stracone. Panna Pławicka, to jest przeszłość, nad którą sam zrobiłeś krzyżyk, oświadczając się o pannę Krasławską. Co do terażniejszości — zostałeś napadnięty — prawda, aleś się pojedynkował, jesteś ranny, ale tak, że za tydzień będziesz zdrow — i ostatecznie te panie jeszcze ci

nie oświadczyły, że z tobą zrywają. Póki tego nie będziesz miał czarno na białem, nie masz prawa o tem mówić... Jesteś chory i dlatego przedwcześnie odprawiasz nad sobą egzekwie. Ale ja ci powiem co innego. Trzeba tamtym paniom dać znać, co się stało. Czy chcesz, żebym jutro do nich poszedł? Zrobią potem, co chcą, ale niechże wiadomość mają z ust świadka, nie zaś przez miejscowych plotkarzy.

Maszko pomyślał przez chwilę i rzekł:

— Ja i tak chciałem do mojej narzeczonej napisać, ale jeśli ty pójdziesz, to będzie jeszcze lepiej. Nie mam nadziei, żeby mi ona dotrzymała — trzeba jednak zrobić co należy. Dziękuję ci. Ty potrafisz rzecz przedstawić z lepszej strony... Tylko ani słowa o jakichkolwiek kłopotach... Tę sprzedaż dąbrowy musisz zmniejszyć do zera — do grzeczności, jaką ci chciałem wyświadczyć... Szczerze ci dziękuję. Powiedz, że Gątowski mnie przeprosił...

— Masz kogo, coby przy tobie siedział?

— Mój służący i jego żona. Doktor przyjdzie jeszcze i przyprowadzi z sobą felczera. Mnie to dyabło dolega, ale nie czuję się źle.

— Zatem do widzenia.

— Bądź zdrow. Dziękuję ci. Ty jesteś...

— Śpij dobrze.

I Połaniecki wyszedł. Po drodze myślał o Maszce i myślał z pewnym gniewem: „Ten nie jest romantykiem — niczem mniej — ale jednak i ten poczuwa się do udawania czegoś w tym rodzaju... Panna Pławicka! kochał ją... byłby wszedł na inną drogę... mogła go urato-

wać... ot, podatek płacony romantyzmowi — i w dodatku fałszywą monetą, bo w miesiąc jednak oświadczył się tamtej lalce — dla pieniędzy. Możem ja głupszy, ale tego nie rozumiem i w szczerosć takich zawodów, które się tak łatwo pocieszają, nie wierzę... Gdybym jedną kochał i doznał zawodu, tobym się z drugą w miesiąc nie ożenił. Niech mnie licho weźmie, jeślibym to zrobił! On ma jednak rację, że Marynia to inny gatunek, niż Krasławska... To niema i gadania: zupełnie inny! zupełnie inny!...“

I ta myśl była mu jednak ogromnie przyjemna. Wróciwszy do domu, zastał list Bukackiego z Włoch i kartkę Maryni, pełną niepokoju i pełną pytań z powodu wieści o pojedynku. Była w niej prośba o przysłanie wiadomości nazajutrz rano: co się stało, o co poszło, a zwłaszcza o wiadomość, czy wszystko naprawdę skończone i czy żadne nowe zajścia nie grożą.

Połaniecki, pod wpływem myśli, że to „inny gatunek, niż panna Krasławska“ — odpisał serdeczniej, niż sam chciał, i oddawszy odpowiedź swemu służącemu, rozkazał, by została oddana nazajutrz o dziewiątej rano. Następnie wziął się do czytania listu Bukackiego, przy czem od samego początku począł wzruszać ramionami.

Bukacki pisał, co następuje:

— „Niech Sakya-Muni wyprosi ci błogosławioną Nicość. Prócz tego powiedz Kapłanerowi, by należnych mi trzech tysięcy rs. nie wysyłał do Florencyi, ale zatrzymał u siebie do mego rozporządzenia. W tych dniach postanawiam pomyśleć o powzięciu zamiaru (czy uważasz, jakie to stanowcze?) zostania wegeteryaninem. Jeśli ta myśl mnie nie zmęczy, jeśli zamiar zmieni się w po-

stanowienie, a postanowienie nie będzie nad moje siły, to przestanę być zwierzęciem mięsożernem i życie będzie mnie mniej kosztowało. To cała sprawa. Co do ciebie, proszę cię na wszystko uspokój się, albowiem życie nie warte jest fatygi.

„Wiesz? Doszedłem, dlaczego Słowianie wolą syntezę od analizy. Bo są próżniakami, a analiza to pracowita rzecz. Syntetyzować można, pałac po obiedzie cygaro. Zresztą, mają słuszość, że są próżniakami. We Florencji jest dość ciepło, zwłaszcza na Lung-Arno. Chodzę sobie i robię syntezę szkoły florenckiej. Poznałem tu jednego zdolnego akwarelistę, także Słowianina, który żyje ze sztuki, ale dowodzi, że sztuka — to jest świństwo, wykwitłe z mieszczańskiej chęci rozkoszy i z nadmiaru pieniędzy, które jedni nagromadzają kosztem drugich. Jednym słowem: sztuka, podług niego, to podłość i krzywda! Napadł na mnie, jak na psa, twierdząc, że być buddystą i zajmować się sztuką jest szczytem niekonsekwencji; ale ja jeszcze bardziej napadłem na niego i odpowiedziałem mu, że poczytywać konsekwencję za coś lepszego od niekonsekwencji jest szczytem mieszczańskiego obskurantyzmu, mieszczańskich przesądów i podłości. Człowiek był zdumiony i stracił mowę. Namawiam go, żeby się powiesił, ale nie chce. — Powiedz mi, czy ty jesteś pewny, że ziemia naprawdę kręci się koło słońca i czy to wszystko nie żarty? Mnie zresztą jest to wszystko jedno! — W Warszawie żał mi było tego dziecka, które umarło. Tu często także o niem myślę. Jakie to głupie! Co robi pani Emilia? Ludzie mają z góry przeznaczone role na świecie, a jej przypadła rola ze skrzydłami i z cierpie-

niem. Poco ona była cnotliwa? Byłoby jej inaczej, weselej. Co do ciebie, człowieku, zrób mi jedną łaskę. Proszę cię na wszystko, nie żeń się. Pamiętaj, że jeśli się ożenisz, jeśli będziesz miał syna, jeśli będziesz pracował, żeby mu zostawić majątek, uczynisz to wyłącznie po to, by ten syn był tem, czem ja jestem, ja zaś jestem bardzo miłym chłopcem, ale mam pewne wątpliwości, czy nieodzownym. Bądź zdrowa, zapalczywa energio, bądź zdrów, Domie handlowy, spółko komisowa, formo przechodnia, praco nałogowa, wysiłku pieniężny, przyszły ojce rodziny, hodowco dzieci i kłopotów! Uściskaj odemnie Waskowskiego. To także syntetyk. Niech Sakya-Muni otworzy ci oczy, abys poznał, że na słońcu jest ciepło, a w cieniu zimno i że leżeć jest lepiej, niż stać. Twój *Bukacki*“.

— Bigos! — pomyślał Połaniecki.

A następnie począł sobie mówić:

— Wszystko to jest sztuczne, wszystko to jest oszukiwanie siebie samego przez jakąś ostateczność. Ale gdy się człowiek do tego przyzwyczai, zmienia mu się to poniekąd w naturę, przyczem dyabli biorą rozum, energię i dusza rozkłada się, jak trup. Można rzucić się Ibem w taką przerąbl, w jaką rzucił się Maszko, lub w taką, jak Bukacki. W obu razach idzie się pod lód. Co u licha! musi być jednak jakieś zdrowe i normalne życie — trzeba mieć tylko trochę oleju w głowie. Takiemu Bigielowi jest jednak niezłe na świecie. Ma żonę, którą kocha, dzieci, które kocha, pracuje jak wół, ale ma zarazem w duszy wielkie przywiązanie do ogółu i swoją wiolonczelę, na której wygrywa przy księżycu, zadzierając głowę do pułapu.

Nie można powiedzieć, by to był człowiek zmaterializowany. Nie. W nim jakoś godzi się jedno z drugim. I dobrze mu!

Połaniecki począł chodzić po pokoju i spoglądać od czasu do czasu na śmiejącą się z pośród brzoź twarz Litki. Potrzeba przystąpienia z samym sobą do ścisłego obrachunku ogarniała go coraz silniej. Jako kupiec, wziął się do rozpatrywania swego: „credit i debet“, co zresztą nie było trudne. W rubryce dodatnich stron jego życia niegdyś główne miejsce zajmowało jego uczucie dla Litki. Była ona mu w swoim czasie tak drogą, że gdyby mu przed rokiem naprzykład powiedziano: „bierz ją, jako swoje dziecko na własność“, byłby ją wziął i uważał, że ma dla czego żyć. Ale teraz ten stosunek był tylko wspomnieniem i z rubryki szczęścia przeszedł do rubryki nieszczęścia. Co więc pozostawało? Naprzód samo życie, powtórę, ten dyletantyzm umysłowy, który, bądźco bądź, jest rozkoszą, dalej przyszłość, która zaciekawia, dalej użycie materialne i wreszcie Dom handlowy. Miało to swoją wartość, ale Połaniecki spostrzegł, że brak w tem celu. Co do Domu handlowego, Połanieckiemu podobały się powodzenia, jakich doznał, nie zaś rodzaj pracy, jakiej Dom wymagał. Przeciwnie: rodzaj pracy nie wystarczał mu, był mu za ciasny, za lichy i gniewał go. Z drugiej strony dyletantyzm, książki, świat umysłowy, wszystko to miało znaczenie, jako okrasa życia, ale nie mogło stać się jego podstawą. — „Bukacki (mówił sobie Połaniecki) — wlaź w to po uszy, tem chciał żyć — i zwichnął się, zniechęcił, wyjałowiał. Kwiaty są same w sobie rzeczą dobrą, ale kto by chciał wyłącznie oddychać ich zapachem,

ten się otruje“. I istotnie, nie potrzebował być wielkim mędrce, by naokoło spostrzedz mnóstwo ludzi zwichniętych, których zdrowie duchowe właśnie ów dyletantyzm umysłowy podkopał tak, jak morfina podkopuje zdrowie fizyczne.

I jemu samemu wyrządził on już dużo szkód, choćby dlatego, że zrobił z niego sceptyka. Od ciężkiej choroby uratował go tylko zdrowy organizm, odczuwający konieczną potrzebę wydania zbytku energii — i praca. Ale co będzie dalej — i czy może tak iść dalej? Na to pytanie odpowiedział sobie teraz stanowczo: nie! Skoro sprawy Domu handlowego nie były w stanie wypełnić mu życia i skoro było wprost niebezpiecznie wypełniać je dyletantyzmem, więc należało wypełnić je czem innym, stworzyć sobie nowe światy, nowe obowiązki, otworzyć nowe widnokreśli, a na to była jedna rada — ożenić się.

Niegdyś, gdy sobie to mówił, widział przed sobą jakąś nieokreśloną postać, łączącą wszystkie przymioty moralne i fizyczne, ale bez ciała i bez imienia. Teraz była to postać rzeczywista. Miała spokojne niebieskie oczy, ciemne włosy, nieco za szerokie usta i nazywała się Marynia Pławicka. O kim innym nie mogło być nawet mowy, a tę Połaniecki przedstawił sobie tak realnie, że aż tętna w skroniach poczęły mu bić żywiej. Zdawał sobie jednak doskonale sprawę, że teraz czegoś brakło w tem jego uczuciu dla Maryni, mianowicie tego, naokoło czego snuje się marzenie; tego, co nie śmie pożądać niczego, a spodziewa się wszystkiego; tego, co się boi, co drży, co kłęczy, co mówi kochanej kobiecie: „do twoich nóg“; co z miłości, która jest żądzą, robi zarazem kult, który jest

czcią, wprowadzając jakiś mistyczny odcień w stosunek mężczyzny do kobiety, robi z mężczyzny nie tylko kochanka, ale i wyznawcę. To przeszło. Połaniecki, myśląc teraz o Maryni, myślał trzeźwo, niemal zuchwale. Czuł, że może przyjść, wziąć ją i mieć, i że, gdy to uczyni, to z dwóch powodów: raz dlatego, że Marynia jest dla niego kobietą pociągającą więcej od wszystkich innych, a powtóre, że rozum nakazuje mu się żenić i żenić z nią.

— Bo ona — (myślał) — jest jednak ogromnie pewna. Nic w niej niema wyjąłowego, nic zeschłego. Egoizm nie zabił w niej serca — i to jest niezawodne, że taka nie będzie myślała tylko o tem, co jej się należy. To jest wcielona uczciwość, wcielony obowiązek — i w życiu trzeba będzie tego chyba pilnować, żeby nie zamało myślała o sobie. Jeśli rozum nakazuje mi się żenić, to uczyniłbym głupstwo, szukając innej.

Poczem zadał sobie pytanie, czy, poniechawszy Maryni, nie uczyniłby zarazem nieuczciwości. Litka połączyła ich. Coś w jego sercu podnosiło się na samą myśl sprzeciwienia się woli i ofierze tego drogiego dziecka. Gdyby jednak chciał postąpić wbrew tej woli, czy tak powinien się być zachowywać? Nie. W takim razie powinien był od śmierci Litki nie pokazywać się u Pławickich, nie widzieć Maryni, nie całować jej rąk, nie dać się unosić tej fali, która poniosła, być może siłą wypadków, ale zniosła tak daleko, że dziś uczyniłby zawód Maryni i spadł w jej oczach do lichszej roli człowieka, który sam nie wie czego chce. Bo musiałby być ślepym, żeby nie spostrzedz, że Marynia uważała się za jego narzeczoną i że, jeśli nie niepokoiła się dotychczas jego milczeniem, to tylko

dlatego, że przypisywała je żałobie, jaką w sercu nosili oboje po Litce.

— Więc patrząc od strony rozumu, trzeba się z nią zenić — mówił sobie Połaniecki — od strony instynktu zachowawczego — trzeba, od strony zmysłów — trzeba, od strony uczciwości — trzeba! Zatem co? Zatem byłbym nie-dołęgą i szują, gdybym się wahał i nie uważał sprawy za rozstrzygniętą. To rzecz skończona!

Poczem odetchnął i począł chodzić po pokoju. Pod lampą leżał list Bukackiego. Połaniecki wziął go i począł czytać od miejsca, na które przypadkiem padły jego oczy:

„Proszę cię na wszystko, nie żeń się. Pamiętaj, że jeśli się ożenisz, że jeśli będziesz miał syna, jeśli będziesz pracował, by mu zostawić majątek, uczynisz to wyłącznie po to, by ten syn był tem, czem ja jestem...“

— Otóż, miły mydłku — odpowiedział z pewną zawziętością Połaniecki — ożenię się, ożenię się z Marynią Pławicką; słyszysz? Będę robił majątek, a jeśli będę miał syna, to nie zrobię z niego dekadenta — rozumiesz?

I rad był z siebie.

W chwilę później spojrział na Litkę i uczył, że go ogarnia nagle wzruszenie. Fala żalu za nią i uczucia dla niej podniosła się z nową siłą w jego sercu. Począł rozmawiać z dzieckiem, jak zwykle w ważniejszych chwilach życia rozmawia się z drogimi zmarłymi.

— Kociątko zadowolone? prawda? — pytał.

A ona śmiała się do niego z pośród brzoź wymalowanych przez Marynię; zdawało się, że mruga oczyma i odpowiada:

— Tak, panie Stachu! tak!

Połanieckiemu oczy zaszyły łzami.

Tego wieczora, przed pójściem do łóżka, odebrał od służącego list, który nazajutrz rano miał być oddany Maryni i napisał drugi, jeszcze serdeczniejszy, w następujących słowach:

„Droga pani. Gątownski zrobił Maszce awanturę dość niedorzeczną, z której wypadł pojedynek. Maszko jest lekko ranny. Przeciwnik przeprosił go na miejscu. Żadnych dalszych skutków nie będzie, chyba ten, że się raz jeszcze przekonał, jaka pani jest dobra, troskliwa, najlepsza i że jutro, jeśli pani pozwoli, przyjdę z podziękowaniem ucałować drogie i kochane ręce pani. Przyjdę po południu, bo rano po biurze muszę być u pani Krasławskiej, a potem pożegnać profesora Waskowskiego, choć, gdyby można, wołałbym dzień zacząć nie od nich. *Połaniecki*“.

Po napisaniu tych słów spojrzął na zegarek, i jakkolwiek była już jedenasta, kazał list odnieść, nie nazajutrz, ale natychmiast.

— Wejdiesz przez kuchnię — rzekł służącemu — i gdyby panienska spała, to zostawisz.

Poczem, zostawszy sam, miał do panienki następującą przemowę:

— Byłabyś chyba bardzo niedomyślna, gdybyś się nie domyśliła, dlaczego jutro przyjdę.

VII.

Pani Krasławska przyjęła Połanieckiego mocno zdziwiona z powodu wczesnej godziny, ale jednak przyjęła go, domyślając się, że przychodzi w jakiejś niezwykłej sprawie. On też, bez długich wstępów, opowiedział jej co zaszło, kłamiąc przytem o tyle, o ile było trzeba, by osłonić Maszkę przed podejrzeniem o bankructwo lub złe interesa.

Zauważył przytem, że podczas opowiadania stara dama trzymała utkwione w niego swoje zielone, wykute jakby z kamienia i pozbawione blasku oczy — i że żaden mięsień jej twarzy nie drgnął.

Dopiero gdy skończył, rzekła:

— W tem wszystkiem nie rozumiem jednej rzeczy: dlaczego pan Maszko sprzedawał te dęby. To przecie jest niemała ozdoba każdej rezydencji.

— Te dęby leżą podal od domu — odpowiedział Połaniecki — i psują pole, bo pod ich cieniem nie chce się nic rodzić, a pan Maszko jest praktyczny człowiek. Zresztą, mówię szczerze, my jesteśmy dawni znajomi i zrobił to dla mnie przez przyjaźń. Pani wie, że ja je-

stem kupcem; potrzebna mi była dębina i Maszko odstąpił mi, ile mógł.

— Nie rozumiem w takim razie, dlaczego tamten młody człowiek...

— Jeśli pani zna radcę Jamisza — przerwał Połaniecki — to on, jako blizki sąsiad Krzemienia i Jałbrzykowa, objaśni panią, że ten młody człowiek jest niespełna rozumu — i znany z tego w całej okolicy.

— W takim razie pan Maszko nie powinien się był pojedynkować.

— Pani — rzekł z odcieniem niecierpliwości Połaniecki — w takich razach my mamy inne pojęcia od pań.

— Pan pozwoli, że powiem parę słów mojej córce.

Połaniecki pomyślał, że byłaby pora wstać i pożegnać się, ponieważ jednak przyszedł niejako na rekonesans i chciał przynieść jaką wiadomość Maszce, więc rzekł:

— Jeśli panie mają jakieś polecenia do pana Maszki, to wprost stąd idę do niego.

— Za chwilę — odrzekła pani Krasławska.

Połaniecki został sam i czekał dość długo, tak nawet długo, iż począł się niecierpliwić. Wreszcie weszły obie panie Krasławskie.

Panna, ubrana w białą „szmizetkę“ z marynarskim krawatem i uczesana nie dość starannie, wydała się jednak Połanieckiemu, mimo lekkiego zapalenia oczu i mimo kilku przyszczyków na czole, pokrytych pudrem, wcale ładna. Była w niej jakaś ponętna ociężałość, z której, wstając widocznie bardzo późno, nie zdołała się jeszcze otrząsnąć, i jakieś równie ponętne poranne zanie-

dbanie. Zresztą na anemicznej jej twarzy nie malowało się żadne wzruszenie.

I po ukłonach, zamienionych z Połanieckim, rzekła zimnym, spokojnym głosem:

— Niech pan będzie łaskaw powiedzieć panu Maszce, że bardzo się zmartwiłam i przestraszyłam. Czy naprawdę rana jest lekka?

— Bezwarunkowo.

— Uprosiłam mamy, żeby pojechała doglądać pana Maszkę, a ja mamę odwiozę i będę w powozie czekała na wiadomość. Potem znów po mamę przyjadę — i tak codzień, póki pan Maszko nie będzie zupełnie zdrow. Mama taka dobra, że pozwala. Niech pan to powie panu Maszce.

Tu lekki, ledwo dostrzegalny rumieniec przemknął po jej bladej twarzy. Połanieckiemu, dla którego słowa jej były zupełną niespodzianką i przejęły go zdziwieniem, wydała się teraz zupełnie ładną, i w chwilę później, idąc do Maszki, mówił sobie:

— No, jednak kobiety są lepsze, niż się wydają... To przecie zupełnie dwie karafki zmrożonej wody, a jednak ta dziewczyna ma trochę serca. Maszko się na niej nie poznał i będzie miał przyjemny zawód. Stara pojedzie do niego, zobaczy tych wszystkich biskupów i kasztelanów z krzywymi nosami, z których tak cieszył się Bukacki, i do reszty uwierzy w wielkość Maszki.

Tak rozmyślając, znalazł się w mieszkaniu Maszki i musiał czekać, albowiem trafił na chwilę opatrunku. Zaledwie jednak doktor wyszedł, Maszko kazał go prosić — i nie przywitawszy się nawet, spytał:

— Cóż, byłeś?

— Jak się masz, jak spałeś?

— Dobrze. Mniejsza z tem... Byłeś?

— Byłem. Powiem ci krótko: za kwandrans pani Krasławska przyjedzie cię doglądać. Panna kazała ci powiedzieć, że odwiezie tu matkę i będzie czekała na wiadomość, jak się masz. Kazała ci powiedzieć, że się bardzo przestraszyła, że jest bardzo nieszczęśliwa, ale Bogu dziękuje, że niema nic gorszego. Widzisz Maszko!... Jeszcze ci dodam, że jest ładna, że mnie ujęła — i idę sobie, bo nie mam czasu.

— Zmiłuj się, zaczekaj chwilę. Czekał! mój kochany; ja nie mam gorączki — i jeśli to mówisz z obawy...

— Nudny jesteś! — przerwał Połaniecki. — Daję ci słowo, że mówię prawdę — i żeś przedwcześnie obgadawał własną narzeczoną.

Maszko opuścił głowę na poduszki i czas jakiś milczał, poczem rzekł, jakby do siebie:

— Jabym ją gotów naprawdę pokochać...

— To dobrze — rzekł Połaniecki — bądź zdrow! Idę pożegnać Waskowskiego.

I zamiast do Waskowskiego, poszedł do Pławickich, których zresztą nie zastał. Pławicki nigdy w domu nie siedział, a o Maryni powiedziano mu, że wyszła przed godziną. Zwykle, gdy się idzie do kobiety, która budzi żywe zajęcie, gdy się przez drogę układa, co się jej powie, a potem nie zastaje się jej w domu, ma się dość głupią minę. Połaniecki to czuł i był zły. Wstąpił jednak do sklepu ogrodniczego i zakupiwszy mnóstwo kwiatów, kazał je odesłać do Pławickich. Myśl, z jaką radością

Marynia je przyjmie i z jak bijącym sercem będzie czekała wieczoru, sprawiła mu jednak tak wielką przyjemność, że, zjadłszy po drodze obiad, w najlepszym humorze wpadł do Waskowskiego

— Przyszedłem pożegnać profesora — rzekł — kiedy profesor wyjeżdża?

— Jak się masz, kochany — odrzekł Waskowski — musiałem odłożyć na parę dni, bo, widzisz, ja tu zimuję rozmaitych maleców...

— Młodych Aryjczyków, którzy w wolnych chwilach wyciągają portmonetki z kieszeni?

— Nie... To jest, widzisz, to dobre dusze, ale bez dozoru nie można ich zostawić. Musiałem wystarać się o zastępcę, który będzie tu mieszkał na mojem miejscu.

— I który się tu upieczce. Jak profesor może wytrzymać w takim gorącu?

— Bo siedzę bez surduta i pozwolisz, że go nie włożę. Trochę tu ciepło, ale transpiracya zdrowa rzecz, a już ten skrzydlaty drobiazg to przepada za gorącem.

Połaniecki obejrzał się naokoło. W pokoju było przynajmniej z pół tuzina trznadli, śmieciuszek, sikorek i czyżów, nie licząc wróbli, które, przyzwyczajone widać do karmienia, tłumami zaglądały przez okno. Profesor utrzymywał w pokoju tylko te ptaki, które wykupywał od ptaszników, wróbli zaś nie puszczał do środka, twierdząc, że „nie byłoby końca, a byłaby krzywda kilku przyjąć, a innym odmówić.“ Pokojowe miały klatki, poprzyczepiane do murów i wewnętrznej framugi okna, ale szły do nich tylko na noc, w dzień zaś latały wolno po całym pokoju, napełniając go świegotem i zostawia-

jąc ślady na książkach i rękopismach, któremi założone były stoły i wszystkie kąty.

Niektóre z ptaków, bardziej oswojone, siadały nawet na głowie Waskowskiego. Na podłodze trzeszczały pod nogami łuskwiny konopnego siemienia. Połaniecki, który to mieszkanie znał doskonale, wzruszył ramionami i rzekł:

— Wszystko to bardzo dobre, ale że profesor pozwala im czubić się, lub świadczyć sobie na własnej głowie, to dalibóg zanadto! Przytem tu jest zaduch.

— To wina świętego Franciszka z Assyżu — odpowiedział Waskowski — bo ja od niego nauczyłem się lubić ten drobiazg. Mam nawet i parę gołębi, ale to piecuchy.

— Profesor pewnie zobaczysz się z Bukackim — rzekł Połaniecki — miałem od niego list. Oto jest.

— Można przeczytać?

— Właśnie dlatego dają.

Waskowski przeczytał i gdy skończył, rzekł:

— Ja go zawsze bardzo kocham tego Bukackiego, to dobra dusza, ale... widzisz... on ma trochę tu!

I Waskowski począł stukać palcami w czoło.

— To już zaczyna mnie bawić! — zawołał Połaniecki. — Wyobraź sobie profesor, od kilku dni ciągle ktoś stuka się w czoło i mówi o kimś ze znajomych: „On ma tu!“ Miłe społeczeństwo!

— Kiedy to trochę tak jest! trochę tak jest — odpowiedział z uśmiechem Waskowski. — A wiesz ty, co to jest? Oto zwyczajnie, aryjski niepokój ducha, w nas zaś, jako w Słowianach, więcej tego, niż na zachodzie,

bośmy najmłodszy z Aryów i wskutek tego, ni rozum, ni serce, nie ułożyły się w nas jeszcze do równowagi. My, najmłodszy z Aryów, czujemy najżywiej, bierzem wszystko do serca najgoręcej i stosujemy do praktyki życia najzapalczywiej... Ja dużo widziałem, jam to dawno spostrzegł... Co za dziwne natury!... Ot, na przykład, studenci niemieccy knajpują — i co? — i nie przeszkadza im to ani pracować, ani wyrabiać się na praktycznych ludzi. Ale niechże Słowianin przejmie się tą modą i zacznie knajpować, to zginął, to zaknajpuje się na śmierć! I tak we wszystkim. Niemiec będzie pesymistą, będzie pisał tomy o tem, że życie jest rozpaczą — i będzie przytem pił piwo, hodował dzieci, zбивał pieniądze, polewał ogród i sypiał pod pierzyną. Słowianin się powiesi, albo się zgubi szalonym życiem, rozpustą; zdusi się błotem, w które będzie wlaził umyślnie... Ja, mój drogi, pamiętam ludzi, którzy się na śmierć zabajronizowali... Ja dużo widziałem... Widziałem ludzi, którzy, kochając np. chłopów, kończyli na tem, że się spijali wódką po karczmach. Niema u nas miary i nie może być, bo u nas do zbytniego przejmowania się każdą ideą dołącza się jeszcze lekkomyślność i wiesz co? — oto próżność. Ach Boże, jacy my wszyscy próżni! jak my chcemy wysunąć się zawsze naprzód, by nas widziano i podziwiano! Weź takiego Bukackiego: wlaż — naprawdę wlaż — po uszy w sceptycyzm, w pesymizm, w bud-
daizm, w dekadentyzm — bo ja wiem w co wreszcie? — przecie teraz i w tem panuje chaos — wlaż tak głęboko, że go miazmy naprawdę zatruwają; ale czy myślisz, że on przytem nie pozuje? Co za dziwne na-

tury! — zarazem najszczerze, najżywiej czujące, najmocniej wszystko biorące do serca — i komediankie. Kiedy się o tem myśli, to się je kocha, ale jednocześnie chce się śmiać i płakać.

Połaniecki przypomniał sobie, jak za pierwszą bytnością w Krzemieniu opowiadał Maryni o swoich czasach belgijskich, gdy, bawiąc się na wspólną z kilkoma młodymi Belgami w pesymizm, spostrzegł wreszcie, że on te wszystkie teorie bierze daleko więcej od nich do serca i że tem samem więcej mu one psują życie. Więc teraz rzekł:

— To, co profesor mówi, to jest prawda. Takie rzeczy widziałem i ja — i dlatego wszystkich nas diabli wezmą.

Lecz Waskowski wlepił w zamarznęte szyby swoje mistyczne oczy i rzekł:

— Nie, nas wszystkich przygarnie kto inny. Ta gorącość krwi, ta zdolność przejmowania się idea, to są wielkie podstawy do misyi, którą Chrystus słowiańskiemu światu wyznaczył.

Tu Waskowski wskazał na poplamiony przez ptaki rękopism i rzekł tajemniczo:

— Widzisz, ja z tem jadę. To praca mojego życia... Chesz, żebym ci to przeczytał?

— Dalibóg, nie mam czasu. Późno już.

— Prawda. Mroczy się. Więc ci powiem w krótkich słowach... Nietylko myślę, ale i najgłębiej wierzę, że Słowianie mają wielką misję do spełnienia.

Tu Waskowski przerwał, począł trzeć ręką czoło i rzekł:

— Co to za dziwna liczba: „trzy...” Coś w tem jednak jest tajemniczego!

— Miał profesor mówić o misyi — rzekł niespokojnie Połaniecki.

— Nie bój się: to ma związek jedno z drugim. Bo, widzisz, są trzy światy w Europie: romański, germański i słowiański. Tamte już spełniły, co miały spełnić. Przyszłość — to ten trzeci.

— I co ten trzeci ma zrobić?

— Stosunki społeczne, prawo, stosunek człowieka do człowieka, życie pojedynczych ludzi i to, co się nazywa życiem prywatnem, jest, bądźco bądź, oparte na nauce chrześcijańskiej. Ułomności ludzkie wykrzywiają ją, ale jednak wszystko na niej stoi. Ale to dopiero połowa zadania spełniona — pierwszy okres!... Są ludzie, którzy myślą, że chrześcijaństwo się kończy. Nie. Dopiero drugi okres ma się zacząć. Chrystus jest w życiu pojedynczych ludzi, ale go niema w historii — rozumiesz? Wprowadzić go do historii, oprzeć na nim stosunki dziejowe, stworzyć miłość bliźniego i w znaczeniu dziejowem — oto misya, którą ma spełnić świat słowiański... Tylko, brak mu jeszcze świadomości i trzeba mu na tę misyę oczy otworzyć.

Połaniecki milczał, bo nie miał co odpowiedzieć. Waskowski zaś mówił dalej:

— Oto, nad czem całe życie myślałem — i tom wypowiedział w tej oto pracy... (Tu wskazał na rękopism). To robota całego mojego życia. To ta wskazana misya.

— Na którą tymczasem trznadle... — pomyślał Połaniecki — i zapewne tak jeszcze będzie długo.

Głośno zaś rzekł:

— I profesor spodziewa się, że jak taka rzecz wyjdzie z druku...

— Nie, ja się niczego nie spodziewam. Ja mam trochę miłości, ale ja za lichy człowiek, za marny umysł... To zginie, jakby kto kamień rzucił w wodę, ale będą fale, będą koła. Niech potem przyjdzie jaki wybraniec... Bo ja wiem?... Co przeznaczone, to nie minie. Oni nie potrafią wyrzec się misyi, choćby sami chcieli... I widzisz, natur ludzkich nie trzeba odciagać od ich przeznaczenia, ani przemocą zmieniać. Co dobre gdzieindziej, to może być złe u nas, bo nas do czego innego Bóg stworzył. Zresztą, próżna robota. I ty próżno w siebie wmawiasz, że chcesz tylko pieniądze robić, i ty musisz pójść za głosem przeznaczenia i natury...

— Ja nawet idę, bo się żenię... To jest: żenię się, jeśli mnie zechcą.

A Waskowski objął go przez pól:

— Bodajże cię! A to doskonale! Niech cię Bóg błogosławi... Wiem! Wam to nakazała ta dziecinka... A pamiętasz, jakem ci mówił, że i ona ma coś do spełnienia, że nie umrze, póki tego nie spełni? Niechże jej Bóg da światło, a wam obojgu błogosławieństwo... Marynia to przecie złoto!...

— A kochanemu profesorowi szczęśliwej drogi i szczęśliwej misyi.

— I tobie, i tobie — czego sobie sam życzysz.

— Ja? czego sobie życzę? — mówił wesoło Polański. — A tak z pól tuzina małych misyonarzy...

— A urwis! zawsze był urwis! — odpowiedział Waskowski.—No leć, leć, ja tam do was jeszcze przyjdę...

Połaniecki wyleciał, wsiadł w dorożkę i kazał się wieźć do Pławickich. Po drodze układał sobie, co powie Maryni i ułożył sobie mówkę, w miarę uczuciową, w miarę trzeźwą, jak przystoi na pozytywnego człowieka, który znalazł wprawdzie to, czego szukał, ale który żeni się także i przez rozum.

Marynia spodziewała się go widocznie o wiele później, bo światła w pokojach nie były pozapalane, chociaż ostatnie blaski zachodu gasły już na dworze.

Połaniecki począł na powitanie całować jej obie ręce i zapomniawszy zupełnie o rozumnej przemowie, spytał trochę niepewnym i wzruszonym głosem:

— Odebrała pani kwiaty i list?

— Tak...

— I domyśla się pani, dlaczego przysłał?

Maryni serce biło tak mocno, że nie zdobyła się na odpowiedź.

Więc Połaniecki pytał dalej, coraz bardziej przerywanym głosem:

— Czy pani zgadza się na wolę Litki? Czy pani mnie chce?

— Tak — odpowiedziała Marynia.

Teraz on, w poczuciu, że wypada jej dziękować, napróżno szukał słów. Przyciskał tylko coraz mocniej do ust jej ręce i zarazem trzymając je obie, przyciągał ją zlekka, coraz bliżej i bliżej. Nagle, owionął go płomień; objął ją i począł ustami szukać jej ust. Lecz ona odwróciła głowę, tak, że mógł tylko całować włosy na

jej skroniach. Przez chwilę, w mroku, słyhać było tylko ich przyspieszone oddechy, wreszcie Marynia wyrwała mu się z ramion.

W kilka minut później służąca wniosła światło. Połaniecki, ochłonawszy, przestraszył się teraz własnego zuchwalstwa i począł z niepokojem spoglądać w oczy Maryni. Był pewien, że ją obraził i był gotów przeproszać. Tymczasem ze zdziwieniem spostrzegł, że w jej twarzy nie było żadnych śladów gniewu. Oczy miała spuszczone, policzki pałające, włosy nieco w nieładzie; znać było, że jest pomieszana i jakby odurzona — ale przytem przejęta tylko takim pełnym słodczy strachem kobiety zakochanej, która, przestępując nowy próg, czuje, że trzeba coś na nim poświęcić, ale która przestępuje go i ulega dlatego, że chce, że kocha i że powinna wobec praw, które mężczyźnie przyznaje.

Połanieckiego jednak przejęło na jej widok żywe uczucie wdzięczności. Zdawało mu się teraz, że kocha Marynię tak, jak ją kochał dawniej, przed śmiercią Litki. Uczuł też, że w tej chwili nie może być dla niej zbyt delikatnym, ani zbyt wspaniałomyślnym, więc wzięwszy znowu jej rękę, podniósł ją do ust z wielką czcią i rzekł:

— Ja wiem, że panie nie wart — to niema i gadania! Ale Bóg widzi, że co będzie w moich siłach, to zawsze dla pani zrobię.

A Marynia spojrzała na niego wilgotnemi oczyma:

— Byle pan był szczęśliwy...

— Czy z panią można nie być? Ja to widziałem od pierwszej chwili w Krzemieniu. Ale potem, pani wie:

wszystko się popsulo. Myślałem, że pani wyjdzie za Maszkę, i com się nagryzł!...

— To ja bylam zła i przepraszam... mój drogi — panie Stachu!...

Połaniecki zaś zawołał z wielkim zapalem:

— Jeszcze dziś profesor mówił: „Marynia to złoto!“ I prawda! wszyscy to mówią — nietylko złoto, ale skarb — bardzo drogi!

A jej dobre oczy poczęły się do niego śmiać:

— Może i bardzo ciężki...

— Niech panią o to głowa nie boli; ja mam dość sił i potrafię go na rękę nosić... Teraz przynajmniej mam po co żyć.

— I ja — odpowiedziała Marynia.

— Czy pani wie, że ja już tu byłem? Przysłałem potem te chryzantemy. Po wczorajszym liście pani powiedziałem sobie: to po prostu anioł i trzeba nie mieć ani serca, ani piątej klepki, żeby dłużej zwlekać.

— Taka bylam niespokojna o ten pojedynek — i nieszczęśliwa. Ale to już naprawdę skończone?

— Daję pani słowo — najzupełniej.

Marynia chciała dalej wypytywać, ale tymczasem nadszedł pan Pławicki; chwilę słyhać było, jak, pokazując trochę, stawiał laskę i zdejmował paletot w przedpokoju, potem otworzył drzwi i ujrawszy ich samych, rzekł:

— Tak we dwoje sobie siedzicie?

A Marynia, podbiegłszy ku niemu, położyła mu ręce na ramionach i nadstawiając czoło do pocałunku, odrzekła:

— Jak narzeczeni, papo.

Pan Pławicki cofnął się nieco i spytał:

— Jak powiadasz?

— Mówię — odpowiedziała, patrząc mu spokojnie w oczy — że pan Stanisław chce mnie wziąć i że jestem bardzo szczęśliwa...

Połaniecki przybliżył się, uściskał z całej siły pana Pławickiego i rzekł:

— Chcę wziąć, za zgodą i pozwoleniem wujasz-kowem.

Lecz pan Pławicki zawołał: „Dziecko moje!“ i po-dążywszy chwiejnym krokiem do kanapy, siadł na niej ciężko.

— Pozwólcie — mówił — wzruszenie... Nic to — nie zważajcie na mnie... Moje dzieci!... Jeśli wam to potrzebne — błogosławię z całego serca...

I błogosławił, przyczem opanowało go jeszcze więk-sze wzruszenie, bo Marynię kochał jednak rzeczywiście. Głos wiązał mu co chwila w gardle i oboje młodzi sły-szeli tylko takie oderwane zdania lub wyrazy, jak na-przykład: „jakiś kąt przy was — dla starca, który całe życie pracował...“, „jedyne dziecko...“, „sierota...“.

Oni zaś uspakajali go na wspólną i uspokoili tak dobrze, że w pół godziny potem pan Pławicki uderzył nagle po ramieniu Połanieckiego i rzekł:

— Ach rozbójniku! Toś ty myślał o Maryni, a ja myślałem, żeś ty trochę...

I resztę dokończył do ucha Połanieckiego, który zaczerwienił się z oburzenia i odpowiedział:

— Jak wuj może przypuszczać! Gdyby mi to kto inny śmiał powiedzieć...

— No, no, no! — odparł, śmiejąc się, Pławicki. — Niema dymu bez ognia.

Tegoż jeszcze wieczora Marynia, żegnając się z Połanieckim, spytała:

— Czy mi pan nie odmówi jednej rzeczy?

— Co tylko pani rozkaże.

— Bo ja sobie dawno powiedziałam, że jeśli przyjdzie taka chwila, jak dziś, to potem pojedziemy razem do Litki.

— A moja droga pani! — odpowiedział Połaniecki.

A ona mówiła dalej:

— Nie wiem, co tam ludzie powiedzą, ale co nam do świata — prawda?

— Naturalnie! Mielibyśmy też na ludzi się oglądać. Z duszy serca jestem pani wdzięczny za tę myśl. Moja droga pani, moja... Maryniu.

— Bo ja myślę, że ona patrzy na nas i modli się za nas.

— Tak, to nasza mała patronka.

— Dobranoc.

— Dobranoc.

— Do jutra.

— Do jutra — rzekł, całując jej rękę — do pojutra, codzień, i do...

Tu dodał ciszej:

— I do ślubu.

— Tak! — odpowiedziała Marynia.

Połaniecki wyszedł. W głowie i w sercu czuł wielki

zamęt myśli, uczuć, wrażeń, nad którymi panowało jedno główne pojęcie, że stało się coś niesłychanie stanowczego, że los jego został rozstrzygnięty, że czas namysłów, wahań się i zmian przeszedł, i że trzeba zacząć nowe życie. I to poczucie nie było mu nieprzyjemne, a nawet graniczyło z pewnem upojeniem, zwłaszcza gdy przypominał sobie, jak całował skroń i włosy Maryni. To *coś*, czego w jego uczuciu brakło, malało i ginęło w owem przypomnieniu prawie zupełnie — i Polanieckiemu zdawało się, że znalazł wszystko, czego do zupełnego szczęścia trzeba. „Tem się nie przesyćę, nigdy!” — myślał sobie i wprost zdawało mu się, że to jest niepodobieństwo. Przytem myślał o dobroci Maryni, o tem, jaka ona jest *pewna*, jak na takim sercu i charakterze można budować, jak w życiu z nią nigdy nie może grozić, jak ona nic w niem nie zdepcze, nic nie zmarnuje, jak przyjmie za złoto to, co jest w nim złotem, jak będzie żyła dla niego, nie dla siebie — i tak myśląc, zadawał sobie w duszy pytanie, co mógł lepszego znaleźć? — i prawie dziwił się swoim dawnym wahaniom.

Jednakże czuł jednocześnie, że to, co ma przyjść, jest zmianą tak olbrzymią, czemś tak bez miary stanowczem, że gdzieś, na dnie, w najgłębszym zakątku duszy, budził się w nim jakby niepokój przed owem szczęściem nieznanem.

Lecz nie wahał się: „Nie jestem ani tchórzem, ani niedołągą — (myślał). — Trzeba teraz iść naprzód — i pójde”.

Wróciwszy do domu, spojrzał na Litkę i natychmiast otworzył się przed nim jakby nowy jasny widno-

krag. Pomyślał, że może mieć dzieci. Taką oto jasną, drogą główkę — i to z Marynią! Na samą myśl o tem serce poczęło mu bić żywiej — i do porywu zmysłów dołączyła się taka jakaś otucha życiowa, jakiej od dawnych lat nie zaznał. Czuł się prawie zupełnie szczęśliwy. Spojrzawszy wypadkiem na list Bukackiego, który przy rozbieraniu się wydobyl z kieszeni, poczał się śmiać tak szczerze, że aż służący zajrzał ze zdziwieniem do pokoju. Połaniecki miał ochotę powiedzieć mu, że się żeni.

Zasnął dopiero nad ranem, ale wstał rzeźwy, wypoczęty i ubrawszy się, poleciał do biura, by jak najprędzej zwiastować nowinę Bigielowi.

Bigiel uściskał go, następnie poczał ze zwykłą sobie powolnością rozważać sprawę i wreszcie rzekł:

— Biorąc na rozum — to jest najmądrzejsza rzecz, jaką w życiu zrobileś.

Poczem, ukazawszy na biurko z papierami, dodał:

— Te kontrakty powinny być korzystne — ale tamten jeszcze lepszy.

— Co? nieprawda? — zawołał chęliwie Połaniecki.

— Lecę powiedzieć żonie — rzekł Bigiel — bo nie mogę wytrzymać, a ty sobie także idź i idź na dobre. Będę cię zastępował do dnia ślubu i przez miodowy miesiąc.

— Dobrze — odpowiedział Połaniecki — lecę odwiedzić Maszkę, a potem jedziemy z Marynią do Litki.

— To jej się od was należy.

Połaniecki zakupił znów po drodze kwiatów, dołączył do nich wiadomość, że zaraz przychodzi i wpadł do Maszki.

Maszko miał się pod opieką pani Krasławskiej znacznie lepiej i lada chwila spodziewał się jej przybycia. Tymczasem, wysłuchawszy nowiny, ścisnął rękę Połanieckiego z pewnem wzruszeniem i rzekł:

— Powiem ci tylko jedno: nie wiem, czy ona będzie z tobą szczęśliwa — ty z nią napewno.

— Bo kobiety są lepsze od nas — odpowiedział Połaniecki — spodziewam się, że po tem, co cię spotkało, i ty jesteś tego zdania.

— Wyznaję, że dotąd nie mogę ochłonąć ze zdumienia. Są zarazem i lepsze od nas i bardziej tajemnicze. Wyobraź sobie...

Tu Maszko zaciął się, jak gdyby się wahał, czy ma mówić dalej.

— Co? — spytał Połaniecki.

— Tak! ty jesteś dyskretny człowiek, a przytem dałeś mi takie dowody przyjaźni, że może nie być między nami tajemnic: wyobraź więc sobie, że wczoraj po twojem odejściu odebrałem anonim — tu, jak wiesz, panuje ten szlachetny obyczaj pisania anonimów — a w nim wiadomość, że papa Krasławski istnieje, żyje i ma się dobrze.

— Co znowu? Może być plotka.

— Ale może i nie być. Żyje podobno w Ameryce. List odebrałem podczas bytności pani Krasławskiej. Nie mówiłem jej nic, ale po pewnym czasie, gdy, po obejrzeniu tych oto portretów, poczęła mnie wypytywać o dalsze stosunki rodzinne, spytałem i ja ją z kolei, jak dawno jest wdową? Odpowiedziała mi na to: „Jesteśmy z córką same na świecie od dziewięciu lat, ale to są

smutne dzieje, o których dziś nie chcę mówić“. Uważ że nie odpowiedziała wprost, kiedy jej mąż umarł.

— I co ty na to?

— Ja myślę, że jeśli papa żyje, to musi być tego rodzaju figura, o której się nie mówi i że to naprawdę mogą być „smutne dzieje“.

— Tajemnica dawnoby się wydała.

— Te panie siedziały kilkanaście lat za granicą. Kto wie? Zresztą w niczem to moich zamiarów nie zmienia. Jeśli pan Krasławski siedzi w Ameryce i nie przyjeżdża tu, to musi mieć do tego dobre powody, więc tak, jakby go nie było. Owszem, teraz nabieram otuchy, że moje małżeństwo dojdzie do skutku, bo rozumiem, że gdy ludzie muszą coś ukrywać, wówczas mniej są wymagający.

— Wybacz mi moją ciekawość — rzekł Połaniecki, biorąc kapelusz — ale mnie chodzi o moją sumę, a teraz o Pławickich: czy ty wiesz napewno, że te panie mają pieniądze?

— Powiem ci otwarcie: zdaje się, że i grube, ale jednak stawiam na kartę trochę zakrytą. Prawdopodobnie mają znaczną gotówkę. Matka powiedziała mi kilkakrotnie, że córka jej nie potrzebuje się oglądać na majątek męża. Kasę żelazną widziałem. Dom prowadzą duży. Znam w Warszawie prawie wszystkich żydów i nieżydów, którzy pożyczają pieniędzy; i wiem napewno, że nikomu grosza nie winne. Jak sam wiesz, mają ładną willę niedaleko od Bigielów. Z kapitału nie żyją, bo są na to za mądre.

— Pozytywnej cyfry jednak nie wiesz?

— Próbowałem wypytywać, ale z daleka. Nie będąc zbyt pewnym stosunku z niemi, nie mogłem bardzo naciskać. Dano mi do zrozumienia, że będzie ze dwieście tysięcy rubli, a kiedyś więcej.

Połaniecki pożegnał się i, idąc do Pławickich, myślał:

— Wszystko to są jakieś tajemnice, jakieś mroki, jakieś ryzyka. Wolę Marynię.

I w pół godziny później jechali z Marynią na cmentarz, do Litki. Dzień był ciepły, jak na wiosnę, ale szaro: miasto wyglądało ponuro i brudno. Na cmentarzu topniejący śnieg opadał płatami na ziemię z grobów i odsłaniał żółkłą, nawpół przegniłą murawę. Z ramion krzyżów i z bezlistnych gałęzi drzew spadały duże krople, które zrywający się od czasu do czasu podmuch ciepłego wiatru rzucał w twarz Połanieckiemu i Maryni. Podmuchy owe szarpały jej suknię, tak, że musiała ją tłumić. Stanęli wreszcie u grobu Litki.

I tu wszystko było mokre, oślizłe, posępne, nawpół obnażone z topniejącego śniegu. Myśl, że to dziecko, którego niegdyś tak strzeżono, takie kochane i pieszczone, leży teraz w tej wilgoci i piwnicznym mroku, nie chciała się Połanieckiemu prawie w głowie pomieścić. „Wszystko to może naturalne — myślał — jednak ze śmiercią niepodobna się pogodzić“. I rzeczywiście tak było, że ilekroć odwiedzał Litkę, wracał z tego cmentarza z jakimś niepohamowanym buntem, z jakimś namiętym protestem w duszy. Te myśli poczęły go targać i w tej chwili; wydało mu się wprost strasznie kochać Litkę i pogodzić kochanie ze świadomością, że o kilka stóp poniżej ona tam leży, czarna i rozkładająca się. „Ja tu nie po-

winiem przychodzić — mówił sobie — bo tu wściekam się. tracę głowę i wszelkie podstawy do życia*. Przedewszystkiem jednak męczył się, bo jeśli o śmierci niepodobieństwem jest nie myśleć, równem niepodobieństwem jest coś wymyślić i dlatego wszystko, co o niej przychodzi do głowy, jest, o ile człowiek nie wyciągnie rąk do prostej wiary, zarazem rozpaczliwem i płytkiem, oklepanem, pospolitem. „Mnie tu chodzi więcej jak o samo istnienie, a umiem sobie odpowiedzieć tylko komunałem. Zupełne koło błędne!“ I to była prawda. Jeśli bowiem myślał naprzykład, że na pierwsze wspomnienie o śmierci wszystko staje się dymem i czuł, że, niestety, tak jest, czuł przytem, że tysiące ludzi zdobyły się na to pojęcie przed nim i że nikt nie znalazł w tem ani otuchy, ani nawet takiego zadowolenia, jakie daje wykrycie prawdy. Wszystko, co mógł sobie powiedzieć, było zarazem straszne i miałkie. Łatwo mu było rozumieć, że całe życie ludzkie, dzieje powszechne, wszelkie filozofie, są w gruncie rzeczy tylko walką ze śmiercią nieustanną, rozpaczliwą, zupełnie zrozumiałą i jednocześnie bezdennie głupią i bezcelową, bo z góry straconą. Ale takie rozumienie nie mogło mu przynieść żadnej ulgi, było ono bowiem tylko stwierdzeniem nowego koła błędnego. „Bo gdy jedynym celem wszelkich wysiłków ludzkich jest życie, a jedynym rezultatem śmierć, to bezsens przechodzi miarę i po prostu nie możnaby go przypuścić, gdyby nie owa oczywistość obmierzła i niemiłosierna, która istoty żywe i kochane zmienia w rzecz zgnilą“.

Połaniecki za każdą bytnością na ementarzu zatrutował się podobnemi myślami. Dziś, jadąc, sądził, że obe-

ność Maryni uwolni go od nich, tymczasem stało się raczej przeciwnie. Śmierć Litki, poderwawszy w nim ufność w sens i moralną celowość życia, podkopała właśnie w nim i tę pierwszą, dawną miłość do Maryni, tak naiwną i pozbawioną zwątpień; teraz więc, gdy wraz z Marynią stanął przy grobie Litki, gdy ta śmierć, która zaczęła być już tylko wspomnieniem, stała się znów czemś niemal dotykalnem, zatruwające jej działanie spotęgowało się znowu. Znowu mu się wydało, że całe życie, zatem i miłość, jest tylko obłudem, a zabiegi życiowe czemś zupełnie czczem i marnem. Jeśli nad życiem niema ani rozumu, ani miłosierdzia — to po co się trudzić, po co kochać, po co się żenić? Czy po to, żeby mieć dzieci, przywiązać się do nich każdą kroplą krwi, a potem patrzeć bezradnie, jak je owa ślepa, głupia, oburzająca i brutalna siła dusi, jak wilk jagnięta — i przychodzić do ich grobu z myślą, że pleśnieją w ciemności i wilgoci. Ot, Litka tam przecie leży!

Dziwnie posępny dzień potęgował tylko gorycz tych poczuć. Czasami, za poprzednich bytności, ementarz wydawał się Połanieckiemu jakąś wielką nicością, w której rozplywa się życie, ale rozplywa się i wszelka niedola, czemś ogromnie sennem i kojącem. Dziś nie było na nim spokoju. Płaty śniegu osuwały się z pni i grobów; wśród mokrych drzew tłukły się z krakaniem wrony. Nagle i potężne podmuchy wiatru rzucały kroplami wilgoci, oderwanemi od gałęzi i, gnąc je, tworzyły jakąś rozpaczliwą szarpaninę wśród nieruchomych, kamiennych i obojętnych krzyżów.

Wtem Marynia przestała się modlić i rzekła takim stłumionym głosem, jakim się mówi na cmentarzach:

— Teraz jej dusza musi być między nami.

Połaniecki nie odpowiedział nic, ale naprzód pomyślał, że on i Marynia są istotami, jakby z dwóch odrębnych światów, a następnie, że gdyby w tem, co ona mówi, była choć cząstka prawdy, to wszystkie jego duchowe rozterki byłyby mniej warte, niż ten topniejący śnieg. W takim razie, mówił sobie, istnieje umieranie i istnieją cmentarze, ale śmierci po prostu niema.

Marynia zaczęła układać teraz wianki z nieśmiertelników, które kupili przed bramą, on zaś myślał śpiesznie, raczej za pomocą poczuć, niż za pomocą myśli:

— W moim świecie niema na nic odpowiedzi, są tylko koła błędne, które się staczają w przepaść.

I uderzyło go to, że gdyby takie pojęcia o śmierci, jakie miała Marynia, nie wypływały z wiary, albo gdyby były zupełnie nieznanne i gdyby niespodzianie postawił je jaki filozof, jako hipotezę — toby tę hipotezę uznano za najgenialniejszą z genialnych — ona bowiem wszystko tłumaczy, na wszystko daje odpowiedź, rozświeca nie tylko życie, ale i śmierć, która jest ciemnością. Ludzkość kłękłaby z podziwu przed takim mędrcelem i taką naukową teorią.

Z drugiej strony czuł, że jednak było coś z Litki między nimi. Ona sama rozsypywała się w proch, ale coś ją przeżyło; zostały jakieś fale jej myśli, jej woli, jej uczucia. To, że on zbliżył się z Marynią, że byli narzeczonymi, że teraz stali przy grobie Litki, że się połączą, że życie pójdzie im razem, że będą mieli dzieci,

które z kolei będą żyły, kochały i mnożyły się — czemże było, jeśli nie taką falą, która, wyszedłszy z tego dziecka, mogła iść i iść w nieskończoność, odradzając się w nieśmiertelnym łańcuchu zjawisk. Jakże tedy zrozumieć, by z istoty śmiertelnej wyszła nieśmiertelna i nieskończona energia? Marynia w prostocie swej wiary znalazła na to odpowiedź — Połaniecki nie.

A jednak Marynia miała słusność. Litka była między nimi. Połanieckiemu przeleciało teraz przez głowę jakieś niejasne i niezwykłe w ścisłą myśl przypuszczenie, że może wszystko to, co człowiek za życia pomyśli, wszystko, czego chce, wszystko, co przekocha, jest taką, stokroć bardziej nieuchwytną, stokroć subtelniejszą od eteru materią, z której powstaje jakaś astralna istota, świadoma sobie i albo wieczna, albo przeradzająca się w istnienie coraz doskonalsze, subtelniejsze, aż do nieskończoności. I zdawało mu się, że atomy myśli i uczuć mogą się skupiać w odrębną jednostkę właśnie dlatego, że wychodząc z jednego mózgu lub serca, są sobie pokrewne, zatem dążą ku sobie z tej samej tajemniczej zasady, z jakiej skupiają się pierwiastki fizyczne, by wytworzyć fizyczną jednostkę. Obecnie nie miał czasu nad tem myśleć, ale zdawało mu się, że czegoś dostrzegł, że w zasłonie, którą miał na oczach, utworzyła się jakaś mała szpara. Mogło się to okazać złudzeniem, ale w tej chwili, gdy czuł, że Litka jest jednak między nimi, mniemał, że obecność jej w taki tylko sposób może być zrozumiałą.

Tymczasem nadszedł jakiś pogrzeb, bo w dzwonnicy, stojącej na środku cmentarza, poczęto dzwonić.

Połaniecki podał Maryni rękę i poszli ku bramie. W drodze Marynia, myśląc widocznie w dalszym ciągu o Litce, rzekła:

— Teraz jestem zupełnie pewna, że będziemy szczęśliwi.

I przytuliła się silniej do ramienia Połanieckiego, bo zresztą i uderzenia wiatru stały się tak potężne, że trudno jej było im się oprzeć. Jeden z podmuchów obwinął jej woalkę naokoło szyi Połanieckiego. Rzeczywistość poczęła go wołać. Przyciskał oto do boku ramię kochającej kobiety i czuł, że kochanie, jeśli nie jest zdolne przesłonić śmierci, to przynajmniej godzi z życiem.

Wsiadłszy do karety, wziął dłoń Maryni i nie wypuszczał jej przez całą drogę. Chwilami wracała mu niemal zupełna otucha, myślał bowiem, że owe braki, jakie istniały w jego uczuciu, ta słodka i dobra do gruntu dziewczyna potrafi wypełnić i wskrzesić wszystko, co zmarniało. „Moja żona! moja żona!“ — powtarzał sobie w duszy, patrząc na nią, a jej pocziwe jasne oczy odpowiadały mu: „twoja!“

Gdy zajechali do domu, pan Pławicki nie powrócił jeszcze z przedobiedniej przechadzki, znaleźli się więc sam na sam. Połaniecki siadł koło Maryni i pod wpływem tych myśli, które przechodziły mu przez głowę podczas drogi, rzekł:

— Pani powiedziała, że Litka była między nami — i to prawda! Ja zawsze wracałem jak święty z cmentarza, a jednak dobrze, żeśmy tam byli.

Marynia zaś odrzekła:

— Bo to tak, jakbyśmy jeździli po błogosławieństwo.

— Ja mam to samo wrażenie, i prócz tego, tak mi się wydaje, jakbyśmy już byli połączeni, a przynajmniej bliżsi sobie, niż przedtem.

— Tak — i to będzie i smutne i dobre wspomnienie.

Wtedy on wziął znowu jej ręce i rzekł:

— Więc jeśli pani ufa, że będziemy szczęśliwi, po co szczęście zwlekać? Moja dobra, moja najlepsza, i ja ufam, że nam będzie dobrze; nie zwłóczmy ślubu. Mamy zacząć nowe życie, to je zaczniemy prędko.

— To niech pan postanowi. Ja całą duszą jestem pana.

Na to on przyciągnął ją, jak pierwszego dnia, i po chwili znów począł szukać ustami jej ust, ona zaś, czy to pod wpływem myśli, że jego prawa są dziś już większe, czy pod wpływem budzących się zmysłów, nie odwracała już głowy, ale, zmrużywszy oczy, sama podała mu usta, jakby spragnione od dawna.

VII.

Dla Połanieckiego rozpoczął się teraz czas przedślubnych zabiegów i przygotowań. Mieszkanie miał wprawdzie gotowe przeszło od roku, to jest jeszcze zanim Marynię poznał. W swoim czasie, gdy Bukacki wyśmiewał się z tego mieszkania, widząc w niem dowód, do jakiego stopnia Połaniecki pała chęcią żenienia się, Połaniecki nie zaprzeczał:

— Tak jest — mówił. — Mam tyle, że mogę sobie na to pozwolić, a tymczasem wydaje mi się, że już zaczynam coś w tym celu robić i że moje zamiary stają się czemś rzeczywistym.

Bukacki nazywał to przezornością godną pochwały, przyczem wyrażał zdziwienie, że człowiek, tak przewidujący przyszłość, nie zamawia od razu akuszerki i niańki. Czasem tego rodzaju rozmowy kończyły się kłótnią. Połaniecki bowiem nie znosił, gdy mu ktoś odmawiał trzeźwego na świat poglądu. Bukacki zaś utrzymywał, że to jest ptasi, godny trznadla romantyzm, poczynać od budowy poetycznego gniazdka. Jeden twierdził, że nie może być nic rozsądniejszego, jak przygotować klatkę,

chcąc mieć ptaka; drugi odpowiadał, że gdy ptak jeszcze nieupatrzony i połów niepewny, klatka jest oszukiwaniem własnego apetytu. Kończyło się aluzjami do cienkich nóg Bukackiego, uniemożliwiających pogoń za wszelkiego rodzaju ptakami, choćby bez skrzydeł. Bukacki wpadał wówczas w wyśmienity humor.

Teraz jednak, gdy klatka była gotowa i ptak nie tylko złowiony, ale chętny, pozostawało jeszcze tyle do roboty, że Połanieckiego ogarniało nieraz zdziwienie, że akt, tak z natury prosty, jak ożenienie się, stał się w ucywilizowanych społeczeństwach tak złożonym. Zdawało mu się, że jeśli nikomu nie przysługuje prawo wglądać w moralną stronę związku, ponieważ jest on wypływem czystej wolnej woli — formalna strona winna być również mniej dozorowaną.

Ale myślał tak naprzód dlatego, że nie był prawodawcą, powtóre, że był człowiekiem prędkim, którego niecierpliwiła konieczność wyszukiwania „papierów,” a po trzecie, że, raz postanowiwszy się żenić, przestał się stanowczo namyślać, analizować — i dążył do tego, jak człowiek czynu. Nappełniało go to nawet nieraz dumą, gdy się porównywał z takim naprzykład Płoszowskim, którego historia, zanim zaczęła być znaną z jego własnego pamiętnika, krążyła już z ust do ust między ludźmi: „Jednakże ja jestem z innego metalu” — myślał z pewnem zadowoleniem Połaniecki. — Chwilami znów, gdy sobie przypominał postać Płoszowskiego, jego szlachetny i delikatny, a zarazem silnie zarysowany profil, jego wykształcenie, subtelność i giętkość umyslową, jego niesłychany dar jednania sobie ludzi, a zwłaszcza

kobiet, przychodziło mu na myśl, że jednak on, Połaniecki, jest typem mniej wytwornym, mniej uszlachetnionym i wogóle człowiekiem, wyciosanym z grubszego materiału. Wszelako odpowiadał sobie, że widocznie, wobec warunków życia i odporności, jakiej ono wymaga, jest rzeczą wprost zgubną być zbyt filigranem, tak pod względem umysłowym, jak i fizycznym. Widział w sobie również daleko większą zdolność życiową: „Ostatecznie — myślał — ja mogę się na coś przydać, podczas gdy on przydałby się tylko do postawienia na społeczną etażerkę z bibliotami. Ja potrafię chleb zdobyć, on potrafił tylko z gotowego kręcić gałki. Ja umiem, i dobrze umiem, farbować perkaliki, on umiał tylko farbować policzki kobiece. A jaka ogromna między nami różnica w stosunku do kobiety! Ten człowiek przeanalizował swoje życie i życie kochanej kobiety, zgubił ją i siebie, nie mogąc wyjść z wątpliwości, czy ją dość kocha; ja mam też wątpliwości, czy moja miłość jest zupełna, a jednak swoją kobiecinę biorę — i niedołągą byłbym, nie mężczyzną, gdybym się miał naprzód bać przyszłości i gdybym nie potrafił wycisnąć z niej w prosty sposób tyle dobra i szczęścia, ile się da wycisnąć.“

Tu Połaniecki, jakkolwiek zarzekał się analizy, poczynił analizować, wprowadzie nie siebie, ale Marynię. Pozwalał sobie zresztą na to tylko dlatego, że z góry był pewien pomyślnych wniosków. To jednak rozumiał, że, w obliczaniu przyszłości dwojga ludzi, dobra wola jednej strony nie wystarcza i staje się niczem na wypadek braku dobrej woli z drugiej strony. Ale był pewien, że biorąc Marynię, nie bierze martwego serca. Marynia

nietylko przyniosła na świat prawą naturę, ale od młodych lat zetknęła się z pracą i z warunkami, w których musiała zapominać o sobie, by myśleć o drugich. Prócz tego, było nad nią, równe jakby nieustającemu zagrobowemu błogosławieństwu, wspomnienie matki, której spokój, prostotę i prawosć, a zarazem życie pełne smutków, wspominano dotąd z największą czcią w całej okolicy Krzemienia. Połaniecki wiedział o tem i był przekonany, że budując na sercu i charakterze Maryni, buduje na niewzruszonej niemal podstawie. Nieraz przychodziły mu na myśl słowa jednej znajomej i przyjaciółki jego matki, która, zapytana, czy więcej się troszczy o przyszłość synów, czy córek, odpowiedziała: „Wyłącznie o synów, bo moje córki, w najgorszym razie, mogą być tylko nieszczęśliwe.“ Tak! synów chowa szkoła i świat — i oboje mogą z nich zrobić lotrów — córki, którym dom wszczepia poczciwość — „w najgorszym razie mogą być tylko nieszczęśliwe.“ Połaniecki rozumiał, że tak było i z Marynią. To też, jeśli ją analizował, była ta analiza raczej rozpatrywaniem się i lubowaniem jubilera w swoich klejnotach, niż metoda uczonego, który pragnie dojść do nieznanych i niedających się przewidzieć wniosków.

Jednakże raz pokłócili się z Marynią bardzo poważnie, z powodu listu Waskowskiego, który Połaniecki otrzymał z Rzymu, w kilka tygodni po wyjeździe profesora, i który odczytał w całości Maryni. List ten brzmiał, jak następuje:

„Mój drogi. Mieszkam via Tritone, pension Française. Odwiedź moje warszawskie mieszkanie; zobacz, czy Snopczyński dobrze dozoruje moich malców i czy

drobiazg świętego Franciszka ma podostatkiem wody i siemienia. Jak przyjdzie wiosna, trzeba otworzyć okna i klatki — kto chce, niech zostanie, a kto chce, niech leci. Malcy z rodzaju *homo sapiens* powinni mieć dobre pożywienie, bom na to zostawił, a prócz tego, mało moralów, a dużo miłości. Snopczyński jest dobry człowiek, ale melancholik. Powiada, że to skutkiem śniegów. Jak go napadnie, tak zwana przez niego „chandra,” po całych tygodniach patrzy na własne buty i milczy — a z dziećskami trzeba gadać, by nabrały zaufania. Otóż i wszystko co do Warszawy.

„Tę pracę mojego życia, o której ci mówiłem, drukuję tu po francusku w drukarni „L’Italie.“ Trochę się śmieją z mojej francuzczyzny i ze mnie, alem ja do tego przywykł. Przyjechał tu Bukacki. Dobrze, kochane chłopczyśko, zdziwaczał do reszty, i powiada, że powłóczy nogą, choć ja tego nie zauważyłem. On bardzo kocha i ciebie, i Marynię, a naprawdę to i wszystkich, pomimo, że się tego wypiera. Za to, jak zaczniesz wygadywać — uszy wędzną. Niech ci Pan Bóg błogosławi, drogi chłopcze i ciebie i twoją pocziwą Marynię. Chciałbym być na waszem weselu, ale nie wiem, czy mi tu skończą do Wielkiejnocy moją robotę; więc tymczasem posłuchaj, co ci powiem, i wiedz, że w tym celu piszę ten list. Nie myśl, że stary gada, byle gadać, bo przecież wiesz, że ja był nauczycielem, że od tego zajęcia uwolnił mnie dopiero spadek po bracie, że doświadczył i widział. Jeśli będziecie mieli dzieci — nie zamęczaj ich nauką, daj im rosnać wedle woli bożej. Mógłbym na tem skończyć, ale ty lubisz cyfry, więc dam ci cyfry. Małe dziecko ma

godzin pracy tyle, ile dorosły człowiek-urzędnik, z tą różnicą, że urzędnik gawędzi podczas biurowych godzin z kolegami lub pali papierosy, dziecko zaś musi przez cały czas wyęźać uwagę, bo inaczej zgubi wątek i przestanie rozumieć, co do niego mówią. Urzędnik po skończonej pracy idzie do domu, dziecko musi się przygotowywać na dzień następny, co zdolnemu zabiera cztery godziny, mniej zdolnemu — sześć. Dodaj do tego, że uboższe dzieci często dają lekcye, bogatsze je biorą — co razem wyniesie godzin dwanaście. Dwanaście godzin pracy dla dziecka! — czy ty to rozumiesz, mój drogi? Czy sobie zdajesz sprawę, jakie to z tego muszą wyrastać natury chore, zwichnięte, skłonne do najdzikszych manii — krzywe, odporne? Czy ty rozumiesz, jak my posiewamy naszemi dziećmi cmentarze — i dlaczego najpotworniejsze idee znajdują wyznawców? Ach, dziś ograniczają nawet pracę dorosłych po fabrykach — ale o tem filantropia milczy. O! to przecie pole — to gotowa zasługa — to przyszła świętość i sława! Nie zamęczaj mi swoich nauk — proszę cię o to! I proszę Maryni — przyrzeczcie mi to oboje. Ja nie gadam byle gadać, jak czasem mówi Bukacki, bo mówię z serca i to jest największa reforma, jaka czeka wieki przyszłe, największa po wprowadzeniu Chrystusa do dziejów. Zdarzyło mi się też kilka dni temu w Perugii coś dziwnego, ale o tem kiedyś ci opowiem, a teraz ściskam was oboje.“

Marynia słuchała tego listu, patrząc za przykładem owego Snopczyńskiego, o którym wspominał profesor, na końcu swych bucików. Połaniecki zaś począł się śmiać i rzekł:

— Czy pani słyszała coś podobnego? Jeszcze do naszego ślubu daleko, a profesor już lamentuje nad naszymi dziećmi i wstawia się za nimi. To trochę historia mego gniazdk.

Po chwili zaś dodał:

— Co prawda, to moja wina, bom mu poczynił rozmaite obietnice.

I pochyliwszy się tak, aby dojrzeć oczy Maryni, począł pytać:

— A co pani mówi na ów list?

Połaniecki, pytając w ten sposób, miał taką niešťczęśliwą chwilę, w której człowiek nie jest sam sobą — i postępuje niezgodnie z własną naturą. Był on wogóle charakterem raczej szorstkim, ale nie grubijańskim, a nawet zdolnym chwilami do prawdziwie kobiecych delikatności. Tymczasem teraz, zarówno w jego spojrzeniu, jak i w pytaniu, skierowanem do dziewczyny, tak przypominającej mimożę, jak Marynia, było wprost coś brutalnego. Ona wiedziała również, że za małżeństwem idą dzieci, ale przedstawiało jej się to, jako coś nieokreślnego, o czem się nie mówi, a jeśli się mówi, to albo w aluzyi, tak delikatnej jak koronka, albo w chwili jakiegoś wzruszenia, z bijącym sercem, z rozkochanemi ustami przy uchu, w nastroju niemal uroczystym, jak o jakimś sanctissimum wspólnej przyszłości. Więc też niedbały ton, z jakim mówił o tem Połaniecki, zarówno ją zabolął, jak oburzył. Mimowoli przyszło jej na myśl: „Dlaczego on tego nie rozumie?“ I z kolei ona postąpiła niezgodnie ze swoją naturą, bo, jak się to często

zdarza osobom nieśmiałym w chwilach przykrości i zmieszania, udała większy gniew, niż czuła rzeczywiście.

— Pan nie powinien się tak ze mną obchodzić — zawołała z oburzeniem. — Pan nie powinien tak do mnie mówić!

Połaniecki śmiał się jeszcze, chcąc nadrobić sztuczną wesołością.

— Czemu się pani gniewa? — spytał.

— Pan postępuje ze mną nie tak, jak powinien.

— Nie rozumiem, o co chodzi.

— To tem gorzej.

A jemu śmiech znikł z ust, twarz pociemniała z gniewu i począł mówić prędko, jak człowiek, który nagle przestaje się rachować ze słowami:

— Być może, że jestem głupi, ale wiem, co jest dobroć, a co nie. W ten sposób życie staje się niemożliwe. Kto z niczego robi wielkie rzeczy, niechże sam siebie wini, a ponieważ obecność moja jest pani przykra, więc sobie idę.

I porwawszy za kapelusz, uklonił się i wyszedł. Marynia nie próbowała go zatrzymywać. Przez chwilę jeszcze obraza i gniew przytłumiły w niej wszelkie inne uczucia, poczem pozostało jej tylko wrażenie, jakby ciosu obuchem. Myśli jej rozproszyły się jak stado ptaków, nad niemi zaś górowało tylko jedno niejasne pojęcie: „stało się! nie wróci!“ W ten sposób zapadał się nad nią gmach, który już począł był wiązać się w tak piękne linie. Pustka, nicość, męczące, bo bezcelowe życie i ścierpłe serce — oto, co jej pozostawało. A było już tak blisko do szczęścia!... Jednakże to, co się stało, stało się

tak nagle, było czemś tak niezrozumiałem, że nie umiała na razie zdać sobie z tego sprawy. Zbliżywszy się do biurka, poczęła na niem porządkować mechanicznie papiery, z jakimś bezmyślnym pośpiechem, jakby od uporządkowania ich mogło coś w tej chwili zależeć. Potem spojrziała na fotografię Litki i siadła nagle z dłońmi na oczach i skroniach. Po pewnym czasie jednak przyszło jej na myśl, że wola Litki musi być silniejsza od woli ich obojga — i zaświtał jej nagle promyk nadziei. Poczęła chodzić po pokoju i rozpamiętywać, co zaszło, przytem przypomniała sobie Połanieckiego, nie tylko jakim był w ostatniej chwili, ale i przedtem, dwa, trzy dni, tydzień temu. Żal jej był teraz już większy od urazy i powiększał się coraz bardziej — wraz z uczuciem dla Połanieckiego. Po niejakiem czasie poczęła sobie mówić, że nie wolno jej było się unosić, że obowiązkiem jej było przyjąć i kochać Połanieckiego takim, jakim był, nie zaś wymagać, żeby się dostosowywał do jej pojęć. „To przecie żywy człowiek, nie lalka“ — powtórzyła kilkakrotnie. I ogarniało ją coraz większe poczucie winy, a zatem i skruchy. Z natury potulne i bardzo zdolne do kochania serce, występowało do walki z trzeźwym rozumem, który posiadała niewątpliwie i który teraz próżno jej mówił, że słuszność nie była po stronie Połanieckiego, i że przecie nie powiedziała mu nic takiego, co by było nie do przebaczenia. Mówiła sobie: „Jeśli ma choć trochę dobre serce, to wróci“, ale zarazem zdejmowała ją obawa przed miłością własną mężczyzn wogóle, a Połanieckiego w szczególności, była bowiem zbyt inteligentną, żeby nie spozstrzedz, iż on dbał wielce o to, by uchodzić za człowieka

nieugiętego. Ale tego rodzaju uwagi, które niechętnie serce czyniłoby na jego niekorzyść, roztkliwiały ją już tylko dla niego.

I w pół godziny później była już do głębi duszy przekonana, że wina leży tylko li po jej stronie i że „tyle go już w życiu namęczyła“, że teraz powinna ustąpić, to jest pierwsza wyciągnąć rękę do zgody. Ustępstwo owo równało się w jej pojęciu napisaniu do niego kilku słów pojednawczych. „On się tak nacierniał z powodu tej sprawy Krzemienia, że mu się to należy“. I gotowa była choćby płakać nad jego losem. Spodziewała się przytem, że on, ten niegodziwy, brzydki człowiek, oceni to, ile ją kosztuje pisać do niego i przyjdzie jeszcze tego wieczora.

Zdało jej się, że nie łatwiejszego, jak skreślić kilka serdecznych wyrazów, takich, któreby, idąc od serca, szły wprost do serca. Ale co za trudność! List nie ma oczu, które zachodzą łzami, nie ma twarzy, która się uśmiecha zarazem smutno i słodko, nie ma głosu, który drga, nie ma rąk, które się wyciągają. List można czytać i rozumieć, jak się chce, bo to tylko czarne litery, na obojętnym jak śmierć papierze.

Marynia darła właśnie trzeci arkusik, gdy pomarszczona jak pieczone jabłko twarz pana Pławickiego, z świeżo ufarbowanymi wąsikami, ukazała się w uchylonych drzwiach.

— Niema Połanieckiego? — spytał.

— Niema, papo:

— A czy przyjdzie jeszcze?

— Nie wiem, papo — odpowiedziała z westchnieniem.

— Moje dziecko, jeśli przyjdzie, powiedz mu, że najdalej za godzinę wrócę i że chcę z nim pomówić.

— Och! i ja chcę z nim pomówić — pomyślała Marynia.

I przedarłszy trzeci arkusik, wzięła czwarty i poczęła się zastanawiać, czy całą kłótnię obrócić w żart, czy też po prostu przeprosić? Żart mógł mu się nie podobać; w przeproszeniu było coś cieplejszego, tylko — to takie trudne! Gdyby on nie był sobie polecał — dość było wyciągnąć rękę, ale on wyleciał jak z procy, ten złośnik, taki kochany...

I podniósłszy oczy do góry, poczęła usilnie pracować swoją ciemną główką, gdy nagle w przedpokoju ozwał się dzwonek. Maryni poczęło bić serce jak młotem, a przez głowę przelatowały jej jak błyskawice pytania:

— On? czy nie on?

Drzwi się otworzyły — to był on.

Wszedł jak wilk, z głową spuszczoną, z twarzą ponurą i widocznie bardzo niepewny, jak zostanie przyjęty; ale ona na jego widok zerwała się z bijącym jak u ptaka sercem, z rozpromienionym wzrokiem, szczęśliwa, ujęła niezmiernie tem, że wrócił — i pierwsza podbiegłszy ku niemu, położyła mu ręce na ramionach.

— A jaki dobry! jaki pocziwy! — poczęła mówić. — A czy pan wie, że ja chciałam już pisać do pana?

Połaniecki, przycisnąwszy jej ręce do ust, milczał przez czas jakiś, wreszcie rzekł:

— Pani mnie powinna kazać zrzucić ze schodów.

I w uniesieniu wdzięczności, przycisnąwszy ją do siebie, począł całować jej usta, oczy, skronie i włosy,

które rozwiązały się w uścisku. W takich chwilach zdawało mu się zawsze, że odnajduje wszystko, co stanowi zupełną i wielką miłość. Wreszcie puścił ją i mówił dalej:

— Pani jest za dobra. Chociaż to lepiej, bo to mnie ogromnie podbija. Przyszedłem panią przeprosić — nie więcej. Ja zaraz ochłonąłem... Nawymyślałem sobie od ostatnich słów i nie umiem powiedzieć, jak mi było żal. Chodziłem po ulicy, myślałem, że może panią zobaczę w oknie i że z twarzy pani poznam, czy mogę wrócić. Potem nie mogłem wytrzymać i przyszedłem...

— To ja przepraszam, to moja wina. Widzi pan podarty papier — pisałam i pisałam.

Ale on pożerał teraz oczyma jej włosy, które upinała pośpiesznie. Z zarumienioną twarzą, od której biła radość, ze śmiejącymi się od szczęścia oczyma, wydała mu się piękniejszą, niż kiedykolwiek i tak pożądaną, jak nigdy.

Marynia spostrzegła też, że patrzy na jej włosy i zmieszanie jej walczyło z czysto kobiecą kokieterią. Upinała je umyślnie niezręcznie, tak, że coraz większą falą pokrywały jej ramiona, a jednocześnie mówiła:

— Niech pan nie patrzy, bo sobie pójdę.

— To przecie moje bogactwo — odrzekł Połaniecki — a przytem w życiu nic podobnego nie widziałem!

I wyciągnął znów ku niej ręce, ale ona poczęła się wykręcać.

— Nie wolno, nie wolno — powtarzała — mnie i tak wstyd. Powinnam była odejść.

Włosy jednak zwolna przyszły do ładu, poczem siedli oboje i poczęli rozmawiać spokojniej, chociaż z oczyma w oczach.

— I pani naprawdę chciała pisać? — spytał Połaniecki.

— Widzi pan podarty papier.

— Szczerze mówię, że pani zbyt dobra.

Ona podniósłszy oczy i wpatrzywszy się w półkę przybitą nad biurkiem, odrzekła:

— Dlatego, że to była moja wina. Tak! tylko moja!

I sądząc, że nie może być dość wspaniałomyślną, dołąła po chwili, zaczerwieniwszy się po uszy i spuszcżając oczy:

— Bo jednak profesor Waskowski ma słuszność w tem, co pisze o... nauce.

Połaniecki miał w tej chwili ochotę klęknąć i ucałować jej nogi. Jej wdzięk i dobroć nie tylko rozbijały go, ale i naprawdę podbijały zupełnie.

— Żem zginął, tom zginął! — zawołał, jakby kończąc jakąś niewypowiedzianą słowami myśl. — Pani za-wojuje mnie zupełnie.

A ona poczęła trząść wesoło główką.

— Oj, nie wiem! Taki tchórz ze mnie.

— Tchórz z pani? Powiem pani jedną anegdotę. W Belgii znałem dwie panny Wauters, które miały fa-woryta kota. Poczcziwe stworzenie, zdawałoby się, że go można do rany przyłożyć. Potem jedna z nich dostała w podarku oswojonego zająca. Cóż pani powie! Kot się go tak bał, że ze strachu skakał na wszystkie szafy i piece. Raz poszły panny Wauters na spacer i nagle przypomniały sobie, że kot został z zającem. „A czy „Matou“ nie zrobi jakiej krzywdy zającowi?“ „Matou? on się go przecie tak boi, że ze skóry wyłazi!“ I poszły spo-

kojne. W godzinę potem wracają — i niech pani zgadnie, co się stało? Oto zastały tylko uszy z zająca. To zupełnie stosunek pań do nas. Niby się boicie, a potem zostają z nas tylko uszy!

I Połaniecki począł się śmiać, a Marynia z nim; po chwili zaś dodał:

— Wiem, że i ze mnie zostaną tylko uszy.

Mówił zresztą nieprawdę, bo miał poczucie, że będzie inaczej. Marynia też, pomyślawszy, odrzekła:

— Nie. Ja nie mam takiego charakteru.

— To i lepiej — odpowiedział Połaniecki — bo powiem pani szczerze, jaki wniosek wyprowadzam z moich życiowych obserwacji: oto większy egoizm bierze zawsze górę nad mniejszym.

— Albo też większa miłość poddaje się mniejszej — odpowiedziała Marynia.

— To na jedno wyjdzie. Co do mnie, wyznaję, że jakiegoś Heroda miałbym ochotę ot tak w rękę trzymać (tu Połaniecki otworzył palce, a potem ścisnął je w pięść), ale z takim gołębiem, jak pani — to rzecz całkiem inną. Z panią, myślę, trzeba będzie wojować o to, żeby pani nie zanadto wyrzekła się siebie, a nie za dużo oddawała. Taka już pani natura i ja wiem, kogo biorę. Zresztą wszyscy to mówią i nawet taki Maszko, który nie jest żadnym Salomonem, powiedział mi tak: Ona z tobą może być nieszczęśliwa, ty z nią — nigdy. I miał słuszność. Oto ciekawym, jaki będzie Maszko dla swojej żony. To twarda ręka.

— A bardzo zakochany?

— Nie tak, jak był przed pewnym czasem, gdy go trochę kokietowano.

— Bo nie był taki niegodziwy, jak pewien „pan Stach“.

— To będzie dziwne małżeństwo. Ona nie jest brzydka, choć jest blada i ma zawsze czerwone oczy. Ale Maszko żeni się dla majątku. Przypuszczał, że ona go nie kocha, i gdy była ta awantura z Gątowskim, (to także rycerz!) był pewien, że te panie skorzystają ze sposobności, by zerwać. Tymczasem stało się wprost przeciwnie — i niech pani sobie wyobrazi, że Maszko jest teraz znów niespokojny, że wszystko idzie tak, jak po maśle. Wydaje mu się to podejrzanę. To są jakieś dziwne rzeczy. Istnieje jakoby i pan Krasławski... Bóg wie co!... Wszystko to razem jest głupie. Tam nie będzie szczęścia, przynajmniej takiego, jak ja sobie wyobrażam.

— A jak pan sobie je wyobraża? — spytała Marynia.

— Ja myślę, że szczęście jest w tem, żeby wziąć kobietę pewną — tak jak pani — i jasno widzieć przyszłość.

— A ja myślę, że w tem, żeby być kochaną, ale to jeszcze nie dość.

— Cóż jeszcze?

— Żeby być tego wartą i żeby...

Tu panna Marynia nie umiała przez jakiś czas znaleźć słów, w końcu jednak rzekła:

— I żeby wierzyć w męża... i żeby z nim razem pracować.

VIII.

Połaniecki nie mylił się. Maszce szło wszystko tak pomyślnie, pani i panna Krasławska zapowiadały się tak wzorowo, że był coraz niespokojniejszy. Chwilami sam się śmiał z tego, a ponieważ przed Połanieckim nie miał od pewnego czasu nic skrytego, więc któregoś dnia rzekł mu z całym cynizmem:

— Mój drogi — to są po prostu anioły, a mnie włosy na głowie powstają, bo w tem coś jest.

— Podziękuj lepiej Panu Bogu!

— Kiedy są za idealne, bez żadnej wady, nawet bez próżności. Wczoraj, naprzykład, dałem im do zrozumienia, że jestem adwokatem tylko dlatego, iż mojem zdaniem synowie lepszych rodziców powinni się teraz do czegoś brać i czemś być. Zgadnij, co mi odpowiedziały? Oto, że to jest takie dobre stanowisko, jak i każde inne, że dla nich, byle praca, każda dobra, i że tylko liche i próżne natury mogą się pracy wstydzić. Wystrzeżaly tyle ładunków nabitych komunałami, że miałem im ochotę odpowiedzieć jakąś sentencją z wzorów kaligraficznych: „Honor jest jak przepaścista skała“ — lub coś

podobnego! Połaniecki, ja ci powiadam, że w tem coś tkwi. Myślałem, że papa, ale nie papa. Mam już o nim wiadomość, mieszka w Bordeaux, nazywa się tam Mr de Langlais — i ma swoje ognisko rodzinne, nie tyle legalne, ile licznie otoczone, które utrzymuje za pensję, otrzymywaną od pani Krasławskiej.

— Co ci to szkodzi?

— Nic a nic.

— Jeśli tak, to są nieszczęśliwe kobiety — i cała rzecz.

— Tak, ale czy dochody ich odpowiadają nieszczęściom? Pamiętaj, że mam ciężary. Przytem, widzisz, jeśli to są takie kobiety, jak się wydają, a w dodatku bogate, to gotówem się naprawdę zakochać i to będzie głupio; jeśli się okaże, że nie mają nic, albo mało, to gotówem się także zakochać i to będzie jeszcze głupiej. Ona ma dla mnie urok.

— Nie. To będzie jedyna rzecz mądra, w każdym razie. Ale ty jednak myśl o sobie, Maszko, a trochę o mnie i o Pławickich. Wiesz, że ja nie mam zwyczaju w tych rzeczach folgować, a terminy się zbliżają.

— Jeszcze palę w kotle — kredytem. Wy zresztą siedzicie na hipotece Krzemienia. Za parę dni będzie u pani Krasławskiej wieczór zaręczynowy, po którym mam nadzieję, że się czegoś pewnego dowiem.

Tu Maszko począł monologować:

— Że jednak tak pozytywny człowiek, jak ja, wszedł jak w las, to nie do pojęcia. Z drugiej strony niema tu człowieka, między tymi nawet, co najlepiej wiedzą, jak kto stoi, któryby pozwolił sobie wątpić o majątku pani Krasławskiej. A jednak, one są takie szlachetne!!!...

— Twoje obawy są też prawdopodobnie płonne — przerwał z pewną niecierpliwością Połaniecki. — Ale ty, mój kochany, nie jesteś wcale pozytywny człowiek, boś zawsze udawał i jeszcze coś udajesz, zamiast patrzeć tego, co ci dawało chleb.

W kilka dni później odbył się rzeczywiście zaręczynowy raut Maszki, na którym była i Marynia, albowiem pani Krasławska, której się pan Pławicki podobał i którego koligacye były jej wiadome, nie unikała z nim stosunków, tak, jak z Bigielami. Maszko sprowadził wszystkich swych znajomych o rozgłosnych nazwiskach, ze szklami na oczach i z rozdzielonemi na dwie połowy głowami, po większej części bardzo młodych i przeważnie niezbyt lotnych. Było między nimi pięciu braci Wyżów, których zwano: Mizio, Kizio, Bizio, Breloczek i Tatuś. Dawano im nazwę pięciu braci śpiących, gdyż, odczuwając pobudki życiowe wyłącznie w nogach, ożywiali się tylko w karnawale, a drętwieli zupełnie, przynajmniej pod względem umysłowym, na post. Bukacki kochał ich i cieszył się nimi. Był baron Kot, który, zasłyszawszy coś od kogoś o jakimś starożytnym Kocie z Dębna, dodawał zawsze, gdy go przedstawiano: „z Dębna“, a który na wszystko, co do niego mówiono, odpowiadał stale: „Quelle drôle d'histoire!“ Maszko był z nimi wszystkimi na: „ty“, chociaż traktował ich z pewnym rodzajem lekceważenia, również jak i Kopowskiego, młodzieńca o przepysznej, idealnej głowie i tak samo przepysznych jak bezmyślnych oczach. Kategorję rozumniejszych przyjaciół Maszki przedstawiali Połaniecki i Kresowski. Pani Krasławska zaprosiła również kilkanaście dam z córkami, koło których

kręcili się z niedbałością i flegmą Wyże, a których panieńskie serduszka były za zbliżeniem się Kopowskiego, mniej zważając na jego duchowe podobieństwo z Hamletem, polegające na tem, że jeśli nie on, to mózg jego mógłby się zmieścić „w skorupie od orzecha“. Kilka poważnych łysin stanowiło dopełnienie salonu.

Panna Krasławska, ubrana biało, mimo zaczerwienionych oczu, wyglądała nader powabnie. Był w niej istotnie jakiś kobiecy urok, polegający na dziwnym, prawie sennym spokoju. Przypominała nieco postacie Perugina. Chwilami ożywiała się, jak alabastrowa lampka, w której nagle rozbłyśnie światło — po chwili znów gasła, ale gasła nie bez wdzięku. Tego wieczora, przybrana w lekką białą suknię, wydawała się ładniejszą, niż zwykle. Połaniecki, patrząc na nią, myślał, że może mieć dość oschłe serce i dość oschlą głowę, ale może być przyzwoitą żoną, zwłaszcza dla Maszki, który, w gruncie rzeczy, nad wszystko cenił przyzwoitość światową. Pożycie ich zapowiadało się jak chłodny i błady dzień, w którym słońce nie dopieka, ale też i burza nie grozi. Teraz oto siedzieli w końcu salonu, nie za blisko, ale też nie za daleko od reszty towarzystwa; zajmowali się sobą nie więcej i nie mniej, niż wypadało; w jego obejściu się z nią widać było tyle uczucia, ile było trzeba, ale przede wszystkim chęć, żeby się wydać narzeczonym „correct“ — ona zaś odpłacała mu tą samą monetą. Uśmiechali się do siebie przyjaźnie; on mówił więcej od niej, jako przyszły przewodnik i głowa domu, czasem patrzyli sobie w oczy, słowem, tworzyli najbardziej poprawną i najbardziej wzorową parę narzeczonych, jak

sobie można było w znaczeniu światowem wyobrazić. „Jabym nie wytrzymał“ — mówił sobie Połaniecki. — I nagle przypomniał sobie, że podczas, gdy ona tu sobie siedzi, konwencyjonalnie uśmiechnięta, spokojna, biała, ten ów doktorzyna, który nie mógł „duszy od niej odebrać“ — próchnieje gdzieś, między zwrotnikami, równie spokojnie pod ziemią, zapomniany, tak jakby nigdy nie istniał. I porwała go złość. Odczuł nietylko pogardę dla serca panny Krasławskiej, ale ten jej spokój wydał mu się czemś w złym smaku, jakąś duchową martwością, która niegdyś była w modzie i na którą wówczas, widząc w niej coś demonicznego, piorunowali poeci, ale która z czasem spospoliciała i stała się równą moralnej nicości i głupocie. „To przedewszystkiem jest gęś, a w dodatku gęś bez serca“ — pomyślał Połaniecki. — I w tej chwili niepokój Maszki z powodu szlachetnego zachowywania się tych pań, stał mu się zrozumiałym, do tego stopnia, że Maszko urósł w jego opinii, jako człowiek przenikliwy i sprytny.

Potem począł porównywać własną narzeczoną z panną Krasławską i z wielkiem wewnętrznem zadowoleniem powiedział sobie: „Maryśka, to zgoła inny gatunek.“ Czuł, że wypoczywa duchowo, patrząc na nią. O ile tamta była jakby sztuczną rośliną, wyhodowaną nie w szerokich zdrowych powiewach, ale pod szkłem, o tyle od tej biło życie i ciepło, a pomimo tego porównanie wypadło na korzyść Maryni nawet pod względem światowym. Połaniecki nie lekcewazył zupełnie tak zwanej „dystynkcyi,“ rozumiejąc, że jeśli nie zawsze, to często odpowiada ona pewnemu duchowemu wykoń-

czeniu, zwłaszcza u kobiet. Owóż, patrząc to na jedną, to na drugą, doszedł do przekonania, że owo wykończenie, które u panny Krasławskiej jest czemś nabytem i krępującem, u Maryni czemś wrodzonym. W taniej było to narzuconą zewnętrznie suknią, w tej duszą i jakby naturalną cechą gatunku, uszlachetnionego przez długie wieki kultury. Biorąc z poglądów Bukackiego tyle, ile mu było potrzeba, to jest, ile w nich było trafnego, Połaniecki przypomniał sobie, co tenże nieraz powtarzał, że kobiety, bez względu na pochodzenie, dzielą się na patrycyuszki, mające kulturę, zasady i duchowe potrzeby wprowadzone w krew, i na parweniuszki, które ubierają się w nie, jak w mantylki, tylko do gości. Obecnie, spoglądając na szlachetny profil Maryni, Połaniecki myślał z chępliwością małomieszczanina, żeniącego się z księżniczką, że bierze patrycyuszkę w całym znaczeniu tego wyrazu.

I do tego patrycyuszkę bardzo ładną. Nieraz kobietom potrzeba tylko trochę pola i trochę szczęścia, by zakwitnąć. Marynia, która Połanieckiemu, w chwili, gdy wrócił z pogrzebu Litki, wydała się prawie brzydką, teraz dziwiła go czasami swoją urodą. Panna Krasławska wyglądała przy niej, jak spłowiała suknia przy nowej, i gdyby fortuna panny Pławickiej była na wysokości jej urody, uchodziłaby niewątpliwie za piękność. I tak, Wyże, nakładając binokle na swoje końskie nosy, spoglądali na nią z pewnym podziwem, zaś baron Kot z Dębna oświadczył poufnie, iż prawdziwe szczęście, że już narzeczona, bo gdyby tak nie było, to kto wie, czyby nie „wdepnął.“

Połaniecki też mógł zauważyć tego wieczora jeden rys swego charakteru, którego się nie domyślał. Oto był

zazdrosny. Ponieważ był jednocześnie przekonany, że Marynia jest kobietą zupełnie pewną, której można ślepo zaufać, przeto zazdrość ta była prostą niekonsekwencyą. W swoim czasie zazdrosny był o Maszkę, i to rozumiało się samo przez się; ale teraz sam nie umiał sobie zdać sprawy, dlaczego naprzykład taki Kopowski, ze swoją głową archaniola, a ptasim mózgiem, może go drażnić dlatego tylko, że siedzi koło Maryni i zadaje jej zapewne mniej lub więcej niedorzeczne pytania, na które ona mniej lub więcej uprzejmie odpowiada. Początkowo począł sam sobie robić wyrzuty. „Trudno jednak wymagać od niej, żeby mu pokazała język!“ Później wszelako osądził, że Marynia zanadto często zwraca się ku Kopowskiemu, że patrzy na niego zbyt ciekawie i odpowiada mu zbyt uprzejmie. Przy kolacyi, siedząc koło niej, był zły i milczący, a gdy go spytała o powód, odpowiedział najniedorzeczniej:

— Nie chcę psuć wrażenia, jakie sprawił pan Kopowski.

A jej podobało się to, że był o nią zazdrosny, więc ścisnąwszy kąćki ust dla stłumienia uśmiechu i spoglądając na niego uważnie, rzekła:

— Czy pan także sądzi, że w panu Kopowskim jest coś nadzwyczajnego?

— Owszem, owszem! On nawet, jak idzie ulicą, to zdaje się, że niesie głowę na świeże powietrze, z obawy, żeby mu jej móle nie zjadły.

Kąćki ust Maryni wytrzymały próbę, ale oczy śmiały się widocznie, wreszcie, nie mogąc wytrzymać, rzekła cicho:

— Szkaradny zazdrośnik.

— Ja? Bynajmniej!

— No, to powiem panu wyjątek z naszej rozmowy. Pan wie, że wczoraj był na estradzie w czasie koncertu wypadek katalepsyi. Dziś mówiono o tem koło nas, więc tak, między innymi, spytałam pana Kopowskiego, czy widział kataleptyka? Wie pan, co mi odpowiedział? Że każdy może mieć inne przekonania. A co? czy nie nadzwyczajny człowiek?

Połaniecki udobruchał się i poczał się śmiać.

— Ale ja pani powiadam, że on wprost nie rozumie, co się do niego mówi, i odpowiada byle co.

I resztę wieczora spędzili już przy sobie, w dobrej zgodzie. W chwili rozstania, gdy Pławicy, mając tylko podwójną karetkę, nie mogli zabrać Połanieckiego, Marynia pochyliła się ku niemu i spytała:

— Czy brzydki grymaśnik przyjdzie jutro na obiad?

— Przyjdzie, bo kocha — odpowiedział Połaniecki, otulając jej nogi futrem.

Ona zaś odszepnęła mu do ucha, jakby wielką nowinę:

— I ja także.

A jakkolwiek on, w chwili gdy to mówił, był zupełnie szczery, ona jednak mówiła większą prawdę.

Maszko odprowadzał Połanieckiego do domu. Po drodze rozmawiali o dzisiejszym wieczorze. Maszko opowiadał, że przed przybyciem gości próbował mówić z panią Krasławską o interesach, ale mu się nie powiodło.

— Była chwila — rzekł — że chciałem postawić kwestyę jasno, ubrawszy ją oczywiście w możliwie deli-

katne formy. Ale bałem się. Ostatecznie, dlaczego ja wątplię o posagu mojej narzeczonej? Tylko dlatego, że te panie obchodzą się ze mną przyzwoiciej, niżem się spodziewał. Jako humor, to jest bardzo dobre, ale boję się za daleko posuwać, bo nuż moje obawy okażą się płonne, nuż one mają rzeczywiście pieniądze — i oburzą się, gdy moja ciekawość okaże się zbyt interesowną. Trzeba się i z tem liczyć, bo mogę się rozbić u portu.

— Więc dobrze — odpowiedział Połaniecki — dajmy na to — i to zresztą jest prawdopodobne, że mają, ale gdyby się pokazało, że nie — co zrobisz wówczas? Czy masz gotowy plan? Zerwiesz z panną Krasławską, czy się z nią ożenisz?

— Nie zerwę w żadnym razie, bo nic na tem nie zyskam. Jeśli moje małżeństwo nie przyjdzie do skutku, zbankrutuję i tak. Ale powiem wówczas jasno, jakie jest moje położenie finansowe i przypuszczam, że panna Krasławska ze mną zerwie.

— Jeśli zaś nie?

— Zakoçam się w niej i zacznę układać się z wierzycielami. Przestaną, jak mówisz, „udawać“ — i będę się starał zarobić na chleb dla nas obojga. Jestem niezłym adwokatem. O tem wiesz.

— To jest dość przyzwoite — odpowiedział Połaniecki — ale mnie to nie uspokaja co do Pławickich i co do mnie.

— Wy jesteście w lepszym położeniu od innych, bo siedzicie na Krzemieniu. W danym razie ty weźmiesz wszystko w swoje twarde łapy i coś tam wyciśniesz.

Gorzej z tymi, którzy mi wierzyli na słowo, i powiem ci w oczy, że mi więcej o nich chodzi. Miałem, a nawet mam, ogromne zaufanie... To dziś moja bolączka. Ale jeśli mi dadzą czas, to jakoś wyłatam... Gdybym zaś miał trochę szczęścia w domu, a w niem sprężynę do roboty...

Tu doszli do mieszkania Połanieckiego, więc Maszko nie dokończył myśli. W chwili jednak, gdy się mieli pożegnać, rzekł nagle:

— Słuchaj. Ty mnie masz trochę za szuję — a ja mniej nią jestem, niż myślisz. *Udawałem* — jak powiadasz — prawda! musiałem się wykręcać, jak piskorz, i w tych wykrętach schodziłem czasem z bitej drogi... Alem się zmęczył i powiem ci otwarcie, że chce mi się trochę szczęścia, bom go nie miał. Dlatego chciałem się żenić z twoją dzisiejszą narzeczoną, choć jest niemajątna. A co do panny Krasławskiej, czy ty wiesz, że są czasem chwile, w których wołałbym, żeby się okazało, że nic nie ma, ale żeby w zamian nie opuściła mnie, gdy się dowie, że i ja nic nie mam. To ci szczerze mówię — a teraz: dobranoc!

— No! — mówił sobie Połaniecki — to coś w Maszce nowego.

I wszedł do bramy. Stanąwszy u drzwi, usłyszał ze zdziwieniem w swoim mieszkaniu fortepian. Służący powiedział mu, że to Bigiel czeka na niego od dwóch godzin.

Połaniecki zaniepokoił się, ale pomyślał, że gdyby powodem bytności Bigiela było co niepomysłnego, toby nie wygrywał na fortepianie. Jakoż okazało się, że Bi-

gielowi potrzeba było pilno tylko podpisu Połanieckiego do sprawy, która musiała być załatwiona nazajutrz rano.

— Mogłeś mi zostawić papiery i iść spać — rzekł Połaniecki.

— Ja też wyspałem się u ciebie na sofie, a potem siadłem do fortepianu. Niegdyś grałem tak dobrze, jak i na wiolonczeli, ale teraz już palce ciężkie. Twoja Marynia podobno gra: to taka miła rzecz w domu!

A Połaniecki począł się śmiać swoim szczerym, życzliwym śmiechem.

— Moja Marynia? Moja Marynia posiada talent ewangeliczny: „nie wie lewica, co robi prawica“. Biedactwo kochane! Nie ma też żadnej pretensyi i grywa tylko wówczas, kiedy ją o to proszą.

Na to rzekł Bigiel:

— Niby się to wyśmiewasz, ale tak się wyśmiewają tylko zakochani.

— Bo też jestem zakochany najzupełniej. Przynajmniej teraz tak mi się wydaje, a wogóle muszę powiedzieć, że mi się to wydaje coraz częściej. Chcesz, Bigiel, herbaty?

— Dobrze. Wracasz od pani Krasławskiej?

— Tak.

— Cóż Maszko? Dobija do brzegu.

— Przed chwilą się z nim rozstałem. Odprowadzał mnie do bramy. Jednakże on mówi czasem takie rzeczy, którychby się po nim nikt nie spodziewał.

I Połaniecki rad, że ma z kim pogawędzić i czując potrzebę poufnej rozmowy, począł opowiadać, co słyszał

od Maszki i jak dalece zdziwił się, znalazłszy romantyka pod skórą człowieka tego rodzaju.

— Maszko nie jest szują — rzekł Bigiel. — On jest tylko na drodze do rozmaitych zbroczeń, a powodem tego jest jego próżność i cześć dla pozorów. Ale z drugiej strony, ta cześć dla pozorów chroni go od ostatecznego upadku. Co zaś do romantyka, którego w nim odkryłeś...

Tu Bigiel obciął koniec cygara, zapalił je z wielką uwagą, marszcząc przytem brwi, i siadłszy wygodnie, mówił dalej:

— Bukacki powiedziałby na ten temat z dziesięć ironicznych paradoksów o naszym społeczeństwie... To mi utkwiło w głowie, coś mi mówił, jak on napadał na nas za to, że tu się zawsze coś, albo kogoś kocha. Jemu się zdaje, że to głupie i do niczego, a ja w tem widzę wielki przymiot. Trzeba czemś na świecie stać, a co my mamy? Pieniędzy nie mamy, rozumu o tyle o ile, daru orientowania się w położeniu niewiele, gospodarności — mało; my naprawdę mamy to jeszcze, że tu się prawie mimowoli, przez jakiś ogólny nastrój, coś, albo kogoś kocha, a jeśli się nawet nie kocha, to się czuje tego potrzebę. Ty wiesz, że ja jestem rozsądny człowiek i kupiec, więc mówię trzeźwo. Ja się nad tem zastanawiałem z powodu Bukackiego... Taki Maszko naprzykład gdzieindziej byłby szelmą z pod ciemnej gwiazdy. I takich znam wielu. Tu jednak nawet pod szują możesz się doskrobać człowieka — i to jest prosta rzecz! Bo ostatecznie, póki się w brzuchu ma jeszcze jakąś iskrę, póty się nie jest zupełnem bydłem — a tu się ją ma, właśnie dlatego, że się coś kocha.

— Przypominasz mi Waskowskiego. To, co mówisz, to niedalekie od jego poglądów na misję najmłodszych z Aryów.

— Co mi tam Waskowski! Mówię to, co myślę. Wiem jedno: odejmij nam to — a rozlecimy się, jak beczka bez obręczy.

— Więc słuchaj, co ci powiem. Jest to rzecz we mnie dość dawno rozstrzygnięta. Kochać, lub nie kochać kogoś, to kwestya osobista, ale rozumiem, że coś trzeba w życiu kochać. I ja także zastanawiałem się nad tem. Po śmierci tego oto dziecka, czułem, że pewne strony we mnie licho wzięło — czasem czuję to jeszcze. Dziś nie, ale miewam chwile — jakby ci powiedzieć: odpływu, wyczerpania, zwątpień — i jeśli się pomimo tego żenię, to dlatego, iż rozumiem, że trzeba dać życiowy i silny podkład pod ogólniejszą miłość...

— Dlatego i nie dlatego — odpowiedział nieubłągany w swym rozsądku Bigiel — bo ty się żenisz wcale nie z powodów czysto rozumowych. Bierzesz ładną i poczciwą dziewczynę, do której cię ciągnie i nie wmawiaj w siebie, że jest inaczej, bo i ty zaczniesz udawać... To, mój kochany, te wątpliwości przed ożenieniem się ma każdy. Ja, jak mnie widzisz — nie żaden filozof, a dzień się raz na dzień pytałem siebie przed ślubem, czy ja dość kocham moją przyszłą, czy tak jak potrzeba, czy nie za mało duszą, a nie za wiele zmysłami? Bóg wie co! Potem ożeniłem się, wziąłem dobrą kobietę i jest nam dobrze. Wam również będzie dobrze, byleście po prostu rzeczy brali, bo to ciągle zachodzenie w głowę i rozpatrywanie jakichś tajników serca — to dalibóg głupstwo.

— Może i głupstwo — odpowiedział Połaniecki.—
Ja też nie mam zamiłowania do leżenia do góry brzuchem i analizowania się od rana do wieczora, ale nie mogę nie widzieć faktów.

— Jakich faktów?

— Takich, jak na przykład, że moje uczucie nie jest tem, czem było na początku. Myślę, że tem będzie, przyznaję, że do tego idzie. Żenię się mimo tych spostrzeżeń tak, jakby one nie istniały, ale je robię.

— To wolno.

— I widzisz, co jeszcze prócz tego myślę: że trzeba jednak, by okna domu wychodziły na słońce, inaczej będzie w mieszkaniu zimno.

— Toś dobrze powiedział — odrzekł Bigiel.

IX.

Tymczasem zima poczęła się przełamywać, nadchodził koniec postu, a tem samem zbliżał się termin ślubu tak Połanieckiego, jak Maszki. Bukacki, zaproszony na drużbę, odpisał mu między innymi, co następuje: „Wytrącać wszechsiłę twórczą ze stanu ogólnego, to jest ze stanu doskonałego spoczynku, i zmuszać ją za pomocą zawieranych na ziemi małżeństw do wcielenia się w mniej więcej wrzaskliwe szczegóły, wymagające kołysek i zabawiające się trzymaniem wielkiego palca od nogi w ustach, jest zbrodnią. Przyjadę jednak, ponieważ piece są u was lepsze, niż tu.“ Jakoż na tydzień przed świętami przyjechał i przywiózł w darze Połanieckiemu misternie ozdobną pergaminową kartę, w rodzaju klepsydry pogrzebowej, na której był napis: „Stanisław Połaniecki, po długim i ciężkim kawalerstwie etc.“

Połaniecki, któremu karta się podobała, poniósł ją nazajutrz koło południa Maryni. Zapomniał jednak, że to niedziela, i ułożywszy sobie z góry miłe spędzenie czasu do obiadu, doznał jakby rozczarowania, zastawszy Marynię w kapeluszu:

— Pani wychodzi? — spytał.

— Tak. Do kościoła. Dziś niedziela.

— A, niedziela!... Prawda! A ja myślałem, że sobie posiedzimy razem. Takby było przyjemnie.

A ona podniosła na niego swoje pogodne niebieskie oczy i rzekła z prostotą:

— A służba boża?

Połaniecki na razie przyjął te słowa tak, jakby był przyjął każde inne, nie przewidując, że w duchowym procesie, jaki mu później przyszło przechodzić, odegrają one, właśnie z powodu swjej prostoty, pewną rolę. Tymczasem odrzekł, jakby powtarzając je mechanicznie:

— Mówi pani: służba boża. Owszem! Ja mam czas; pójdziemy razem.

Marynia przyjęła to oświadczenie z wielkiem zadowoleniem. Po drodze rzekła:

— Ja, to im jestem szczęśliwsza, tem bardziej Pana Boga kocham.

— To także znak dobrej natury, inni tylko myślą o Bogu, jak bieda.

I w kościele przyszło mu znów na myśl to, o czem myślał w czasie pierwszej swej bytności w Krzemieniu, gdy razem ze starym Pławickim byli na nabożeństwie w Wątorach: „Wszystkie filozofie i systemy lichu bierze, jeden po drugim, a msza po staremu się odprawia.“ Zdawało mu się, że jednak jest w tem coś niepojętego. On, który z powodu Litki zetknął się ze śmiercią w sposób tak bolesny, wracał ustawicznie do tych ciemnych zagadnień, ilekroć zdarzyło mu się być czy na cmentarzu, czy w kościele na mszy, czy w jakichkolwiek oko-

licznościach, w których odbywało się coś, nie mającego związku z bieżącymi realnymi potrzebami życia, ale obliczonego na pozagrobową przyszłość. Uderzyło go, jak jednak w życiu wiele się robi dla tej przyszłości, i jak, mimo wszelkich filozofowań, wątpliwości, żyje się tak, jakby ona była zupełnie niewątpliwą, ile się dla niej poświęca z osobistych małych egoizmów, ile się spełnia filantropijnych czynów, jak się wznosi ochrony, szpitale, kościoły, a wszystko na ten rachunek, płatny dopiero poza grobem.

Jeszcze bardziej uderzyła go myśl, że naprawdę, żeby się pogodzić z życiem, trzeba naprzód pogodzić się ze śmiercią, a bez wiary w coś zagrobowego, jest to wprost niemożliwe. Natomiast, gdy się ją ma, kwestya upada, jakby jej nie było. „Niech dyabli wezmą żalobę — włóżmy sobole!“ Bo jeśli tak, to czegoż można chcieć więcej? Ma się przed sobą tylko widok jakiegoś nowego istnienia, w najgorszym razie, ogromnie ciekawego — i ta pewność równa się spokojowi i ciszy. Przykład tego miał teraz Połaniecki w Maryni. Z powodu nieco krótkiego wzroku, trzymała głowę schyloną nad książką, ale gdy chwilami podnosiła ją, Połaniecki widział twarz tak pogodną, tak pełną roślinnego niemal spokoju, i tak ukojoną, że po prostu anielską. — „To jest szczęśliwa kobieta, i będzie zawsze szczęśliwa! — mówił sobie — i w dodatku ma rozum, bo gdyby po stronie przeciwnej była przynajmniej pewność — byłaby zarazem i ta pociecha, jaką daje prawda — ale mordować się dla rozmaitych znaków zapytania — to czyste głupstwo.“

Po drodze do domu, Połaniecki, myśląc ciągle o tym wyrazie Maryni, rzekł:

— W kościele wyglądała pani jak jakiś profil Fra Angelica. Miała pani twarz istoty zupełnie szczęśliwej.

— Bo też ja teraz jestem szczęśliwa. A wie pan dlaczego? Oto dlatego, że jestem lepsza, niż byłam. Miałam wówczas w sercu urazę i niechęć, nie miałam przed sobą żadnej nadziei i wszystko to razem złożyło się na taką gorycz, że strach! Powiadają, że nieszczęście uszlachetnia wybrane dusze, ale ja nie jestem wybraną duszą. Zresztą, może nieszczęście uszlachetnia, ale gorycz, ale uraza, ale niechęć — psuje... To jak trucizna.

— Bardzo mnie pani wówczas nienawidziła?

Marynia spojrzała na niego i odrzekła:

— Tak nienawidziłam, że po całych dniach myślałam tylko o panu.

— Maszko ma spryt — odpowiedział Połaniecki — on kiedyś określił mi to tak: „Wolała ciebie nienawidzić, niż mnie kochać.“

— Oj, że wolałam, to wolałam!

Tak rozmawiając, doszli do domu. Połaniecki miał wtedy czas rozwinąć swoją pergaminową klepsydrę i pokazać ją Maryni. Ale jej koncept ten się nie podobał. Brała ona małżeństwo nietylko od strony serca, ale od strony religii. „Z takich rzeczy się nie żartuje“ — rzekła — i po chwili przyznała się Połanieckiemu, że czuje urazę do Bukackiego.

Po obiedzie nadszedł Bukacki. Przez te kilka miesięcy pobytu we Włoszech stał się jeszcze cieńszym, co było dowodem przeciw skuteczności „chianti“ na katar

zołądka. Nos jego przypominał subtelnością ostrze noża, a humorystyczna, ironicznie uśmiechnięta twarzyczka uczyła się jakby porcelanową i nie większą od pięści dorosłego mężczyzny. Był on krewnym i Połanieckiego, i Maryni, i dlatego mówił przy nich, co mu się podobało. Od progu niemal oświadczył im, że wobec coraz częstszych obecnie na świecie zbroczeń umysłowych, może tylko ubolewać, ale nie dziwi się, iż się zaręczyli. Przyjechał wprawdzie w nadziei, że potrafi ich jeszcze uratować, ale widzi teraz, że się spóźnił i że nie pozostaje mu nic innego, jak rezygnacja. Marynia, słysząc to, poczęła się oburzać, ale Połaniecki, który go lubił, rzekł:

— Zachowaj koncepta na mowę weselną, którą musisz powiedzieć, a teraz powiedz nam tylko, jak się ma nasze profesorzysko?

Na to Bukacki odpowiedział poważnie:

— Dostał pomieszania zmysłów.

— Niech pan nie żartuje w ten sposób — rzekła Marynia.

A Połaniecki dodał:

— I tak marnie.

Lecz Bukacki ciągnął z równą powagą:

— Profesor Waskowski ma pomieszanie zmysłów, a oto są moje dowody: po pierwsze, chodzi po Rzymie bez kapelusza, a raczej chodził, bo obecnie jest w Perugii; powtóre, napadł na młodą i przystojną Angielkę, dowodząc jej, że Anglicy są tylko w prywatnym życiu chrześcijanami, ale że stosunek Anglii do Irlandyi nie jest chrześcijański; po trzecie: drukuje broszurę, że misya ożywienia i odrodzenia dziejów duchem chrześcijańskim

powierzona została najmłodszym z Aryów. Pozwólcie, że to są dowody.

— Wiedzieliśmy to przed wyjazdem profesora, i jeśli nic więcej mu nie grozi, to mam nadzieję, że zobaczymy go w dobrym zdrowiu.

— On nie myśli o powrocie.

Lecz Połaniecki wydobyl notes, napisał kilka słów ołówkiem i podawszy Maryni, rzekł:

— Niech pani przeczyta i powie, czy dobrze?

— Skoro przy mnie piszą, usuwam się — rzekł Bukacki.

— Nie, nie! — to nie sekret!

A Marynia zaczerwieniła się jak wiśnia z radości, i jakby nie chcąc oczom wierzyć, poczęła pytać:

— Czy to naprawdę? Nie?...

— To zależy od pani.

— Ach, panie Stachu!... Anim o tem marzyła. Muszę powiedzieć papie, muszę!

I wybiegła z pokoju.

— Gdybym był poetą, tobym się powiesił — rzekł Bukacki.

— Dlaczego?

— Bo jeśli parę słów, skreślonych ręką współnika Domu Bigiel i S-ka, może zrobić więcej wrażenia, niż najpiękniejszy sonet, to lepiej jest być chłopcem młynarskim, niż poetą.

Ale Marynia w uniesieniu radości zapomniała książeczki notatkowej, więc Połaniecki pokazał ją Bukackiemu, mówiąc:

— Czytaj.

Bukacki przeczytał:

„Po ślubie Wenecya, Florencya, Rzym, Neapol — czy dobrze?”

— Więc to podróż do Włoch?

— Tak. Wyobraź sobie, że to biedactwo nie było nigdy w życiu za granicą, a Włochy wydawały jej się zawsze zaczarowanym krajem, o którego widzeniu ani marzyła. To wielka radość dla niej — a u licha, cóż dziwnego, że ja trochę myślę o jej przyjemnościach.

— Miłość i Włochy! O Boże, ileś ty już razy na to patrzył! Wszystko to stare, jak świat.

— Nieprawda! Zakochaj się, a obaczysz, że znajdziesz w tem coś nowego.

— Mój kochany, nie o to chodzi, że ja się jeszcze nie kocham, tylko o to, że się już nie kocham. Dawno wygrzebałem z piasku tego Sfinxa i nie jest już on dla mnie zagadką.

— Bukacki, ożeń się.

— Nie mogę. Mam za słaby wzrok i za słaby żołądek.

— Cóż to za przeszkoda?

— Bo widzisz, kobieta jest jak papierowa karta. Anioł pisze z jednej strony, dyabeł z drugiej, papier przebija, słowa się mieszają i robi się bigosik, którego ja nie mógłbym ani przeczytać, ani strawić.

— Że też ty możesz całe życie żyć konceptami!

— Tak samo umrę, jak i ty, który się żenisz. Nam się zdaje, że my myślimy o śmierci: ona o nas lepiej myśli.

Tymczasem Marynia wróciła z ojcem, który uścił skał Połanieckiego i rzekł:

— Mówiła mi Marynia, że chcecie jechać do Włoch po ślubie.

— Jeśli moja przyszła pani się zgodzi.

— Przyszła pani nietylko się zgadza — odpowiedziała Marynia — ale straciła głowę z radości, i ma ochotę skakać po pokoju, jakby miała dziesięć lat.

Na to pan Pławicki rzekł:

— Jeśli krzyżyk samotnego starca może się wam przydać w daleką podróż, to was żegnam.

I wznosił oczy i rękę ku górze, ku niewymownej radości Bukackiego, lecz Marynia ściągnęła w dół wzniesioną rękę pana Pławickiego i, pocałowawszy ją, rzekła, śmiejąc się:

— Papiusiu, będzie czas, toż my się dopiero tam kiedyś po ślubie wybieramy.

— I właściwie mówiąc — dodał Bukacki — to kupuje się bilety, oddaje się na wagę rzeczy i jedzie się — nic więcej.

Na to pan Pławicki zwrócił się do młodego cynika i odpowiedział z pewnem namaszczeniem:

— Czy jużście do tego doszli, że błogosławieństwo samotnego starca i ojca uważacie za zbyteczne?

Lecz Bukacki, zamiast odpowiedzi, objął w pól pana Pławickiego, pocałował go w okolice kamizelki i rzekł:

— A czyby „samotny starzec“ nie zagrał w pikietę, żeby tym dwom szalonym głowom dać się wygadać?

— Ale z rubikonem? — odpowiedział pan Pławicki.

— Ze wszystkim, czego pan chce.

To powiedziawszy, zwrócił się do młodej pary:

— Najmijcie mnie za przewodnika po Włoszech.

— Ani myślę — odpowiedział Połaniecki. — Byłem tylko w Belgii i we Francyi, Włoch nie znam, ale chcę widzieć to, co nas będzie interesowało, nie to, co ciebie. Widziałem takich, jak ty, i wiem, że wy przez prerafinowanie dochodzicie do tego, że nie kochacie sztuki, tylko własne znawstwo.

Tu Połaniecki mówił dalej do Maryni:

— Tak, oni do tego dochodzą. Tracą poczucie wielkiej i prostej sztuki, a szukają czegoś, co może zająć jeszcze ich przesył — i dowieść znawstwa. Nie widzą drzewa, tylko wyszukują sęków. Nie obchodzą ich najwięksi, których my pojedziemy oglądać, tylko jacyś najmniejsi, o których nikt nie słyszał; wydobywają jakieś nazwiska z pod ciemnej gwiazdy; zajmują się tą lub ową manierą, wmawiają w siebie i w drugich, że rzeczy gorsze, bardziej niedołęzne, są ciekawsze od lepszych i doskonalszych. My za jego przewodem moglibyśmy nie zobaczyć całych kościołów, a widzielibyśmy rozmaite rzeczy, które przez lupę trzeba oglądać. Mówię pani, że wszystko to przesył, nadużycie i prerafinowanie — a my sobie prości ludzie.

Marynia patrzyła na niego z dumą, jakby chciała powiedzieć: „O to, to się nazywa mówić!“ Duma zaś jej wzrosła jeszcze, gdy Bukacki rzekł:

— Masz wszelką słuszność.

Lecz oburzyła się, gdy po chwili dodał:

— A powtóre, gdybyś jej nie miał, przed tym oto trybunałem nie wygrałbym sprawy.

— Przepraszam, ja wcale nie jestem zaślepiona.

— A ja wcale nie jestem znawcą sztuki.

— Owszem, pan jest.

— Jeśli jestem, tedy oświadczam, że znawstwo obejmuje tylko więcej szczegółów, wcale zaś nie przeszkadza kochaniu wielkiej sztuki, i niech pani wierzy nie Połanieckiemu, ale mnie.

— Nie! Wolę wierzyć panu Połanieckiemu.

— Co było do przewidzenia — odpowiedział Bukacki.

Marynia poczęła spoglądać to na jednego, to na drugiego, z trochę zakłopotaną miną, ale tymczasem pan Pławicki nadszedł z kartami. Narzeczeni chodzili pod rękę po pokojach, Bukacki zaś wkrótce począł się nudzić i nudził się coraz bardziej. W końcu wieczora, humor, który go ożywiał, zgasł, mała twarzyczka stała się jeszcze mniejszą, nos jeszcze ostrzejszym i wyglądał jak zwiędły liść. Wieczorem, gdy wyszli razem z Połanieckim, ten spytał:

— Coś ci zbrakło animuszu?

— Bo ja jestem jak maszyna — odrzekł Bukacki — póki mam w sobie paliwo, póty jadę, ale jak wieczorem ranny zapas się wyczerpie, to stoję.

A Połaniecki spojrział na niego uważnie:

— Czemuże ty w sobie palisz?

— Są rozmaite rodzaje węgla. Chodź do mnie, dam ci filiżankę dobrej kawy, to nas ożywi.

— Słuchaj, to jest delikatna rzecz, ale mnie ktoś mówił, że ty się od dawna morfinizujesz.

— Od bardzo niedawna — odrzekł Bukacki — żebyś ty wiedział, jakie to horyzonty otwiera.

— I zabija. Bójże ty się Boga!

— I zabija. Powiedz mi tak szczerze, czy tobie kiedy przyszło do głowy, że można mieć po prostu nostalgiją śmierci?

— Nie — rzekł Połaniecki — ja rozumiem rzecz przeciwną.

Na chwilę umilkli.

— Ale ja ci nie dam ani morfiny, ani opium — rzekł wreszcie Bukacki — tylko dobrej kawy i butelkę ucziwego Bordeaux. Będzie to niewinna orgia.

Po jakimś czasie doszli do mieszkania Bukackiego. Było to mieszkanie prawdziwie zamożnego człowieka, trącające nieco pustką, ale pełne drobiazgów, mających związek ze sztuką, obrazów i rycin. Lampy paliły się w kilku pokojach, bo Bukacki nie znosił ciemności nawet podczas snu.

„Bordeaux“ znalazło się w pogotowiu, a pod maszynką od kawy zapłonął po chwili błękitny płomyk. Bukacki wyciągnął się na sofie i rzekł nagle:

— Bo może ty jednej rzeczy nie przypuszczasz, że, jak mnie widzisz takiego filigranowego, jak jestem, ja nic a nic nie boję się śmierci.

— To jedno czasem przypuszczałem — odpowiedział Połaniecki — że ty dowcipkujesz i dowcipkujesz, ludzisz sam siebie i drugich, a w gruncie rzeczy w tobie tego niema — i że to wszystko jest sztuczne.

— Głupota ludzka bawi mnie trochę.

— Ale ty, jeśli się masz za mądrego, jak mogłeś sobie tak marnie życie urządzić?

Tu Połaniecki obejrzał się na biblioty, obrazy i dodał:

— Bo w całym tem otoczeniu, ty jednak marnie żyjesz.

— Dosyć marnie.

— Ty także należysz do tych, którzy *udają!* Co za choroba w tem społeczeństwie! Pozujesz i cała rzecz!

— Czasem. Ale zresztą to się zmienia w naturę.

Bukacki zwolna, pod wpływem „Bordeaux“, ożywał się i stawał się rozmowniejszym, jakkolwiek nie powracała mu wesołość.

— Widzisz — rzekł — jednej rzeczy nie udaję. Oto wszystko, co sam mogłem sobie powiedzieć, lub co ktoś może mi powiedzieć, pomyślałem i powiedziałem sobie od dawna. Prowadzę najgłupsze i najbardziej czcze życie, jakie można prowadzić. Naokoło mnie jest ogromna nicość, której się boję i którą zarzucam takimi oto gratami, jakie widzisz w tym pokoju, żeby się mniej bać. Nie lękać się śmierci, to co innego, bo się po śmierci nie czuje, ani myśli. Wtedy ja będę stanowił także cząstkę nicości, ale czuć ją, żyjąc, uświadamiać ją, zdawać sobie z niej sprawę, dalibóg, nie może być nic podlejszego. Przytem stan mego zdrowia jest zły naprawdę i odejmuje mi wszelką energię. Nie mam w sobie paliwa, więc go sobie dodaję. Mniej w tem jest pozy i udawania, niż przypuszczasz. Że poddawszy sobie paliwa, biorę życie ze strony humorystycznej, to naśladuję w tem chorego, który leży na tym boku, na którym mu leżeć najdogodniej. Tak mi najdogodniej, a że pozycya jest sztuczna, zgadzam się; każda inna jednak byłaby dokuczliwsza. I oto przedmiot wyczerpany.

— Gdybyś ty się wziął do jakiej roboty.

— Dajże spokój. Naprzód, ja mnóstwo rzeczy wiem, a nic nie umiem; powtóre, jestem chory; po trzecie, radźże paralitykowi, żeby dużo chodził, kiedy on nie włada nogami. Przedmiot wyczerpany! Napij się oto wina i mówmy o tobie. To dobra panna, panna Pławicka, i dobrze robisz, że się z nią żenisz. Co ja tam gadam sobie w dzień, to się nie liczy. To dobra panna i ona ciebie kocha...

Tu Bukacki, ożywiony i podniecony widocznie winem, począł pospiesznie mówić:

— Bo co ja po dniu gadam, to się nie liczy. Teraz jest noc, pijemy wino i przychodzi szersza chwila. Chcesz jeszcze wina, czy kawy? Lubię ten zapach: trzeba zawsze mieszać mokkę i ceylon w równych częściach... Przychodzi teraz szersza chwila! Wiesz, co ja w gruncie rzeczy myślę. Nie mam dobrego pojęcia, ile szczęścia może dać sława, bom jej nie posiadał, a że świątynia w Efezie już spalona, więc niema przedemną widoków... Przypuszczam jednak, ot tak sobie, że tę ilość mogłaby zjeść mysz, i to nietylko na czczo, ale po dobrem śniadaniu w szpitalu... Wiem natomiast, co jest dostatek, bo go trochę mam; wiem, co są podróże, bom się włóczył; wiem, co swoboda, bom swobodny; wiem, co kobiety — oj, u diabła! aż nadto! — i wiem, co książki. Prócz tego, w tym pokoju mam trochę obrazów, trochę rycin i trochę porcelany... A teraz słuchaj, co ci powiem: wszystko to nic! wszystko marność! głupstwo! próchno! w porównaniu z jednym sercem, które kocha! Ot, rezultat moich spostrzeżeń — tyłkom ja doszedł do tego na końcu, co dla normalnych ludzi jest początkiem.

Tu począł gorączkowo mieszać łyżeczką w kawie, a Połaniecki, który był bardzo żywy, zerwał się i rzekł:

— A ty bestyo jedna! A cóżes to gadał przed kilku miesiącami, że pyrgasz do Włoch, bo tam ciebie nikt nie kocha, ani ty nikogo nie kochasz. Pamiętasz, może się będziesz wypierał?

— A cóżem gadał dziś rano tobie i twojej narzeczonej? żeście powaryowali? A teraz tobie mówię, że dobrze robisz! Cóż ty chcesz odemnie logiki! Gadać a mówić, to dwie rzeczy różne. A teraz jestem szerszy, bom wypił dwie butelki wina.

Lecz Połaniecki począł chodzić po pokoju i powtarzać:

— No, dalibóg! to coś bajecznego. Ot, jaki jest grunt rzeczy i co oni wszyscy mówią, gdy się ich przycisnie.

Bukacki nalał trochę drżącą ręką drugą filiżankę kawy i mówił dalej:

— Kochać — to już dobrze, ale jest jeszcze coś lepszego — to być kochanym. Nadto już niema nic! Co do mnie, oddałbym te wszystkie... Ale o mnie nie warto mówić. Życie jest to lichy i bez talentu napisana komedia — nawet to, co ogromnie boli, bywa czasem jak lichy melodramat; ale jeśli w życiu jest co dobrego, to tylko być kochanym. Wyobraź sobie, żem tego nie zaznał — a tyś to znalazł, nie szukając...

— Tego nie mów, bo nie wiesz, jak mi to przyszło.

— Wiem. Mówił mi Waskowski... To zresztą wszystko jedno. Rzecz w tem, żebyś to umiał cenić.

— A czegoż ty chcesz? Rozumiem także, że mnie trochę kochają, więc żenię się i koniec.

Na to Bukacki położył mu rękę na ramieniu.

— Nie, Połaniecki. Ja jestem głupcem względem siebie samego, ale niezłym obserwatorem tego, co się koło mnie dzieje. To nie koniec — to początek... Większość mężczyzn mówi tak, jak ty: „żenię się — i koniec!“ — i większość się myli.

— Tej filozofii ja nie rozumiem.

— A to widzisz o to chodzi: nie dość kobietę wziąć — trzeba jej się także dać — i trzeba, żeby to czuła. Rozumiesz?

— Nie bardzo.

— No, to udajesz naiwnego: trzeba, żeby się czuła nie tylko własnością, ale i właścicielką. Dusza za duszę! — inaczej można kark skrócić. Małżeństwa bywają dobre, albo złe. Maszki będzie złe dla dwudziestu powodów, a między innymi i dla tego, o którym chcę mówić.

— On jest innego zdania, ale dalibóg szkoda, żeś ty się nie ożenił. skoro tak dobrze rozumiesz, jak powinno być.

— Gdyby rozumieć i działać zgodnie z rozumem znaczyło toż samo, nie byłoby rozmaitych — przerozmaitych — upadków, od których nas wszystkich kości bołą. Zresztą wyobraź sobie mnie żeniącego się!

Tu Bukacki począł się śmiać swoim cienkim głosikiem. Wróciła mu nagle wesołość, a z nią i widzenie rzeczy ze strony komicznej.

— Ty będziesz śmieszny, a cóż dopiero ja!... Boki zrywać, co to za chwila! Obaczysz za dwa tygodnie...

Naprzykład, jak się będziesz ubierał do kościoła. Tu miłość, bicie serca, poważne myśli, nowa epoka... w życiu; tam ogrodnik z bukietami, frak, zgubione spinki, zawiązywanie krawata, wciąganie lakierów — wszystko razem, jeden chaos, jeden bigos... Ratujcież mnie anieli niebiescy! Lituję się nad tobą, mój kochany — i proszę, byś nie brał na seryo tego, com mówił. Zdaje się, że to nów', a ja na nowiu miewam manię mówienia sentymentalnych komunałów. Wszystko głupstwo!... To nów' — nie więcej! Byłem tkliwym, jak owca, która straciła pierworodne — i niech mnie kaszel porwie, jeśli nie mówił komunałów.

Lecz Połaniecki napadł na niego:

— Widziałem mnóstwo rzeczy marnych, ale wiesz, co mi się wydaje najmarniejszem w tobie i w tobie podobnych? Oto, że wy, którzy wyzwalacie się ze wszystkiego, nie uznajecie nad sobą nic, boicie się jak ognia każdej uczciwej prawdy, dlatego tylko, że ktoś kiedyś mógł ją już wypowiedzieć. Jakie to liche, to dalibóg słów brak! Co do ciebie, mój kochany, szerszy byłeś przed chwilą, niż teraz... Teraz znów jesteś pudlem, który tańczy na dwóch nogach — ale ja ci powiadam, że dziesięciu takich, jak ty, nie wytlómaczy mi, że nie wygrał wielkiego losu na loteryi.

I pożegnał Bukackiego z pewnym gniewem — w drodze jednak uspokoił się i powtarzał ustawicznie:

— Ot, gdzie prawda! Ot, co mówi taki Maszko i nawet taki Bukacki, gdy chce być szczerym — a ja wygrałem po prostu wielki los — i nie strwonię tego, com wygrał.

Poczem, wróciwszy do domu i spojrzawszy na fotografię Litki, rzekł głośno: „Moje kociątko kochane!...“ Aż do chwili zaśnięcia myślał następnie o Maryni ze słodyczą i zarazem ze spokojem człowieka, który czuje, że jakieś wielkie zadanie życiowe zostało stanowczo rozwiązane i dobrze rozwiązane.

Bo jednak, mimo słów Bukackiego, był przekonany, że gdy się ożeni — to tem samem wszystko będzie rozstrzygnięte i skończone.

X.

„Katastrofa,“ jak mówił Bukacki, wreszcie nadeszła. Połaniecki doświadczył też, że jeśli jest w życiu wiele takich dni, w których człowiek nie może połapać własnych myśli, do takich należy przede wszystkim dzień ślubu. Chwilami kilkanaście naraz kręciło się w jego mózgu, tak niewyraźnych, że podobnych raczej do nieświadomionych dokładnie wrażeń, niż do myśli. Czuł więc, że w życiu jego zaczyna się nowa epoka, że bierze na siebie wielkie obowiązki, które spełnić trzeba sumiennie i poważnie, a jednocześnie, ale to zupełnie jednocześnie, dziwił się, że kareta dotąd nie zajeżdża i zdziwienie swoje wyrażał w kształcie groźby: „Niech mi się szelmy spóźnią, to im karki pokręcę.“ Opanowywał go chwilami nastrój uroczysty i jakby uczciwa bojaźń przed tą przyszłością, za którą brał na siebie odpowiedzialność — czuł w sobie pewną podniosłość i w tem uczuciu podniosłości poczynił mydlić brodę i namyślał się, czy na dzień tak wyjątkowy nie wartoby wyjątkowo sprowadzić fryzjera do swej nieco niesfornej czupryny. Marynia podstawiała się współcześnie we wszystkie jego wrażenia. Widział ją, tak, jakby była przed

nim. Myślał, że się w tej chwili także ubiera, że stoi w swoim pokoju przed lustrem, że mówi ze służącą, a dusza jej leci ku niemu i serce bije niespokojnie. Wówczas chwyciło go rozczulenie i monologował: „Tylko ty się tam nie bój, moje pocziwe stworzenie, bo, dalibóg, ja ci krzywdy nie zrobię“ — i widział się w przyszłości dobrym, wyrozumiałym, tak, że z pewnem wzruszeniem począł spoglądać na lakierki, stojące obok fotelu, na którym leżało ślubne ubranie. Powtarzał sobie także od czasu do czasu: „Kiedy się żenić, to się żenić!“ Mówił sobie, że był głupi, wahając się, bo takiej drugiej Maryni niema na świecie; czuł że ją kocha, a zarazem myślał, że pogoda jest niezła, ale że może i deszcz upaść, że w kościele Wizytkowskim może być chłodno, że za godzinę będzie klęczał przy Maryni, że bezpieczniej jest wziąć biały krawat wiązany, niż przypinany; że jednak ślub jest chyba najważniejszym w życiu obrządkiem, że jest w tem chyba coś świętego i że nie trzeba, u licha, głowy tracić w żadnych okolicznościach, bo za godzinę to się skończy, nazajutrz wyjadą, a potem zacnie się normalne i spokojne życie męża z żoną.

Te myśli jednak rozlatywały się chwilami jak stado wróbli, w które ktoś nagle z za płotu strzeli — i w głowie Połanieckiego robiła się próżnia. Mechanicznie wówczas przychodziły mu na usta tego rodzaju frazesy, jak na przykład: „Ósmy kwietnia, jutro środa! jutro środa! mój zegarek! jutro środa!“ — Później budził się, powtarzał sobie: „Trzeba być idyotą!“ — i rozproszone ptaki wracały znowu całym stadem do jego głowy i poczynały w niej wicherzyć.

Tymczasem nadjechał Abdulski, komisant Domu „Połaniecki, Bigiel i S-ka,“ który, obok Bukackiego, miał być drugim družbą. Będąc z pochodzenia Tatarem i człowiekiem smagłym, chociaż przystojnym, wyglądał we fraku i białym krawacie tak pięknie, iż Połaniecki wyraził nadzieję, że zapewne także wkrótce się ożeni. Abdulski odpowiedział: „Chciałaby dusza do raj,“ poczem rozpoczął pantominę, mającą przedstawiać liczenie pieniędzy i począł mówić o Bigielach. Wszystkie dzieci chciały być na ślubie i na weselu, Bigielowie zaś postanowili wziąć tylko dwoje starszych, z czego powstały niesnaski i różnica zdań, wypowiedana ze strony pani Bigielowej za pomocą klapsów. Połaniecki, który był wielki dzieciarz, oburzył się tem nadzwyczajnie i rzekł:

— Ja Bigielom figła zrobię. Czy oni już pojechali?

— Zaraz mieli wyjeżdżać.

— To dobrze, to ja wpadnę do nich, po drodze do państwa Pławickich, zabiorę wszystkie dzieciśka i wysypię je przed panią Bigielową u mojej narzeczonej.

Abdulski wyraził przekonanie, że Połaniecki tego nie zrobi, ale tem bardziej utwierdził go tylko w zamiarze. Jakoż, siadłszy do karety, pojechali wprost po dzieci. Nauczycielka Bigielów, wiedząc, jakie stosunki łączą Połanieckiego z domem, nie śmiała się sprzeciwiać, tak, że w pół godziny później, Połaniecki, ku wielkiemu przerażeniu pani Bigielowej, wszedł do państwa Pławickich na czele całego stadka Bigieląt, ubranych w codzienne sukienki, z poprzekrzywianymi kołnierzymi, z czuprynami po większej części w nieładzie i z minami nawpół uszczęśliwionemi, a nawpół przestraszonymi.

I podbiegłszy do Maryni, rzekł, całując jej ręce, przybrane już w białe rękawiczki:

— Chcieli dzieciska pokrzywdzić. Niech pani powie, żem dobrze zrobił!

A Marynię ujął i ucieszył naprawdę ten dowód jego dobrego serca, więc rada była dzieciom z całej duszy, a nawet rada i z tego, że zebrani goście poczytali jej przyszłego za oryginała, i że pani Bigielowa, poprawiając pośpiesznie przekrzywione kołnierzyki, powtarzała z zakłopotaniem:

— No i co z takim waryatem robić!

Trochę tego samego zdania był i pan Pławicki. Ale Połaniecki i Marynia zajęli się po chwili tak wyłącznie sobą, że wszystko inne znikło im z oczu. Obojgu serca były trochę niespokojnie. On spoglądał na nią z pewnem zdziwieniem. Cała w bieli, począwszy od trzewików aż do rękawiczek, z zielonym wiankiem na głowie i z długim welonem, wydała mu się inna, niż zwykle. Było w niej coś niezwykle uroczystego, tak jak w zmarłej Litce. Połaniecki nie uczynił wprawdzie tego porównania, czuł jednak, że w tej chwili ta biała Marynia, jeśli nie jest mu dalszą, to więcej onieśmiela go od wczorajszej, przybranej w codzienny ubiór. Wydawała mu się przytem brzydszą, niż zazwyczaj, bo wianek ślubny wyjątkowo tylko bywa kobietom do twarzy, a w dodatku niepokój i wzruszenie zaczerwieniły jej twarz, która przy białym kolorze wyglądała jeszcze czerwieńsza, niż była rzeczywiście. Ale dziwna rzecz! Ta właśnie okoliczność wzruszyła Połanieckiego. W jego sercu, z natury raczej dobrem, powstało jakieś uczucie podo-

ne do rozczulenia lub litości. Zrozumiał, że w tej Maryni musi teraz serce bić, jak w schwytanym ptaku, i począł ją uspokajać, począł mówić do niej tak dobrymi i uczciwymi słowami, że aż sam się dziwił, skąd mu się tyle ich bierze i jakim sposobem przychodzą mu z taką łatwością. Ale przychodziły mu one z łatwością właśnie z powodu Maryni. Tak w niej znać było, że ona oddaje mu się z biciem serca, ale zarazem z ufnością, że oddaje mu serce, duszę i całą istotę, całe życie, i to nietylko na dobre, ale na każde chwile życia — i aż do końca życia, że pod tym względem żaden cień nie powstał w umyśle Połanieckiego, a ta pewność uczyniła go w tej chwili lepszym, tkliwszym i wymowniejszym, niż bywał zwykle. W końcu trzymali się za ręce i patrzyli sobie w oczy nietylko z miłością, ale z największą przyjaźnią i otuchą na przyszłość. Oboje odczuwali wzajemną rzetelność. Jeszcze kilka chwil — i ta przyszłość miała się rozpocząć. Ale teraz myśli obojga poczęły się wyjaśniać i ten niepokój wewnętrzny, od którego nie byli wolni, ustępował coraz bardziej i zmieniał się, w miarę zbliżania się obrzędu religijnego, w poważne skupienie. Myśli Połanieckiego nie rozlatywały się już jak wróble, pozostało mu tylko jakby pewne zdziwienie, że on, przy całym swym sceptycyzmie, tak odczuwa nawet religijną doniosłość mającego się spełnić aktu. W gruncie rzeczy nie był on sceptykiem. W duszy tkwiła mu nawet tęsknota za uczuciami religijnymi — i jeśli do nich nie wracał, to jedynie przez pewne odzwyczajanie się i przez duchową opieszałość. Sceptycyzm, co najwyżej, wstrząsał powierzchwnie jego umysł, tak jak wiatr marszczy po-

wierzchnię toni, której głąb' pozostaje spokojna. Odwykił również od form — ale była to rzecz przyszłości i Maryni — tymczasem jednak już ten obrzęd, któremu miał się poddać, wydał mu się tak podniosłym, tak pełnym powagi i świętości, że gotów był przystąpić do niego ze schyloną głową.

Przedtem wszelako trzeba było się poddać innemu obrządkowi, który, sam w sobie również uroczysty, był Połanieckiemu dość przykry: mianowicie, trzeba było klęknąć przed panem Pławickim, którego Połaniecki uważał za durnia, przyjąc jego błogosławieństwo i wysłuchać przemówienia, do którego sposobności, wiadomo było, iż pan Pławicki nie pominie. Połaniecki jednak już poprzednio powiedział sobie: „Skoro się chcę żenić, to muszę przejść przez wszystko, co ślub poprzedza, i to z dobrą miną, a jaką minę będzie miała w takich chwilach ta małpa, Bukacki, to mnie mało obchodzi“. Wskutek tego klęknął teraz z całą gotowością koło Maryni przed panem Pławickim i wysłuchał jego błogosławieństwa oraz przemówienia, które zresztą niedługo trwało. Pan Pławicki sam był także naprawdę wzruszony, głos mu drżał, ręce również i zaledwie zdołał wypowiedzieć coś w rodzaju zaklęcia do Połanieckiego, by choć czasem nie broził Maryni w przyszłości przyjść i pomodlić się na jego grobie, zanim zupełnie trawą nie porośnie.

Zresztą uroczystość tej chwili zmaćił poniekąd Józio Bigiel, widząc bowiem z jednej strony łzy pana Pławickiego, a z drugiej Marynię i Połanieckiego na klęczkach, co w domu Bigielów bywało nietylko karą, ale częstokroć i wstępem do jeszcze sprężystszych środków

pedagogicznych, dał wyraz swemu współczuciu i obawom za pomocą zamknięcia oczu, otworzenia ust — i uderzenia w płacz tak donośny, na jaki tylko umiał się zdobyć. Gdy przytem pozostałe rodzeństwo poszło w znacznej części za jego przykładem i gdy wszyscy zaczęli się poruszać, chwila bowiem wyjazdu do kościoła nadeszła, porosły trawą grób pana Pławickiego nie mógł wywołać należycie elegicznego wrażenia.

Siedząc w karecie między Abdulskim a Bukackim, Połaniecki ledwie półsłówkami odpowiadał na ich pytania; nie mieszał się do rozmowy, natomiast monologował sam z sobą. Myślał, że za parę minut stanie się to, o czem marzył całymi miesiącami i czego aż do śmierci Litki najmocniej w życiu pragnął. Tu po raz ostatni wstrząsnęło nim poczucie różnicy między tą niedawno ubiegłą przeszłością a chwilą obecną. Była jednak różnica. Dawniej dążył i pragnął, dziś tylko chciał i zgadzał się. Myśl ta przejęła go jak zamróz, przemknęło mu bowiem przez głowę, że może w nim samym brak tych podstaw, na których wolno budować. Ale był to człowiek, który umiał krótko trzymać swoje niepokoje, a w danym razie rozganiać je na cztery wiatry. Powiedział więc sobie: „Naprzód, nie czas o tem myśleć, a powtóre, że rzeczywistość nie zawsze odpowiada rozejniom, to rzecz prosta“. Potem przesunęło mu się jeszcze przez pamięć to, co powiedział Bukacki: „Nie dość wziąć, trzeba i dać“ — ale pomyślał, że to jest jakieś przedzenie nitki tak cienkiej, że jej wcale niema i że życie trzeba brać prościej, nie jest ono bowiem obowiązane zgadzać się z uprzednio powziętymi teoryjami. Tu

powtórzył, co sobie często powtarzał: „Zenię się — i koniec!“ Poczem objęła go rzeczywistość, a raczej chwila obecna, nic innego nie miał już w głowie, jak tylko Marynię, kościół i ślub.

Ona tymczasem, jadąc, prosiła po cichu Boga żeby jej dopomógł i pozwolił uszczęśliwić męża; dla siebie prosiła także o trochę szczęścia, będąc zresztą pewna, że to jej zmarła matka wyprosi.

Potem szli oboje prowadzeni pod rękę przez szpaler zaproszonych i ciekawych, widząc trochę jak przez mgłę: w dali świece migocące przy ołtarzu, a obok twarze znajome i nieznajome. Oboje dojrżeli wyraźniej twarz pani Emilii, przybraną w biały kwef Siostry miłosierdzia, i jej oczy, zarazem uśmiechnięte i zalane łzami. Obojgu przypomniała się Litka i przyszło im na myśl, że to ona właściwie prowadzi ich do ołtarza. Po chwili klęczeli, mając przed sobą księdza, wyżej zaś płomyki świec, blaski pozłocień i święte twarze głównego obrazu. Ceremonia się rozpoczęła. Poczęli powtarzać za księdzem zwykle wyrazy przysięgi ślubnej, i Połanieckiego, trzymającego rękę Maryni, ogarnęło nagle takie wzruszenie, jakiego się nie spodziewał i jakiego nie doznał od czasu, gdy matka zaprowadziła go do pierwszej komunii. Oto poczuł, że to nie jest tylko zwykły, prawny obrządek, na mocy którego mężczyzna zyskuje prawo do kobiety; ale że w tem związaniu rąk, w tej przysiędze, jest jakaś tajemnicza, zaświatowa moc — jest po prostu Bóg, przed którym uchyla się dusza i serce drży. O uszy obojga odbijały się teraz wśród ciszy uroczyste słowa: „Quod Deus junxit, homo

non disjungat“ — a Połaniecki odczuwał, że ta Marynia, którą brał, staje się jego ciałem i krwią i częścią jego duszy, i że dla niej również on ma być tem samym. Tymczasem na chórze wybuchnął chór głosów: „Veni Creator“ i w kilka chwil później Połanieccy wyszli z kościoła. Po drodze przedtem objęły jeszcze Marynię ręce pani Emilii: „Niech was Bóg błogosławi!“ — i gdy oni jechali do domu na weselne przyjęcie, ona poszła na cmentarz, by powiedzieć Litce nowinę, że „pan Stach“ ożenił się dziś z Marynią.

XI.

W dwa tygodnie później, w Wenecyi, portyer hotelu Bauera oddał Połanieckiemu list ze stemplem warszawskim. Było to w chwili, gdy oboje z żoną siadali do gondoli, by pojechać do Santa Maria della Salute, gdzie tego dnia, jako w rocznicę śmierci matki Maryni, miała się odprawić msza za jej duszę. Połaniecki, który się nic ważnego z Warszawy nie spodziewał, włożył list do kieszeni i spytał żony:

— A czy to trochę na mszę nie zawczasie?

— Tak jest; całe pół godziny.

— To może chcesz się przejechać przedtem w stronę Rialto?

Marynia zawsze była na to gotowa. Nie będąc przedtem nigdy w życiu za granicą, żyła wprost w nieustającym upojeniu i zdawało jej się, że wszystko, co ją otacza, jest snem. Nieraz, z nadmiaru zachwytu, rzucała się mężowi na szyję, tak jakby to on zbudował Wenecję i jakby jemu wyłącznie należało się podziękowanie za jej piękność; nieraz także powtarzała:

— Patrzę, widzę i nie wierzę, że to prawda!

Pojechali więc ku Rialto. Ruchu było jeszcze, z powodu wczesnej godziny, mało. woda jakby śpiąca, dzień cichy, przezroczysty, ale niezbyt słoneczny. jeden z takich, w których Canale Grande przy całej swej piękności ma spokój cmentarza; pałace zdają się puste i zapomniane, a w nieruchomem ich odbiciu w toni jest jakiś głęboki smutek rzeczy martwych. Patrzy się wówczas na nie w milczeniu i jakby z obawą, by słowami nie zamącić ogólnej ciszy.

Tak też patrzyła Marynia. Ale Połaniecki, mniej wrażliwy, przypomniał sobie, że ma w kieszeni list, więc go wydobyl i począł czytać, a po chwili rzekł:

— A! — Maszko także już żonaty. Ich ślub odbył się w trzy dni po naszym.

Marynia zaś, jakby zbudzona ze snu, spytała, mrużąc oczyma:

— Co mówileś?

— Mówilem, rozmarzona głowo, że ślub Maszki już się odbył.

Ona zaś wsparła głowę na jego ramieniu i patrząc mu w oczy, odpowiedziała:

— Co mi tam Maszko, ja mam swojego Stacha.

Połaniecki uśmiechnął się, jak człowiek, który łaśkawie pozwala się kochać, ale się temu nie dziwi, poczem pocałował żonę w czoło z pewną dystrakcją, gdyż list począł go jednak zajmować, i czytał dalej. Nagle rzucił się, jakby ukłuty i zawołał:

— O to, prawdziwa katastrofa!

— Co się stało?

— Panna Krasławska ma dziewięć tysięcy rubli dożywocia, które zapisał jej wuj. Zresztą ani grosza posagu.

— Ale to i tak dużo.

— Dużo? To posłuchaj, co pisze Maszko: „Wobec tego moje bankructwo jest rzeczą spełnioną, a ogłoszenie niewypłacalności kwestyą czasu.“ Zawiedli się oboje, rozumiesz? — bo on liczył na jej majątek, a ona na jego.

— Przynajmniej mają z czego żyć.

— Mają z czego żyć, ale Maszko nie ma czem pospłacać długów, a to trochę i nas obchodzi — mnie, ciebie i twego ojca... Wszystko może przepaść.

Teraz Marynia zaniepokoiła się na dobre.

— Mój Stachu — rzekła — może twoja obecność tam potrzebna, to wracajmy... Co to będzie za cios dla papy!

— Napiszę zaraz do Bigiela, by mnie zastąpił i ratował, co można... Nie bierz przytem, dziecko, z nadto do serca tej sprawy. Ja mam na kawałek chleba dla nas obojga i dla twego ojca.

Marynia objęła ręką jego szyję.

— Mój ty dobry!... Z takim człowiekiem, jak ty, można być spokojną.

— Przytem coś się da uratować... Jeśli Maszko znajdzie kredyt, to nas pospłaca. Może też znajdzie kupca na Krzemień. Ale! Pisze mi, żebym spytał Bukackiego, czyby nie kupił Krzemienia i żebym go do tego namawiał. On dziś wieczór jedzie do Rzymu i zaprosiłem go na śniadanie... Spytam go. On ma znaczny majątek — i miałby coś do roboty. Ciekawym, jak Maszkom

życie pójdzie. On mi pisze w końcu listu: „Żonie od- kryłem stan moich interesów, wobec czego zachowała się biernie, ale matka nie posiadała się z oburzenia.“ Wreszcie dodaje, że się w ostatnich czasach w żonie pokochał i że gdyby się rozstali, byłoby to dla niego największym w życiu nieszczęściem. Ta liryka mało mnie obchodzi — ale ciekawym jednak, jak się to wszystko skończy.

— Ona go nie opuści — rzekła Marynia.

— Nie wiem; sam nawet myślałem w swoim czasie, że nie — ale mam ochotę się sprzeczać. Chcesz pójść o zakład?

— Nie, bo nie chcę wygrać. Ty brzydki człowieku, nie znasz kobiet.

— Owszem, znam je i dlatego wiem, że nie wszystkie są takie, jak ta mała, która płynie teraz gondolą...

A ona odpowiedziała:

— W Wenecyi, gondolą i obok swojego Stacha!

Tymczasem dojechali do kościoła. Wróciwszy po mszy do hotelu, zastali już Bukackiego, przybranego jak do drogi w kraciaste szare ubranie, które na jego wątłe ciało wydawało się za obszerne, w żółte trzewiki i fantastyczny krawat, zawiązany z równą fantazją, jak niedbałością.

— Jadę dzisiaj — rzekł, przywitawszy się z Marynią. — Czy pani każe przygotować mieszkanie we Florencyi? Mogę nająć jaki pałac.

— To pan zatrzymuje się po drodze do Rzymu?

— Tak jest. Naprzód dlatego, żeby dać znać w Galeryi, że przyjedziecie — i żeby położono dywan na

schodach, powtóre dla czarnej kawy, która wogóle we Włoszech jest zła, a we Florencyi u Giacosa wyjątkowo doskonała... via Tornabuoni... To zresztą jedyna rzecz coś warta we Florencyi...

— Co pan ma za przyjemność mówić zawsze co innego, niż pan myśli...

— Owszem, myślę szczerze nająć wam jakie ładne mieszkanie na Lung-Arno.

— My się zatrzymujemy w Weronie.

— Dla Romea i Julii? Owszem, owszem! Póki jeszcze nie wzruszacie ramionami, myśląc o nich — jedźcie. Za jaki miesiąc byłoby już może zapóźno.

Marynia fuknęła na niego jak kotka, poczem zwróciwszy się do męża, rzekła:

— Stachu, nie pozwól temu panu tak mi dokuczać.

— Dobrze — odpowiedział Połaniecki. — Utnę mu głowę, ale po śniadaniu.

Bukacki zaś począł deklamować:

„ Nie! Jeszcze nie świta!
„To nie skowronek — to jest głos słowika.“

I następnie, zwróciwszy się do Maryni, spytał:

— Napisał Połaniecki dla pani jaki sonet?

— Nie.

— O, to zły znak!... Macie balkon od ulicy... Czy nie przyszło mu do głowy ani razu stanąć pod balkonem pani z mandoliną?

— Nie.

— O, bardzo źle!...

— Przecie tu niema gdzie stanąć, bo woda.

— Mógł podjechać gondolą. Widzi pani, u nas co innego; ale tu, we Włoszech, takie już jest powietrze, że jeśli kto prawdziwie kocha, to albo pisze sonety, albo staje z mandoliną pod balkonem. To jest rzecz zupełnie pewna, wypływająca z położenia geograficznego, prądów morskich, składu chemicznego powietrza i wody — i jeśli ktoś nie pisze sonetów, ani nie staje z mandoliną, to najniezawodniej nie kocha. Mogę pani przytoczyć bardzo znakomite dzieła, traktujące o tym przedmiocie.

— Zdaje się, że będę zmuszony uciąć mu głowę przed śniadaniem — rzekł Połaniecki.

Do egzekucyi jednak nie przyszło z tego powodu, że właśnie pora była na śniadanie. Siedzieli przy osobnym stole, ale w tej samej sali, w której był stół ogólny, co dla Maryni, którą wszystko zajmowało, było także źródłem rozkoszy, widziała bowiem *prawdziwych* Anglików. Czyniło jej to wrażenie, że zajechała gdzieś, do krajów tak już egzotycznych, że jak Krzemień Krzemieniem, żaden z jego mieszkańców nie zapuścił się w taką drogę. Dla Bukackiego, a nawet i dla Połanieckiego, to jej upojenie było powodem nieustających żartów, ale też i prawdziwej przyjemności. Pierwszy mówił, że przypomina mu to jego młodość, drugi nazywał żonę polną stokrotką — i mówił, że takiej nie żał świat pokazywać.

Sam Bukacki zauważył jednak, że „polna stokrotka“ miała dużo poczucia sztuki i dużo szczerości. Wiele rzeczy było jej wiadomych z książek lub rycin; nie umiając się na niektórych poznać, przyznawała się do tego otwarcie, ale nie było w jej wrażeniach nic sztucznego,

ani nie wmówionego. Gdy jej co przypadło do serca, zachwył jej nie miał natomiast granic, tak, że oczy jej stawały się wilgotne. Bukacki czasem żartował z niej bez miłosierdzia, czasem wmawiał w nią, że wszyscy tak zwani znawcy mają gwoździe w głowie, i że ona, jako natura wrażliwa i wykwintna, a dotychczas niezbałamucona, jest dla niego największą w rzeczach sztuki powagą, byłaby zaś jeszcze większą, gdyby miała lat dziesięć.

Przy śniadaniu nie było jednak mowy o sztuce, albowiem Połaniecki przypomniał sobie nowiny warszawskie i rzekł:

— Miałem list od Maszki.

— I ja — odpowiedział Bukacki.

— I ty? To jednak tam naprawdę pilno. Maszko musi być przyciśnięty nie żartem. Wiadomo ci tedy, o co chodzi.

— Namawia, a raczej zaklina mnie, żebym kupił — wiesz co?

Bukacki umyślnie nie wymienił Krzemienia, wiedząc doskonale, jakiej rozterki był on powodem między Połanieckim a Marynią — i przez delikatność dla Maryni.

Lecz Połaniecki, zrozumiawszy jego intencję, ozwał się:

— Ach Boże! Niegdyś unikaliśmy tego wyrazu, jak dotknięcia bolączki, ale teraz — przy żonie — to przecie co innego... Trudno się całe życie krępować.

Bukacki spojrział na niego bystro, Marynia zaś zarumieniła się i rzekła:

— Staś ma zupełną słuszność. Zresztą wiem, że chodzi o Krzemień.

— A tak, chodzi o Krzemień.

— No i cóż? — spytał Połaniecki.

— Nie kupiłbym go, choćby dla tego samego, żeby pani nie miała wrażeń, że tak nim ludzie rzucają, jak piłką.

Marynia zarumieniła się jeszcze więcej i rzekła:

— Kiedy ja już wcale nie myślę o Krzemieniu.

I spojrzała na męża, on zaś kiwnął na znak zadowolonia i pochwały.

— To dowód — odpowiedział — że jesteś rozsądne dziecko.

— Przyczem — mówiła dalej Marynia — jeśli pan Maszko się nie utrzyma, to Krzemień albo się rozpadnie, albo pójdzie w lichwiarskie ręce, a to jednak byłoby mi przykro...

— Aha! — rzekł Bukacki — skoro jednak pani *wcale* nie myśli już o Krzemieniu?

Marynia spojrzała znów na męża i tym razem już z niepokojem, on zaś począł się śmiać.

— Złapała się Marynia — rzekł.

Poczem zwrócił się do Bukackiego:

— Widocznie Maszko widzi w tobie jedyną deskę ratunku.

— Ale ja nie jestem deska... patrz na mnie... raczej słomka. Kto się zechce ratować przez schwytnie takiej słomki, zginie, utonie... Zresztą sam Maszko nieraz mi mówił: „Masz przytępione nerwy“. Może i mam! Ale właśnie dlatego potrzebuję silnych wrażeń... Gdybym Maszce pomógł, wygrzebałby się, stanąłby na nogach, udawałby dalej lorda, żona jego udawałaby wielką pa-

nią, byliby okropnie „comme il faut...” — i miałbym nudną komedię, którą już widziałem i na której ziewałem. Przeciwnie, jeśli mu nie pomogę, zrujnuje się, zginie, zdarzą się jakieś zajmujące a niespodziewane wypadki, zdarzyć się może coś tragicznego, co mnie więcej zajmie. Teraz pomyślcie państwo: za lichą komedię musiałbym zapłacić, i to drogo — tragedję mogę mieć darmo. Jak tu się wahać?

— Fe! jak pan może mówić takie rzeczy! — zawołała Marynia.

— Nietylko mogę mówić, ale je napiszę Maszce. Przytem on mnie zawiódł w najniegodziwszy sposób.

— W czym?

— W czym? W tem, że ja myślałem: oto prawdziwy snob! to materyał na czarny charakter! to człowiek naprawdę bez skrupułu i serca! Tymczasem cóż się pokazuje: że on na dnie duszy ma jakąś uczciwość, że chciałby pospłacać wierzycieli, że mu tej lalki z czerwonymi oczyma żal, że ją kocha, że rozłączenie z nią byłoby dla niego straszną klęską... Sam mi to pisze najbezczelniej... Słowo daję, że w tem społeczeństwie na nic liczyć nie można!... Przesiaduję za granicą, bo tego znieść nie mogę.

Tym razem pani Połaniecka rozgniewała się na dobre:

— Jak pan będzie takie rzeczy mówił, to poproszę Stasia, żeby zerwał z panem stosunki.

A Połaniecki wzruszył ramionami i dodał:

— Że też ty naprawdę zagadujesz dla konceptu siebie i drugich, a nigdy nie myślisz rozsądnie i po

ludzku. Rozumiesz, że ja cię nie namawiam do kupna Krzemienia, a to tem bardziej, że mógłbym w tem mieć pewien interes, ale jednak — miałbyś jakieś zajęcie, miałbyś coś do roboty...

Na to Bukacki począł się śmiać, po chwili zaś odrzekł:

— Ja ci już niegdyś powiedziałem, że przede wszystkim lubię robić to, co mi się podoba, a że mi się najwięcej podoba nie nie robić, więc nie nie robiąc, robię to, co mi się najwięcej podoba. Jeśliś mądry, dowiedz mi, że powiedziałem głupstwo. Powtóre: ja hreczkosiejem!... To przecie wprost przechodzi imaginację! Ja, dla którego deszcz i pogoda jest tylko kwestyą wzięcia laski lub parasola, miałbym na stare lata wystawać na jednej nodze, jak żóraw i patrzeć, czy się podoba słońcu świecić, czy chmurom kropić? Jabym miał palpitować, czy mi pszenica nie porośnie, czy mi się rzepak nie wysypie, czy zaraza nie padnie na kartofle, czy się uwinę z grochem, czy potrafię dostawić Ickowi do Psiej Wólki tyle korecy, na ile zawarłem kontrakt, czy mi formalki nie dostaną nosacizny, a owce motylic? Ja miałbym na starość dojść do tego, żeby z powodu stępienia umysłowego mówić co trzy słowa: „Panie Dobrodzieju“ albo: „Co to ja chciałem powiedzieć?“ Voyons! pas si bête! Ja, człowiek wolny, miałbym zostać glebae adscriptus? — mościpanem, somsiadem, bratem Łatą, panem Maciejem, Lechitą?

Tu, podniecony nieco winem, począł cytować półgłosem słowa Ślaza z „Lilli Wenedy“:

Czy ja Lechita? Cóż to? czy mi z oczu
Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo,
Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów?

— Gadajże tu z nim — rzekł Połaniecki — tem
bardziej, że w gruncie rzeczy ma trochę słuszości!

Ale Marynia, która od chwili, gdy Bukacki zaczął
mówić o kłopotach wiejskich, zamyśliła się nieco, teraz
strząsnęła z czoła zamyślenie i rzekła:

— Ja, gdy papa był niezdrów (a nigdy w Krze-
mieniu nie był tak zdrów, jak w ostatnich czasach) wy-
ręczałam go trochę w gospodarstwie — i później weszło
mi to w zwyczaj. Chociaż, Bóg widzi, że kłopotów nie
brakło, robiło mi to taką przyjemność, że nie umiem
tego wypowiedzieć. Ale nie rozumiałam, dlaczego to tak
jest i zrozumiałam dopiero, gdy mi to wytłómaczył pan
Jamisz. On mi mówił, że to jest ta istotna praca, na
której świat stoi, a wszelka inna jest albo dalszym jej
wynikiem, albo czemś sztucznem... Później też zrozu-
miałam nawet takie rzeczy, o których on nie wspominał.
Nieraz, jak na wiosnę wyszłam w pole i widziałam, że
wszystko rośnie, to czułam, że i serce przytem rośnie.
I wiem teraz dlaczego: bo w każdych innych stosunkach
ludzkich może być kłamstwo, a ziemia — to prawda...
Ziemi nie można oszukać, ale i ona: da albo nie da, ale
nie oszuka... Dlatego ziemię kocha się tak, jak prawdę —
a że się ją kocha, więc i ona uczy kochać... I rosa pada
nietylko na zboża, nietylko na łąki, ale jakby i na duszę,
i człowiek staje się lepszym, bo jak ma do czynienia

z prawdą i kocha, to jest bliżej Boga... Dlatego ja tak kochałam mój Krzemień.

Tu pani Połaniecka przestraszyła się i swojej wymowy, i tego, co tam pomyśli „Staś“ — a jednocześnie wzruszyły ją wspomnienia; wszystko to zaś odbiło się jakby zorzą w jej oczach, na jej młodej twarzy — i sama była jak zorza.

Bukacki patrzył na nią, jakby patrzył na jakieś nieznanne, świeżo odkryte arcydzieło szkoły weneckiej, następnie przymknął oczy, pochował do połowy swą małą twarzyczkę w ogromny fantastyczny krawat i szeptal:

— *Delicieuse!*...

Poczem, wysunawszy brodę z krawata, rzekł:

— Pani ma najzupełniejszą słusność...

Ale logiczna kobietka nie pozwoliła się pozbyć komplementem.

— Jeśli ja mam słusność, to pan jej nie ma.

— To inna rzecz. Pani ma słusność dlatego, że jej z tem do twarzy, a kobieta zawsze wówczas ma słusność.

— Stasiu! — rzekła Marynia, zwracając się do męża.

Lecz tyle było w niej w tej chwili uroku, że on patrzył na nią również z zachwytem, oczy mu się śmiały, nozdrza poruszały się szybkim ruchem, na chwilę nakrył jej rękę dłonią i rzekł:

— Oj, dziecko! dziecko!

A potem, pochyliwszy się ku niej, szepnął:

— Gdyby nie to, że jesteśmy w sali, tobym zacałował te oczy kochane i te usta.

I mówiąc tak, Połaniecki popełniał wielką omyłkę,

w tej chwili bowiem nie dość było odczuć fizyczne po-
nęty Maryni, zapłonąć do kolorów na jej twarzy, do
oczu lub ust, ale należało zrozumieć i odczuć w niej
duszę; jak zaś dalece on jej nie odczuł, dowodziły naj-
lepiej jego pobłażliwe słowa: „Oj, dziecko! dziecko!“
Była mu w tej chwili tylko uroczem dzieckiem-ko-
bieta — i o niczem innem nie myślał.

Tymczasem przyniesiono kawę. Na zakończenie roz-
mowy Połaniecki rzekł:

— Tak tedy Maszko wyszedł na liryka — i to
po ślubie.

Bukacki zaś, połknąwszy filiżankę wrzątku, odpo-
wiedział:

— W tem głupstwo, że to Maszko, ale nie w tem,
że po ślubie... Trochę liryzmu, właśnie po ślubie... Ale
przepraszam! Tylko com nie powiedział czegoś rozsą-
dnego... Przepraszam panią najmocniej i przyrzekam, że
więcej nie będę!... Sparzyłem się widocznie w język go-
rącą kawą, ale piję tak gorącą dlatego, że mi powie-
dziano, iż to dobrze na ból głowy, a mnie głowa boli,
boli...

Tu Bukacki położył dłoń na karku i potylicy, przy-
czem zamrużył oczy i przez kilka sekund pozostał bez
ruchu, poczem rzekł:

— Gada się i gada, a głowa boli. Poszedłbym już
sobie, ale ma tu przyjść do mnie malarz Świrski, z któ-
rym jadę razem do Florencyi, znakomity akwarelista,
prawdziwie znakomity... Nikt nie wy dobył z akwareli
większej siły. Ale oto właśnie nadchodzi.

I istotnie Świrski, jakby wywołany zaklęciem, zja-

wił się w tej chwili i począł się rozglądać, upatrując Bukackiego. Dostrzegłszy go wreszcie, zbliżył się do stołu.

Był to krępy, niski człowiek, o grubym karku, potężnej piersi, cerze nadzwyczaj smagłej i czuprynie tak czarnej, jakby był Włochem. Twarz miał pospolitą, ale spojrzenie rozumne i głębokie, a przytem łagodne. Idąc, kiwał się nieco na obie strony z powodu szerokości bioder.

Bukacki przedstawił go w następnych słowach pani Połanieckiej:

— Przedstawiam pani pana Świrskiego, malarza, rodzaj geniusza, który nietylko ma talent, ale miał najniezwyklejszą ideę niezsmarnowania go, co mógł zrobić tak dobrze i z równym dla ludzi pożytkiem, jak każdy inny... Ale on woli zapełniać świat akwarelami i rozgłosem.

Świrski uśmiechnął się, ukazując dwa szeregi dziwnie drobnych, ale zdrowych i białych jak kość słoniowa zębów, i rzekł:

— Chciałbym, żeby to była prawda.

— I powiem państwu, dlaczego on nie zmarnował talentu — ciągnął dalej Bukacki — oto z powodów tak parafialnych, że porządnemu artyście wstydby było do czegoś podobnego się przyznać: kocha Pognębin — gdzieś koło Poznania — czy tak? a kocha dlatego, że się tam urodził. Gdyby się urodził na Gwadelupie, toby kochał Gwadelupę — i miłość do Gwadelupy byłaby go także ratowała w życiu. Ten człowiek oburza mnie — i niech pani powie, czy nie słusznie?

Na to Marynia rzekła, podnosząc swoje błękitne oczy na Świrskiego:

— Pan Bukacki nie jest taki niegodziwy, jak się wydaje, bo jednak powiedział o panu wszystko, co można było najlepszego.

— Umrę zapoznany — szepnął Bukacki.

A Świrski patrzył tymczasem na Marynię tak, jak sobie może pozwolić bez obrażenia kobiety tylko malarz. W oczach jego malowało się widoczne zajęcie; w końcu mruknął:

— Tu w Wenecyi zobaczyć niespodzianie taką głowę — to przecie coś bajecznego!

— Co takiego? — spytał Bukacki.

— Mówię, że pani ma ogromnie swojski typ: o to, o! naprzykład (tu pociągnął sobie wielkim palcem przez nos, usta i brodę). I jaka przytem czystość linii!

— Co? nieprawda? — rzekł z zapalem Połaniecki — zawsze to samo myślałem!

— Założę się, żeś tego nigdy nie myślał — odparł Bukacki.

Lecz Połaniecki rad był i dumny z tego zajęcia, jakie w słynnym artyście wzbudziła Marynia, więc rzekł:

— Gdyby tak panu zrobiło jakakolwiek przyjemność malowanie jej portretu, mnieby zrobiło jeszcze większą przyjemność mieć go.

— Z duszy serca — odpowiedział z prostotą Świrski — ale ja jadę dziś do Rzymu. Tam mam też zaczęty portret pani Osnowskiej.

— I my właśnie, najdalej za dziesięć dni, będziemy w Rzymie.

— A więc zgoda!

Marynia dziękowała, czerwieniąc się po uszy. Lecz Bukacki począł się żegnać i pociągnął za sobą Świrskiego. Wyszedszy, rzekł mu:

— Mamy jeszcze czas. Chodź do Florianiego na kieliszek koniaku.

Bukacki nie umiał i nie lubił pić, ale od czasu gdy się morfinizował, czynił to w wyższym stopniu, niż mógł znieść, albowiem ktoś mu powiedział, że to jedno drugie zobojętnia.

— Co za miła para ci Połanieccy! — rzekł Świrski.

— Niedawno się pobrali.

— I widać, że on ją ogromnie kocha. Jakem ją pochwalił, aż mu się oczy śmiały i rósł jak na drożdżach.

— Ona jego sto razy więcej kocha.

— Skąd ty się na tych rzeczach znasz?

Bukacki nie odpowiedział, tylko podniósłszy swój spiczasty nos do góry, mówił jakby do siebie:

— To mi brzydziło małżeństwo i miłość, że to zawsze z jednej strony wyzysk, z drugiej ofiara. Taki Połaniecki — dobry człowiek, ale cóż? ona ma tyle samo rozumu, tyle samo charakteru — tylko więcej kocha, więc im się życie ułoży tak: że on będzie słońcem, będzie łaskawie świecił, łaskawie grzał, uważał ją za swoją własność, za planetkę, która się powinna koło niego kręcić. To się już wszystko dziś zaznacza... Ona już weszła w jego sferę. Jest w nim jakaś pewność siebie, która mnie gniewa. On będzie miał ją — i resztę, ona tylko jego — bez reszty. On się będzie pozwalał kochać, uważając ze swojej strony kochanie jako swoją cnotę, do-

broć i łaskę, ona będzie kochała, uważając swoją miłość za szczęście i obowiązek... Patrzcie mi go, bożka promienistego!... Mam ochotę wrócić i powiedzieć im to, w nadziei, że staną się mniej szczęśliwi.

Ale tymczasem siedli przed Florianim i po chwili podano im koniak. Świrski myślał czas jakiś o Połanieckich, poczem spytał:

— No! a jeśli jej będzie z tem dobrze?

— Wiem, że ma krótki wzrok, więc mogłoby jej być równie dobrze nosić okulary.

— Idźże do licha! do takiej twarzy!...

— Więc ciebie to oburza, a mnie tamto.

— Bo ty masz w głowie jakiś młynek od kawy, który wszystko miele i miele, póki nie zmiele na drobny pył. Czego ty wogóle chcesz od miłości?

— Ja, od miłości? Ja nic nie chcę od miłości! Niech tego dyabeł weźmie, kto czegoś chce od miłości! Ja mam od niej strzykanie w łopatkach. Ale gdybym był inny, niż jestem, gdybym miał określić, czem miłość być powinna, gdybym od niej czegoś chciał, tobym chciał...

— Czego? Hop! przeskocz!

— Żeby się składała w równej ilości: z żądy i czci! Poczem wypił kieliszek koniaku i po chwili dodał:

— Zdaje się, że powiedziałem coś, co może być mądre, jeśli nie jest głupie... Ale mi to wszystko jedno!...

— Nie! to nie jest głupie.

— Dalibóg, to wszystko jedno!

XII.

Po tygodniowym pobycie we Florencyi, odebrał Połaniecki pierwszy list od Bigiela w sprawach Domu, a w nim wiadomości tak pomyślne, że przechodzące niemal oczekiwanie. Prawo wzbraniające wywozu zboża z powodu głodu zostało ogłoszone. Ale Spółka miała ogromne zapasy zakupione i wywiezione poprzednio, że zaś ceny w pierwszych zwłaszcza chwilach podskoczyły za granicą nadzwyczajnie — więc Bigiel i Połaniecki poczęli robić doskonale interesa. Spekulacya, pomysłana i przeprowadzona na wielką skalę, okazała się tak korzystną, iż z ludzi zamożnych, jakimi byli poprzednio, stawali się niemal bogatymi. Połaniecki zresztą od dawna był pewien swego i nie żywił żadnych obaw; wiadomość jednakże ucieszyła go zarówno ze względów finansowych, jak i ze względu na miłość własną. Powodzenie upaja i wzmaga ufność do siebie samego. To też w rozmowie z żoną niezupełnie potrafił się wstrzymać od tego, by jej nie dać do zrozumienia, że jest niepospolitą głową, wyższą bezwarunkowo od całego otoczenia, jakby drzewem najbardziej wybujałym w lesie, człowiekiem, który

dochodzi zawsze tam, dokąd zamierzył, słowem: rodzajem Fenixa we własnym społeczeństwie, obfitującym w ludzi, którzy nie mogą sobie dać rady na świecie. Na świecie też całym nie mógł być znaleźć wdzięczniejszego i gotowego przyjąć wszystko z głębszą wiarą słuchacza.

— Ty jesteś kobieta — mówił jej nie bez pewnego odcienia wyższości — więc cóż ci mam tam opowiadać sprawę od początku i wdawać się w szczegóły. Jako kobiecie, najlepiej wszystko wyjaśnię, gdy ci powiem tak: tego medalionu z czarną perłą, który ci pokazywałem u Godoniego, wczoraj nie byłem w stanie kupić — dziś jestem — i kupię. -

Marynia poczęła mu dziękować i prosić, żeby tego nie czynił, ale on uściskał ją, zapowiedział, że nic go nie wstrzyma, że to rzecz postanowiona i że „Maryś“ ma się uważać za właścicielkę czarnej wielkiej perły, która na takiej białej szyjce będzie ślicznie wyglądała. Potem ją całował tę szyjkę, a gdy się wreszcie nasycił, czując jednak potrzebę jakiegokolwiek słuchacza, począł chodzić po pokoju, uśmiechać się do żony, do samego siebie i mówić:

— Nie wspominam już o takich, którzy nic nie robią: Bukacki na przykład, wiadomo, że do niczego... nie mówię o osłach — taki Kopowski, wiadomo że kocia głowa; ale weźmy nawet ludzi, którzy coś robią i którzy niby mają rozum: taki Bigiel nigdyby sposobności w lot nie pochwycił, zacząłby namyślać się, ociągać, dziśby się decydował, jutroby się bał — i poraby przeszła. A tu o co chodzi? Naprzód, żeby mieć głowę,

a powtóre, żeby się i porachować. I jak działać, to działać!... Trzeba mieć przytem trzeźwość i nie pozować. Maszko niby nie głupi, a patrz co wymędrkował!... Ja tam nie chodzę i nie pójde jego śladem.

Tak mówiąc, chodził dalej i potrząsał swoją obfitą czarną czupryną, a Marynia któraby w każdym razie słuchała z wiarą jego słów, przyjmowała je teraz jako niezbity pewnik, tem bardziej, że miały one podstawę w istotnem powodzeniu.

On zaś zatrzymał się wreszcie przed nią i rzekł:

— Wiesz, co ja myślę? — że trzeźwość to rozum. Można mieć inteligentną głowę, to jest i wsiąkającą wiedzę jak gąbka, i wrażliwą, a nie mieć przytem swego własnego trzeźwego rozumu. Dowodem dla mnie Bukacki. Nie bierz mnie za zarozumialca, ale gdybym ja naprzykład wiedział tyle o sztuce, ile on, tobym miał o niej lepszy sąd. On się tyle naczytał i tyle pochwytał opinii, że wreszcie nie ma żadnej. Doprawdy, ja z tego materiału, który on nagromadził, cośbym jednak własnego wycisnął.

— O to! — odpowiedziała Marynia — z największą pewnością!

Połaniecki mógł mieć pod pewnym względem słuszność. Nie był on wcale człowiekiem głupim, i może być, że jego inteligencya była bardziej zwartą i tęższą od inteligencyi Bukackiego; ale natomiast była i mniej giętką i mniej obszerną — to zaś nie przyszło mu na myśl. Nie pomyślał również, że w tej chwili, pod wpływem chępliwości, mówi przed Marynią rzeczy, od których wypowiedzenia wobec obcych, bardziej sceptycznych

ludzi, wstrzymałaby go obawa śmieszności i krytyki. Ale on już z Marynią nie krępował się. Sądził, że jeśli wobec kogo mógł sobie na taką chępliwość pozwolić, to wobec żony. Przecie, jak sam się wyrażał: „wziął ją i skończyło się“ — przecie ona była jego.

Wogóle nie czuł się nigdy tak szczęśliwy i tak zadowolony z życia, jak teraz. Doznał powodzenia materialnego i przyszłość uważał za zabezpieczoną. Wziął kobietę młodą, ponętną dla siebie i rozumną, dla której został dogmatem, co i nie mogło być inaczej, gdy usta jej po całych dniach nie osychały od jego pocałunków, a zdrowe i uczciwe serce było przepelnione wdzięcznością za kochanie. Czego mu mogło braknąć, czego mógł jeszcze pożądać? Był przytem zadowolony z siebie, bo przypisywał w znacznej części swemu rozumowi i swojej zasłudze to, że tak potrafił urządzić sobie życie, iż zapowiadało się i pomyślnie i spokojnie. Widział, że innym jest źle, jemu dobrze — i tłómaczył tę różnicę na własną korzyść. Niegdyś myślał, że człowiek, chcąc być spokojnym, potrzebuje uregulować swój stosunek do siebie samego, do ludzi, do Boga. Dwa pierwsze uważał za uregulowane. Miał żonę, pracę i przyszłość; więc dał i zapewnił sobie to, co mógł dać i zapewnić. Co do ogółu, pozwalał sobie na jego krytykę, czasem na wymyślanie, ale czuł, że go na dnie duszy kocha rzeczywistość, że nawet, choćby chciał, nie potrafiłby inaczej, że gdyby w danym razie trzeba było pójść w wodę lub ogień — toby poszedł, więc uważał, że i z tej strony wszystko jest załatwione. Pozostał stosunek do Boga. Czuł, że gdyby i ten stał się jasnym i pewnym, mógłby

wszystkie zadania życia uważać za załatwione, a w końcu powiedzieć sobie: wiem, dlaczego żyłem, czego chciałem i dlaczego muszę umrzeć. Nie będąc uczonym, zetknął się jednak o tyle z nauką, iż wiedział, że wyjaśnień i odpowiedzi niema co szukać w tak zwanej filozofii, raczej we własnym widzeniu rzeczy, a przede wszystkim w uczuciu, o ile jedno i drugie jest proste, inaczej bowiem prowadzi do dziwactw. Tymczasem, ponieważ nie był pozbawiony zupełnie wyobraźni, widział przed sobą jakby obraz uczciwego i zrównoważonego człowieka, który jest dobrym mężem, dobrym ojcem, pracuje a modli się, w święta prowadzi dzieci do kościoła i żyje życiem ogromnie pod względem moralnym zdrowem. Obraz taki uśmiechał mu się, a w życiu tyle się robi dla obrazów! Myślał również, że ogół, któryby posiadał wielką ilość takich obywateli, byłby teższym i zdrowszym od społeczeństwa, które u dołu składa się z ciemnych głów, a u góry z mędrków, dyletantów, dekadentów i wszelkich tego rodzaju zakazanych figur ze zwichniętym mózgiem. Niegdyś, wkrótce po poznaniu Maryni, zapowiadał sobie i Bigielowi, że jak skończy z własną osobą i z ludźmi, to się zabierze tego i do tego trzeciego stosunku. Otóż czas nadszedł, lub przynajmniej nadchodził. Połaniecki rozumiał, że do tego potrzebny jest większy spokój, niż ów, jaki daje podróż poślubna, wrażenia nowego życia, nowego kraju i ta krętanina między hotelami a galeriami, w jakiej z Marynią żyli. Ale, pomimo tych warunków, w rzadkich chwilach, w których zostawał z własnymi myślami — zwracał je natychmiast do tego głównego dziś dla sie-

bie zadania. Ulegał przytem rozmaitym wpływom, które, same przez się drobne, wywierały jednak pewne działanie, choćby dlatego, że im się już umyślnie nie opierał. Takim był wpływ Maryni. Połaniecki nie zdawał sobie z niego sprawy i nie byłby go przyznał, a jednak ciągle obecność przy nim tej duszy pogodnej, szczerze i bardzo po prostu religijnej, bardzo obowiązkowej w stosunku do Boga, dawała mu mimowolnie poczucie spokoju i pogody, jakie w wierze znaleźć można. Ilekroć też prowadził żonę do kościoła, przypominał sobie te słowa, jakie mu powiedziała w Warszawie: „Jakże? to służba boża!“ I wciągał się w nią, chodził bowiem zawsze z żoną do kościoła, z początku dlatego, by jej nie puszczać samej, a później i dlatego jeszcze, że sprawiało mu to pewne wewnętrzne zadowolenie, jakie naprzykład uczonemu może sprawić przypatrywanie się objawom, które go szczególnie zajmują. W ten sposób, mimo nieodpowiednich warunków, mimo podróży i rozlartanego wszelkiego rodzaju wrażeniami umysłu, szedł ciągle naprzód po nowej drodze. Myśli jego w tym kierunku miały chwilami wielką energię i stanowczość: „Ostatecznie — mówił sobie — ja Boga czuję! Czulem go u grobu Litki, czulem, chociażem nie przyznawał, w słowach Waskowskiego o śmierci, czulem go u nas na równinach, i tu w górach nad śniegami, a tylko pytam jeszcze, jak go mam sławić, czcić i kochać? Czy tak, jak się spodoba mnie osobiście, czy tak, jak to czyni moja żona i jak mnie uczyła moja matka?“

W Rzymie jednak przestał z początku o tych rzeczach myśleć. Tyle wrażeń zewnętrznych gromadziło

się naraz w jego umyśle, że na żadne refleksye nie było miejsca. Przytem przychodzili wieczorem z Marynią tak zmęczeni, że prawie ze strachem przypominali sobie słowa Bukackiego, który czasem służąc im dla własnego zadowolenia za „cicerone,“ mawiał im za każdym razem: „Nie widzieliście tysięcznej części tego, co widzieć warto, ale to wszystko jedno, bo wogóle nie warto i tu przyjeżdżać — tak samo jak nie warto siedzieć w domu.“

Bukacki był teraz w okresie przeczenia w każdym następnem zdaniu temu, co zdawał się twierdzić w poprzednim.

Profesor Waskowski przyjechał też na powitanie z Perugii, co Marynię tak ucieszyło, iż przywitała go, jakby był jej najbliższym krewnym. Ale po uspokojeniu się pierwszych wybuchów radości, zauważyła jakby jakiś smutek w oczach profesora.

— Co panu jest — pytała — czy panu nie dobrze we Włoszech?

— Moje dziecko — odpowiedział profesor — i w Perugii dobrze, i w Rzymie dobrze... Ach! jak dobrze! Wiedz o tem, że tu, chodząc po ulicach, depcesz pył świata... To, jak zawsze powtarzam, przed-sionek do innego życia — tylko...

— Tylko co?

— Tylko ludzie... widzicie... to nie ze złego serca — bo tu, jak i wszędzie, więcej dobrych, niż złych — ale mi czasem smutno, że jak u nas, tak i tu, mają mnie trochę za waryata.

Bukacki, który słyszał rozmowę, rzekł:

— Więc nie ma profesor większego powodu do smutku tu, niż u nas.

— Tak — odpowiedział Waskowski — tylko że tam mam blizkich, jak wy, którzy mnie kochają, a tu nie... I przytem tęsknię.

Poczem zwrócił się do Połanieckiego:

— Dzienniki tutejsze pomieszczały sprawozdania z mojej rozprawy. Niektóre zupełnie szydzą — Bóg z nimi! Niektóre godzą się, że nowa epoka powinna się rozpocząć przez wprowadzenie Chrystusa i jego ducha do dziejów. Jeden przyznał, że pojedynczy ludzie żyją z sobą po chrześcijańsku, a narody jeszcze po pogańsku — nazwał nawet tę uwagę wielką, ale i ten, i wszystkie inne, gdy przechodzą do tego, co twierdzą, iż to jest misya, którą Bóg przeznaczył nam i innym najmłodszym z Aryów — biorą się za boki od śmiechu... A to mnie boli... Dają też do zrozumienia, że ja mam trochę tu...

I biedny Waskowski począł stukać palcem w czoło.

Po chwili jednak podniósł głowę i rzekł:

— Człowiek rzuca ziarno w smutku i nieraz w zwątpieniu, ale ziarno pada na rolę i da Bóg, że zejdzie.

Potem jął wypytywać o panią Emilię, w końcu zaś zwrócił ku nim swoje jakby rozbudzone ze snu oczy i spytał naiwnie:

— A dobrze wam ze sobą?

Marynia, zamiast odpowiedzieć, poskoczyła do męża i przytuliwszy mu głowę do ramienia, rzekła:

— O, widzi profesor! — ot, tak nam ze sobą! tak!...

A Połaniecki począł gładzić ręką jej ciemną główkę.

XIII.

Po tygodniu zawiózł Połaniecki żonę na via Margutta do Świrskiego, z którym poprzednio widywali się niemal codziennie, z którym się zżyli, polubili i który miał rozpocząć teraz jej portret. Zastali tam państwa Osnowskich i zrobili z nimi znajomość, tem łatwiej, że panie te były niegdyś, przed kilku laty, razem na jakimś wieczorze, a Połaniecki był nawet w swoim czasie przedstawiony w Ostendzie pani Osnowskiej, potrzebował się więc teraz tylko przypomnieć. Nie pamiętał wprawdzie Połaniecki, czy w owej epoce, w której po zobaczeniu każdej młodej i przystojnej kobiety pytał się siebie: „czyby nie ta?“ — zadawał sobie takie pytania i co do dzisiejszej pani Osnowskiej — mogło to jednak być, miała bowiem wówczas opinię ładnej, chociaż nieco narwanej panny. Dziś była to kobieta lat dwudziestu sześciu lub ośmiu, bardzo wysoka, o świeżej lubo smagłej cerze, wiśniowych ustach, rozwianej grzywce i nieco skośnych fiołkowych oczach, które nadawały jej twarzy podobieństwo do twarzy chińskich, a zarazem wyraz pewnej złośliwości i sprytu. Miała dziwny zwyczaj trzymania się, pole-

gający na zasuwaniu w tył ramion, a wysuwaniu naprzód figury, wskutek czego Bukacki mówił o niej, że nosi biust „en offrande.“ W jednej niemal chwili powiedziała Maryni, iż ponieważ pozują w jednej pracowni, więc się powinny uważać za koleżanki; Połanieckiemu, że go sobie przypomina z balu w Ostendzie, jako dobrego tancerza i dobrego „causeur,“ i że z tego nie omieszka i teraz korzystać; obojgu, iż jej bardzo przyjemnie, że się upaja Rzymem, że czyta „Cosmopolis,“ że jest zakochana w willi Doria, w widoku z Pincio, że ma nadzieję, iż razem zobaczą katakumby, i że zna dzieła Rossiego w przekładzie Allarda. Poczem uściśnawszy ręce Świrskiemu i uśmiechnawszy się z kokieteryą do Połanieckiego, wyszła, oświadczając, że ustępuje miejsca godniejszej od siebie, i zostawiając wrażenie zawieruchy, Chinki i kwiatu. Pan Osnowski, człowiek bardzo młody, z nic nie znaczącą, ale dobrą twarzą jasnego blondyna, wyszedł za nią, nie zdolawszy prawie przemówić słowa.

Świrski odetchnął głęboko.

— O to burza! — rzekł — mam z nią tysiąc trudności, by ją utrzymać dwie minuty w spokoju.

— A jaka interesująca twarz — rzekła Marynia. — Czy wolno przyjrzeć się portretowi?

— Już mu niewiele brak, więc wolno — odrzekł Świrski.

Marynia i Połaniecki zbliżyli się do papieru i mogli, bez potrzeby sadzenia się na grzeczności, wyrazić swój podziw Świrskiemu. Ta głowa, malowana akwarelą, miała siłę i ciepło olejnego obrazu, a zarazem była w niej cała istota duchowa pani Osnowskiej. Świrski słuchał

spokojnie pochwał i znać było, że sam jest rad z własnej roboty. Następnie zakrył go i odniósłszy w ciemny kąt pracowni, usadził Marynię na przygotowanym krześle i począł się w nią wpatrywać.

Jaę mieszał cokolwiek ów uparty wzrok i policzki jej poczęły się rumienić, ale Świrski uśmiechał się z zadowolaniem, mrużąc:

— Tak! to inny typ... ziemia i niebo!

Chwilami przymykał jedno oko, co Marynię jeszcze bardziej mieszało, chwilami zbliżał się do papieru, to znów odstępował, znów się w nią wpatrywał, i znów mówił, jakby sam do siebie:

— Tam trzeba było wydobyć dyabła, a tu kobiecość. Na to Połaniecki rzekł:

— Skoro pan to tak od razu spostrzegł, to już jestem pewny arcydzieła.

Świrski przestał nagle spoglądać na papier i na Marynię — i zwróciwszy się ku Połanieckiemu, uśmiechnął się wesoło, ukazując swoje zdrowe zęby.

— Co, panie! kobiecość — i swojska kobiecość, to główny charakter pani twarzy.

— I chwyci go pan, tak jak w tamtym portrecie chwycił pan dyabła.

— Stasiu!! — rzekła Marynia.

— To nie ja wymyśliłem — to pan Świrski.

— Jeśli pan sobie życzy, to powiedzmy: dyabełek — nie dyabeł... I ładny dyabełek, ale niebezpieczny. Ja, malując, obserwuję sobie rozmaite rzeczy. To ciekawy typ, pani Osnowska.

— Dlaczego?

— Czy pani zauważyła jej męża?

— Jakoś tak byłam nią zajęta, że nie miałam kiedy.

— Otóż, widzi pani, ona go tak zasłania, że go prawie nie widać, a co gorzej, to i ona go nie widzi, tymczasem jest to najpoczeiwszy w świecie chłopiec, ogromnie dobrze wychowany, niesłychanie delikatny, bardzo bogaty i wcale nie głupi, a w dodatku kocha ją do szaleństwa.

Tu Świrski począł rysować i powtórzył jakby przez dystrakcję:

— Ko-cha ją sza-lenie... Niech pani trochę poprawi włosy koło ucha... Jeśli mąż pani także gawędziarz, to będzie w rozpacz, bo Bukacki utrzymuje, że jak się wezmę do roboty, to mi się usta nie zamykają i nikomu nie dam przyjść do słowa... Ona, widzi pani, może być sobie dotychczas czysta, jak lza, ale jest kokietka... To zimne serce a ognista głowa... Niebezpieczny rodzaj! o! niebezpieczny! Całymi tuzinami zjada książki — naturalnie francuskie... Uczy się z nich psychologii, dowiadyuje się o temperamentach kobiecych, o kobiecej zagadkowości, szuka w sobie zagadek, których wcale w niej niema, odnajduje aspiracye, o których wczoraj nie wiedziała, deprawuje się umysłowo i tę deprawację uważa za rozum, a męża lekceważy.

— Ale pan straszny człowiek! — zauważyła Marynia.

— Panie, panie — rzekł Połaniecki — żona mi się jutro schowa ze strachu, jak nadejdzie chwila posiadzenia.

— Niech się nie chowa. To inny typ... Osnowski wcale nie jest głupi, ale ludzie, a zwłaszcza, za prze-

proszaniem, kobiety, są tak niemądre, że jeśli czyjś rozum nie bije nikogo po głowie, jeśli mu trochę brak pewności siebie, jeśli nie drapie jak kot i nie rozcina jak nóż, to go nie cenią. Dalibóg, widziałem to sto razy w życiu!...

Po chwili przymknął znów jedno oko, popatrzył na Marynię i mówił dalej:

— Wogóle, jakie społeczeństwo ludzkie jest głupie! Ja nieraz zadawałem sobie pytanie, dlaczego uczciwość charakteru, serce i taka rzecz jak dobroć, bywają mniej cenione, niż tak zwany rozum? Dlaczego w życiu społecznym istnieją dwie przeważnie etykiety: rozumny lub głupi, a naprzykład niema zwyczaju mówić: cnotliwy i niecnotliwy — tak dalece niema zwyczaju, że już same wyrazy wydałyby się śmieszne.

— Bo — rzekł Połaniecki — rozum to jest lartarka, którą sobie musi świecić i cnota i dobroć i serce — inaczej mogą sobie porozbijać nosy, a co gorzej, porozbijać nosy drugim.

Marynia nie rzekła wprawdzie ani słowa, ale z twarzy jej można było wyraźnie wyczytać:

— Jaki ten Staś mądry, to strach!

„Mądry Staś“ tymczasem dodał:

— Ja zresztą nie mówię o Osnowskim, bo go nie znam.

— Osnowski — odrzekł Świrski — kocha żonę, jak swoją żonę, jak swoje dziecko i jak swoje szczęście, a ona ma głowę zawróconą Bóg wie czem i nie odpłaca mu wzajemnością. Mnie, jako człowieka nieżonatego, zajmują bardzo kobiety, to też nieraz po całych dniach mówimy, a zwłaszcza mówiliśmy o nich z Bukackim,

póki i jego więcej interesowały, niż dziś. Bukacki dzieli kobiety na duchowe plebejuszki, przez które rozumie liचे i płaskie dusze — i na duchowe patrycyuszki, to jest natury wyszlachetnione, pełne wyższych aspiracji i wsparte na zasadach, nie na frazesach. Jest w tem pewna słuszność, ale ja wolę mój podział, bo jest prostszy: na wdzięczne serca i niewdzięczne.

Tu na chwilę oddalił się od szkicu, przymrużył oczy, poczem wzięwszy małe lusterko, nastawił je ku obrazowi i począł patrzeć na odbicie.

— Pani pyta, co ja rozumiem przez wdzięczne i niewdzięczne serca? — rzekł, zwracając się do Maryni, jakkolwiek o to nie pytała. — Otóż wdzięczne serce jest takie, które czuje, gdy jest kochane, i wzrusza się miłością, i za kochanie coraz bardziej kocha i coraz bardziej się oddaje i ceni je i czci. Niewdzięczne — wyzyskuje tylko miłość i im jest pewniejsze, tem mniej sobie z niej robi, więcej ją lekceważy i depce... Kobietę o niewdzięcznym sercu dość jest pokochać, by ona przestała kochać. Rybak nie troszczy się o rybę w matni — więc i pani Osnowska nie troszczy się o pana Osnowskiego. W gruncie rzeczy jest to najgrubsza forma egoizmu, jaka istnieje — po prostu murzyńska! — i dlatego niech Bóg strzeże pana Osnowskiego, a ją niech licho porwie z jej chińskimi oczyma koloru fiołków i fryzowaną grzywką. Malować taką — dobrze! — ale ożenić się z taką — niema głupich! Czy pani uwierzy, że ja się tak boję niewdzięcznego serca, że mi się dlatego dotąd nie ożenił, choć mi dobrze wydzwoniła czterdziestka.

— Przecie to tak łatwo poznać — rzekła Marynia.

A Świrski odrzekł:

— Licha tam! zwłaszcza gdy ktoś straci zmysły i rozum.

I przegiąwszy swoją atletyczną figurę, patrzył czas jakiś na szkic, poczem rzekł:

— No, dosyć na dziś! Nagadałem się też tak, że chyba muchy popadały ze ścian. Jutro, jak pani będzie miała tego nadto, to niech pani tylko w dłonie klaśnie... Ja zresztą tyle z panią Osnowską nie gadam, bo i ona lubi gadać... A co ja się nasłucham tytułów książek! No, mniejsza z tem! Coś jeszcze chciałem powiedzieć i zapomniałem... Aha! — że pani jest wdzięczne serce!

Połaniecki począł się śmiać i zaprosił Świrskiego na obiad, obiecawszy mu towarzystwo Bukackiego i profesora Waskowskiego.

— Z wielką radością — odpowiedział Świrski — ja jestem taki samotny, jak dzik. A że jest pogoda i pełnia, więc potem pojedziemy oglądać Koloseum przy księżycu.

Obiad jednak odbył się bez umysłowych koziołków Bukackiego, albowiem ten czuł się niezdrów i napisał, że nie przyjdzie. Natomiast Świrski i Waskowski przystali do siebie wybornie i zaprzyjaźnili się od razu. Świrski tylko przy robocie nie pozwalał nikomu przyjsć do słowa, wogóle zaś lubił i uniał słuchać, a jakkolwiek profesor wraz ze swymi poglądami wydawał mu się czasem komiczny, jednak znać było w staruszkcu taką szczerłość i dobroć, że trudno mógł sobie kogo nie zjednać. Artystę też uderzyła jego mistyczna twarz i wyraz oczu. Trochę go sobie w duszy szkicował, i słuchając o Aryach,

myślał: jakby też wyglądała taka głowa, gdyby dobrze uchwycić wszystko, co w niej jest?

Pod koniec obiadu profesor jął rozpytywać Marynię, czyby nie chciała widzieć Papieża, i oświadczył, że za trzy dni ma przybyć belgijska pielgrzymka, do której możnaby się przyłączyć. Świrski, który znał cały Rzym i wszystkich monsiniorów, zaręczył, że potrafi to z łatwością przeprowadzić. Usłyszawszy to, profesor patrzył na niego i spytał:

— To pan prawie Rzymianin?

— Od szesnastu lat.

— Proszę!...

Tu profesor zmieszał się nieco, z obawy, czy nie popełnia niedyskrecyi, ale chcąc jednak wiedzieć, co ma sądzić o człowieku tak sympatycznym, przemógł nieśmiałość i spytał:

— A... czy z Kwirynału, czy z Watykanu?

— Z Pognębina — odpowiedział Świrski, marszcząc nieco brwi.

Zakończenie obiadu przerwało dalsze objaśnienia i dalszą rozmowę. Marynia ledwie mogła dosiedzieć na myśl, iż zobaczy przy księżycu Kapitol, Forum i Koloseum. Jakoż w chwilę później pojechali przez oświetlone elektrycznością Corso ku ruinom.

Noc była cicha i ciepła, a koło Forum i Koloseum pusto zupełnie, jak zresztą czasem bywa i we dzień. W okolicach kościoła Santa Maria Liberatrice ktoś grał w otwartym oknie na flecie, i w ciszy słychać było każdą nutę. Na przednią część Forum padał głęboki cień od wzgórza i gmachu kapitolńskiego, ale dalsze plany były

oblane jasnym, zielonawym światłem, również jak i Kołoseum, które zdawało się jak srebrne. Gdy powóz zatrzymał się przy arkadach olbrzymiego cyrku, Polanieccy, Świrski i Waskowski weszli do wnętrza i poczuli się posuwać ku środkowi areny, omijając nagromadzone bliżej arkad gruzy, odłamy kolumn, fryzów, stopy cegieł, kamieni i niszki, stojące tu i owdzie cokoły. Pod wpływem milczenia i pustki słowa nie cisnęły się im do ust. Przez łuki arkad wchodziły do wnętrza snopy miesięcznego światła, które zdawało się spać cicho na podłożu areny, na przeciwległych murach, w szczerbach, rozpadlinach ścian, w załamaniach, na osrebrzonych mchach i bluszczach, pokrywających tu i owdzie zwalisko. Inne części gmachu, pogrążone w nieprzebitym mroku, czyniły wrażenie czarnych i tajemniczych czeluści. Z położonych nisko kuniułów szło surowe tchnienie pustki. Rzeczywistość zacierała się wśród tego labiryntu i tej mieszaniny murów, arkad, świetlistych pasem i głębokich cieniów. Olbrzymia ruina zdawała się tracić swój byt realny i stawać się sennym widziadłem, albo raczej jakimś dziwnym wrażeniem, złożonym z ciszy, nocy, księżycy, ze smutku i ze wspomnień wielkiej a pełnej cierpienia i krwi przeszłości.

Świrski pierwszy zaczął mówić przyciszonym głosem:

— Ile tu bólu, ile łez, jaka niezmierna tragedia!...

Niech sobie mówią, co chcą — w chrześcijaństwie tkwi coś nadludzkiego — i tej myśli nie można się oprzeć.

Tu zwrócił się do Maryni i szeptał dalej:

— Niech pani sobie wyobrazi tamtą potęgę: cały świat, miliony ludzi, żelazne prawo, siłę, jakiej nigdy

przedtem i potem nie widziano, organizację, jakiej nigdy nie było, wielkość, sławę, setki legionów, olbrzymie miasto, władające światem — i ten tam oto Palatyn, władający miastem; zdawałoby się, że żadna moc ziemską tego nie obali — tymczasem przychodzi dwóch żydów: Piotr i Paweł — nie z bronią, lecz ze słowem — i patrz pani: tu ruina, na Palatynie ruina, na Forum ruina, a nad miastem krzyże, krzyże, krzyże i krzyże...

Znów nastąpi cisza, tylko od strony Santa Maria Liberatrice zachodził ciągle głos fletu.

Po chwili profesor Waskowski rzekł, wskazując na arenę:

— I tu był krzyż — ale oni go znieśli...

Lecz Połaniecki rozmyślał o słowach Świrskiego, miały one bowiem dla niego żywotniejsze znaczenie, niż mogłyby mieć dla człowieka, który walkę duchową z sobą ukończył. Wreszcie, idąc za biegiem własnych myśli, rzekł:

— Tak, w tem tkwi coś nadludzkiego. Jakaś prawda świeci tu w oczy, jak ten księżyc.

Zwolna mieli się ku wyjściu, gdy wtem na zewnątrz zaturkotał powóz, potem w ciemnej niszy, prowadzącej do środka cyrku, dały się słyszeć kroki i jakieś dwie wysokie postacie wychyliły się z cienia na światło.

Jedna z nich, przybrana w szarą suknię, która w blasku miesięcznym lśniła jak stal, zbliżywszy się na kilka kroków, by lepiej przypatrzeć się zwiedzającym, rzekła nagle:

— Dobry wieczór! Noc taka śliczna, że i my wybraliśmy się do Koloseum. Co za noc!

Połaniecki rozpoznał głos pani Osnowskiej.

Ona zaś, podając mu rękę, mówiła głosem tak miękkim, jak ów głos fletu, dochodzący od strony kościoła:

— Zacznę wierzyć w przeczucia, bo doprawdy coś mi mówiło, że znajdę tu znajomych. Jaka noc śliczna!...

XIV.

Wróciwszy do hotelu, Połanieccy znaleźli z pewnem zdziwieniem karty wizytowe państwa Osnowskich, a zdziwienie ich pochodziło stąd, że im-to pierwszym, jako młodemu małżeństwu, należało składać wizyty. Na uprzejmość, i tak niezwykłą, trzeba było odpowiedzieć równą uprzejmością, nazajutrz więc pokwapili się z rewizytą. Bukacki, który ich przedtem widział, jakkolwiek mocno niezdrów i ledwie włóczący nogi, zdobył się wszelako na jeden ze swych zwykłych konceptów i rzekł Połanieckiemu, gdy na chwilę zostali sam na sam:

— Ona będzie cię kokietowała, ale jeśli przypuszczasz, że się w tobie zakocha, to się mylisz. W niej jest trochę podobieństwa do brzytwy — potrzeba jej paska do ostrzenia się — i w najlepszym razie będziesz dla niej paskiem.

— Naprzód, nie chcę być jej paskiem — odpowiedział Połaniecki — a powtóre, jeszcze na to zawczasie.

— Zawczasie? To się znaczy, że sobie zabezpieczasz przyszłość.

— Nie, to znaczy, że myślę o czem innym, a także,

że coraz więcej kocham swoją Marynię, tak, że gdy skończy się: zawcześnie, będzie: zapóźno — i że pani Osnowska mogłaby się na mnie poszczerbić, ale nie wyostrzyć.

I Połaniecki, mówiąc to, był szczerym: myśli miał istotnie zajęte czem innym, w każdym zaś razie było na to zawcześnie.

Był zaś tak dalece pewny siebie, że jednocześnie czuł pewną gotowość poddania się próbie. Inaczej mówiąc, sprawiłoby mu to pewne zadowolenie, gdyby pani Osnowska się na nim poszczerbiła.

Tymczasem po śniadaniu pojechali z Marynią na posiedzenie do Świrskiego, które jednak krótko trwało, artysta bowiem był sędzią w jakimś konkursie artystycznym i musiał spieszyć na posiedzenie. Gdy wrócili do siebie, w kwadrans później nadszedł pan Osnowski.

Połaniecki, po rozmowie ze Świrskim, wyniósł dla niego pewne politowanie, ale zarazem jakby lekceważenie, Marynia jednak czuła dla niego żywą sympatyę. Ujęło ją to, co słyszała o jego dobroci, delikatności i przywiązaniu do żony. Teraz zdawało jej się, że te wszystkie przymioty są jakby wypisane na jego twarzy, wcale zresztą niebrzydkiej, chociaż tu i owdzie pokrytej pryszczami.

Pan Osnowski, powitawszy ich, począł mówić z pewną swobodą człowieka, przywykłego do dobrych towarzystw:

— Ja tu przychodzę z polecenia żony, z pewną propozycją. Chwała Bogu, że ceremonie wizytowe między nami skończone, chociaż za granicą nie warto się zbyt ściśle z tem rachować. Jest rzecz taka: chcemy dziś jechać do Świętego Pawła, a następnie do Tre Fontane.

To już za miastem; ciekawy klasztor i śliczny stamtąd widok. Otóż byłoby nam bardzo przyjemnie, gdyby państwo zgodzili się razem odbyć tę wycieczkę.

Marynia zawsze gotowa była na wszelkie wycieczki, zwłaszcza w towarzystwie i przy milej pogawędce, skutkiem czego poczęła spoglądać na męża, czekając, co powie. Połaniecki zaś spostrzegł, iż ona ma ochotę, a prócz tego pomyślał w duchu: „Chcesz się trochę poszczerbić, to się poszczerb!”

I odrzekł:

— Ja zgodziłbym się chętnie, ale to zależy od mojej władzy wyższej.

Władza wyższa jeszcze nie była pewna, czy pokorny podwładny mówi to szczerze, ale widząc na jego twarzy uśmiech i dobry humor, ośmieliła się wreszcie zawyrokować:

— Z wielką wdzięcznością — tylko czy nie narobimy kłopotu?

— Nie kłopotu, ale przyjemności — odpowiedział Osnowski. — W takim razie doskonale! Za kwadrans tu będziemy.

Jakoż za kwadrans ruszyli. Chińskie oczy pani Osnowskiej pełne były zadowolenia i pogody. Ubrana w fularową suknię koloru irys i w jakieś okrycie, mogące uchodzić za ósmy cud świata, wyglądała rzeczywiście jak rusałka. I nim dojechali do Św. Pawła, Połaniecki sam nie wiedział, jakim sposobem pani Osnowska, która nic w tym przedmiocie nie mówiła, potrafiła mu jakoś powiedzieć, a przynajmniej dać do zrozumienia, co następuje:

— Twoja żona, to sobie ot, miła, wiejska kobiecinka, o moim mężu niema co i mówić. Rozumieć się i dzielić wrażeniami możemy tylko my dwoje.

Ale on ją postanowił drażnić.

Gdy dojechali do Św. Pawła, którego zresztą pani Osnowska nie nazywała inaczej, jak „San Paolo fuori le Mura,” mąż jej chciał zatrzymać powóz, lecz ona rzekła:

— Zatrzymamy się z powrotem, bo wówczas będziemy wiedzieli, ile nam czasu zostaje, a teraz jedźmy prosto do Tre Fontane.

Poczem, zwróciwszy się do Połanieckiego, mówiła dalej:

— Są też tu, w tem sławnem podwórzku, rozmaite rzeczy, o które chciałabym pana zapytać.

— To pani źle trafi — odpowiedział Połaniecki — bo ja się na tych rzeczach nic a nic nie znam.

Pokazało się wkrótce, przy mijaniu rozmaitych pamiątkowych miejscowości, że w całym towarzystwie zna się najlepiej pan Osnowski. Biedaczysko studyował od rana do wieczora przewodniki, dlatego, by sam mógł być przewodnikiem żonie, a po części dlatego, żeby jej się przez swoją wiedzę podobać. Ale ona lekceważyła objaśnienia, jakich mógł udzielić, właśnie dlatego, że pochodziły od niego. Więcej jej przypadła do smaku zuchwała pewność siebie, z jaką Połaniecki przyznał się, iż o starożytnościach nie ma pojęcia.

Za Świętym Pawłem odkrył się widok na Kampanię, wraz z jej akweduktami, zdającymi się biedz jakby z pośpiechem do miasta, i na góry Albańskie, przesło-

nione błękitną mgłą oddalenia, zarazem spokojne i świetliste. Pani Osnowska patrzyła na nie czas jakiś rozmarzonym wzrokiem, poczem spytała:

— Czy państwo byli w Albano i w Nemi?

— Nie — odpowiedział Połaniecki — posiedzenia u Świrskiego przecinają nam dzień tak, że nie możemy czynić większych wycieczek przed ukończeniem portretu.

— Myśmy już byli, ale jak państwo wybiorą się tam, weźcie mnie jeszcze raz z sobą — weźcie mnie z sobą... Dobrze? Pani pozwoli? — dodała, zwracając się do Maryni. — Będę trochę pięttem kołem, ale to nic... Zresztą będę cichutko, cichutko, siedzieć w kącie powozu i ani się odezwę — ani mrumru! Dobrze...

— Oj, mała, mała! — rzekł pan Osnowski.

A ona mówiła dalej:

— Mąż mój nie chce wierzyć, że zakochałam się w Nemi. A ja się zakochałam. Jak tam byłam, to mi się zdawało, że tam jeszcze chrześcijaństwo nie doszło, że nocami wychodzą jacyś kapłani i odprawiają nad jeziorem pogańskie obrzędy. Krótko powiem: cisza i tajemnica — oto Nemi. Czy pan uwierzy, że jak tam byłam, to mi ochota przyszła zostać pustelnicą — i dotąd nie przeszła. Zbudowałabym sobie pustelnię nad brzegiem jeziora — i chodziłabym w długiej szarej sukni, podobnej do habitu Św. Franciszka z Assyżu — i boso. Cobym dała, żeby zostać pustelnicą... Widzę siebie nad jeziorem...

— Anetko, a co by się ze mną stało? — spytał pół żartem, pół poważnie, pan Osnowski.

— Tybys się pocieszył — odpowiedziała krótko.

Połaniecki zaś pomyślał:

— Byłabyś pustelnicą, pod warunkiem, żeby na drugim brzegu jeziora stało parę tuzinów frantów i przypatrywało się przez lornetki, co pustelnica robi i jak wygląda.

Był zbyt dobrze wychowanym, żeby powiedzieć jej wprost to, co pomyślał, ale powiedział jej coś podobnego i co można było tak zrozumieć, a ona poczęła się śmiać i odrzekła:

— Naturalnie. Żyłabym z jałmużny, więc czasem musiałabym ludzi widywać, i gdybyście państwo przyjechali do Nemi, przyszedłabym także do pana i powtarzałabym po cichutku: „un soldo! un soldo!”

To rzekłszy, wyciągnęła ku niemu swe drobne ręce i poczęła nimi potrząsać, powtarzając z pokorą:

— Un soldo per la povera! un soldo!...

I patrzyła mu w oczy.

Pan Osnowski zaś mówił tymczasem Maryni:

— To się nazywa Tre Fontane, bo tam są trzy źródła. Tam był święty Św. Paweł i jest podanie, że głowa jego podskoczyła trzykrotnie i że na tych miejscach wytrysły źródła. To teraz należy do Trapistów. Dawniej tam nie mogli nocować, taka była febra, ale teraz mniejsza, bo zasadzili na wzgórzach cały las eukaliptów. O! widać już stąd!

A pani Osnowska, przechylona nieco w tył, przymknęła na chwilę oczy i mówiła Połanieckiemu:

— Mnie to powietrze rzymskie upaja. Jestem jak nieprzytomna. W domu nie wymagam więcej od życia nad to, co mi daje, a tu się demoralizuję, tu czuję,

że mi czegoś brak. Czy ja wiem czego? Tu się coś przeczuwa, coś odgaduje, za czems tęskni... Może to źle. Może niepotrzebnie to mówię? Ale ja zawsze mówię to, co mi przez myśl przejdzie. W domu, jak byłam mała, nazywali mnie SzczeroTKą. Poproszę męża, żeby mnie stąd wywiózł. Może najlepiej żyć w swojej ciasnej skorupce, jak żółw', albo jak ślimak.

Na to Połaniecki odrzekł poważnie:

— W skorupie może być dobrze ślimakom lub żółwiom, ale nie ptakom i do tego rajskim, o których jest podanie, że nie mają nóg i z tej przyczyny nie mogą nigdy spocząć, tylko muszą latać i latać.

— Jakie śliczne podanie... — odpowiedziała pani Osnowska.

I podniósłszy dłonie, poczęła niemi poruszać, udając ruch skrzydeł i powtarzając:

— Tak ciągle w powietrzu, w powietrzu!

Pochlebiło jej porównanie, a zarazem zdziwiło ją to, że Połaniecki mówił z powagą w głosie, a zarazem z twarzą niedbałą i jakby ironiczną. Począł ją zajmować, bo wydał jej się bardziej inteligentnym i trudniejszym do opanowania, niż się spodziewała.

Tymczasem dojechali do Tre Fontane. Zwiedzili ogród, kościół i kaplicę, w której podziemiu biją trzy źródła. Pan Osnowski objaśniał swoim dobrym, trochę jednostajnym głosem, co przedtem wyczytał. Marynia słuchała go z zajęciem, Połaniecki zaś pomyślał:

— Jednak żyć z nim trzysta sześćdziesiąt pięć dni na rok, musi być trochę ciężko!

Usprawiedliwiało to poniekąd w jego oczach panią

Osnowską, która, wzięwszy teraz na się nową rolę rajskiego ptaka, nie spoczęła na chwilę nietylko na ziemi, ale na żadnym przedmiocie. Naprzód napiła się likieru z eukaliptów, który klasztor wyrabia jako środek przeciw febrze, następnie oświadczyła stanowczo, że gdyby była mężczyzną, toby została Trapistą; potem jednak przypomniała sobie, że uśmiechałby się jej zawód żeglarski, „ciągle między morzem a niebem — jakby za życia w nieskończoności;“ wreszcie jednak nad wszystkimi innymi wzięła w niej górę chęć zostania wielkim, bardzo wielkim pisarzem, który maluje najdrobniejsze poruszenia duszy, pół-świadome uczucia, niedopowiedziane pragnienia, wszystkie kształty, wszystkie kolory, wszystkie cienie. Zgromadzeni dowiedzieli się też pod sekretem, że pisze swój pamiętnik, który „ten poczciwy Józio“ uważa za arcydzieło, ale ona wie, że to jest nic, nie ma najmniejszych pretensyi i wyśmiewa się i z Józia i z pamiętnika.

„Józio“ zaś patrzył na nią rozkochanemi oczyma, z wielką miłością na popryszczonej twarzy i powtarzał, protestując:

— A co do pamiętnika, to przepraszam, bardzo przepraszam!

Wyjechali już pod zachód. Od drzew kładły się długie cienie, słońce stało się wielkie i czerwone. Dalekie akweduty i góry Albańskie świeciły różowo. Byli w połowie drogi, gdy z wieży Św. Pawła zadzwoniono na „Anioł Pański“ — i wnet za tym dzwonem ozwał się drugi, trzeci, dziesiąty. Każdy kościół podawał głos następnemu i zrobił się chór tak ogromny, tak roz-

dźwięczało się całe powietrze, jakby na „Anioł“ dzwoniło nie tylko miasto, ale cała okolica, równiny i góry.

Połaniecki spojrział na oświeconą złotym blaskiem twarz Maryni. Był w niej wielki spokój i skupienie. Widać było doskonale, że tak sobie teraz odmawia „Anioł Pański,“ jak odmawiała w Krzemieniu, gdy dzwoniło w Wątorach. Zawsze i wszędzie jednak. Połanieckiemu przypomniawszy się znów: „służba boża.“ Wydało mu się to tak proste i uspakajające, jak nigdy. Ale zarazem, teraz, zbliżając się do miasta, zrozumiał trwałość, żywotność i ogrom tych wierzeń. „To wszystko — pomyślał — przecie tak trwa od półtora tysiąca lat i nie w czem innym moc i niepożytość tego miasta, tylko w tych wieżach, dzwonach, w tej stateczności krzyża, który trwa i trwa.“ Tu znów przypomniawszy mu się słowa Świrskiego: „Tu ruina, na Pałatynie ruina, na Forum ruina, a nad miastem krzyże, krzyże i krzyże!“ I wydało mu się niewątpliwem, że w samej tej trwałości jest coś nadludzkiego. Tymczasem dzwony były, a niebo nad miastem oblewało się zorzą. Pod wrażeniem modlącej się Maryni i dzwonów, i tego niespornego nastroju, który zdawał się unosić nad miastem i całą ziemią, w Połanieckim, który miał wiele duchowej prostoty, poczęła się wylaniać następna myśl: „Jakim musiałbym być głupcem i pyszałkiem, gdybym wobec tej potrzeby wiary i tego poczucia Boga miał szukać jakich swoich własnych form czci i miłości, zamiast przyjąć te, które Marynia nazywa „służbą bożą,“ i które muszą być jednak najlepsze, skoro świat żyje w nich od blisko dwóch tysięcy lat..“ Poczem, jako człowieka

praktycznego, uderzyła go rozsądna strona tej myśli i jał dalej mówić sobie, niemal wesoło: „Z jednej strony tradycya tysięcy lat, życie Bóg wie ilu pokoleń, Bóg wie ilu społeczeństw, którym było i jest w tych formach dobrze, powaga Bóg wie ilu głów, które uważają je za jedyne — z drugiej strony kto taki? — ja! wspólnik Domu komisowego pod firmą Bigiel i Połaniecki! — i ja miałbym mieć pretensyę, że wymyślę coś lepszego, w co się Pan Bóg lepiej pomieści? Toż trzebaby chyba być durniem! Ja przecie jestem z sobą szczerzy człowiek i nie zniósłbym, gdyby mi przychodziło od czasu do czasu na myśl, że jednak jestem kiep. A do tego, tak wierzyła moja matka i tak wierzy moja żona — a nie widziałem w nikim więcej spokoju, jak w nich.“

Tu spojrział raz i drugi na Marynię, a ona widocznie skończyła swój „Anioł Pański“ — bo uśmiechnęła mu się na odpowiedź i spytała:

— Coś ty taki milczący?

— Wszyscy milczymy — odpowiedział.

I tak było, ale z różnych przyczyn. W czasie, gdy Połaniecki był zajęty swemi myślami, pani Osnowska zagabnęła go kilkakrotnie i oczyma i słowami. On jednak na słowa odpowiadał coś piąte przez dziesiąte — spojrzeń zaś wcale nie zauważył — i po prostu obraził ją; mogła mu przebaczyć, a nawet mogło jej się podobać, gdy na oznajmienie, że pragnęłaby być zakonnica, odpowiedział jej ukrytem w grzecznych słowach zachwalstwem, ale dotknęło ją śmiertelnie, gdy po prostu przestał na nią zważać — i za karę również przestała na niego zważać.

Ale, jako osoba dobrze wychowana, stała się tem grzeczniejszą dla Maryni. Poczęła ją wypytywać o jutrzejsze zamiary i dowiedziawszy się, że mają być w Watykanie, oświadczyła, że i oni z mężem mają karty wstępu i że również skorzystają ze sposobności.

— Pani wie, jak trzeba być ubraną? — spytała — czarna suknia i na głowie czarna koronka. Trochę się staro w tem wygląda, ale to nieodzowne.

— Wiem, przestrzegal mnie pan Świrski — odpowiedziała pani Połaniecka.

— Pan Świrski ciągle mi w czasie posiedzeń o pani opowiada. On ma dla pani ogromną sympatyę.

— I ja dla niego — rzekła Marynia.

W czasie tej rozmowy zajechali przed hotel. Połaniecki otrzymał od pięknej pani tak lekki i oziębły uścisk ręki, że, jakkolwiek głowę miał zajętą czem innym, jednak to zauważył.

— Czy to jest nowy sposób — pomyślał — czy też ja powiedziałem coś, co jej się nie podobało?

I wieczorem spytał Marynię:

— Co myślisz o pani Osnowskiej?

— Myslę — odrzekła — że pan Świrski może mieć trochę słuszności.

A Połaniecki odpowiedział:

— Ona w tej chwili pisze pamiętnik, który „Józio“ uważa za arcydzieło...

XV.

Nazajutrz, gdy Marynia wyszła ubrana do męża, ów ledwie ją poznał. Ubrana w czarną suknię i w czarnej koronce na głowie, wydawała mu się wyższą, szczuplejszą, smaglejszą i starszą. Ale podobała mu się pewna w niej powaga, która przypomniła mu chwilę ślubu. W pół godziny później wyjechali. Marynia przyznała mu się po drodze do strachu i do bicia serca, on zaś uspokajał ją, żartując, chociaż także był nieco wzruszony, a gdy po krótkiej drodze wjechali w olbrzymie półkole przed Św. Piotrem, czuł, że i jemu pulsa nie biją jak codzień, a prócz tego miał takie dziwne wrażenie, jakby był mniejszy niż zwykle. U schodów, przy których stało kilku szwajcarów, przybranych w przepyszne, obmyślane przez Michała Anioła, ubiory, znaleźli Świrskiego, który wprowadził ich na górę, wraz z tłumem ludzi, przeważnie Belgów. Marynia, trochę ogłuszona, sama nie wiedziała, kiedy znalazła się w bardzo obszernej sali, w której tłum był jeszcze większy, z wyjątkiem w środku, gdzie szwajcarowie, ustawieni w szpaler, utrzymywali szerokie wolne przejście. Tłumy, między którymi słychać było język

francuski i flamandzki, szepcząc między sobą zniżonymi głosami, zwracały głowy i oczy ku temu przejściu, w którym zjawiały się od czasu do czasu przez drzwi przyległej sali postacie w dziwnych kostyumach, przenoszących Połanieckiego myślą do galeryi antweperskich lub brukselskich. Zdawało mu się, że średnie wieki zmartwychwstają: czasem więc był to jakby jakiś rycerz średniowieczny, w innym wprawdzie hełmie niż na dawnych obrazach, ale ze stałą na piersiach; czasem niby herold w krótkiej czerwonej dalmatyce i w czerwonym na głowie berecie; chwilami przez uchylone drzwi migają purpury kardynalskie, lub fiolety biskupie, strusie pióra, koronki na czarnych aksamitach i głowy niezmiernie sędziwe, o białych włosach, lub twarze jakby z sarkofagów. A jednak znać było, że spojrzenia tłumów padają na te osobliwe stroje, na te barwy i na te twarze, jakby mimochodem, że oczy szukają czegoś innego, wyższego, i czegoś innego serca, że uwaga skupia się w myślach, a uczucie w duszach, w oczekiwaniu jakiejś chwili, którą się w życiu raz ma, a na zawsze pamięta. Połaniecki, trzymając Marynię za rękę, by jej nie zgubić w tłumie, czuł, jak ta ręka drży ze wzruszenia, sam zaś, wśród tych cichych tłumów, wśród tej powagi historycznej i jakby zmartwychwstałych prastarych czasów, wśród tego skupienia i oczekiwania — doznał znów tego dziwnego wrażenia, że staje się coraz mniejszy i mniejszy, i tak mały, jak nigdy w życiu.

Wtem jakiś głos cichy i nieco zdyszany szepnął przy nich:

— Upatrywałem was i ledwie znalazłem. Zdaje się, że to już będzie zaraz.

Ale to nie miało być jeszcze zaraz. Świrskiego tymczasem powitał znajomy Monsinior i pomówiwszy z nim kilka słów, wprowadził uprzejmie całe towarzystwo do przyległej sali, obitej czerwonym adamaszkiem. Połaniecki ze zdziwieniem spostrzegł, że i tu już było pełno ludzi, z wyjątkiem jednego końca sali, który osłaniała straż honorowa, a w którym stało na podwyższeniu krzesło, przed niem zaś kilku prałatów i biskupów, rozmawiających z sobą poufnie. Tu oczekiwanie i skupienie wpaadało w oczy jeszcze wyraźniej. Widać było, że ludzie wstrzymują oddechy i że wszystkie twarze mają uroczysty i tajemniczy wyraz. Błękitna jasność dnia, pomieszana z purpurowymi odblaskami obicia, napelniała tę salę jakimś niezwykłym światłem, w którym promienie słońca, wdzierające się tu i owdzie przez szyby, wydawały się bardziej rumiane i jakby czerwieniejsze.

Czekali jeszcze przez czas jakiś, nakoniec w pierwszej sali dał się słyszeć szmer, potem pomruk, potem okrzyk, nakoniec w otwartych bocznych drzwiach ukazała się biała postać, niesiona przez gwardzistów szlacheckich. Ręka Maryni ścisnęła nerwowo dłoń Połanieckiego, ów zaś oddał jej ten uścisk i wrażenia szybkie, zlewające się w jedno ogólne poczucie jakiejś wyjątkowej i uroczystej chwili, poczęły cisnąć się tak do jego umysłu, jak w czasie ślubu.

Jeden z kardynałów począł przemawiać, lecz Połaniecki nie słyszał i nie rozumiał jego przemowy. Jego oczy, myśl i cała dusza były przy przybranej biało po-

staci. Nic z niej nie uchodziło jego uwagi. Uderzyło go jej niesłychane wycieńczenie, szczupłość, chudość i twarz tak blada a zarazem tak przeźrocza, jak bywają twarze umarłe. Było w niej coś bezcielesnego, a przynajmniej wydała mu się nawpół tylko ciałem, a nawpół tylko zjawiskiem; jakby tylko światłem, przeświecającem przez alabaster, jakby duchem, wszczepionym w jakąś przeźroczą materję, jakby pośredniem ogniwem między dwoma światami, ogniwem ludzkim jeszcze, lecz już i nadludzkim, ziemskim dotąd, ale zarazem nadziemskim. I przez dziwną antytezę materya w niej wydawała się czemś widziadłowem, duch czemś realnem.

Potem, gdy ludzie poczęli zbliżać się do niej po błogosławieństwo, gdy Połaniecki zobaczył u stóp jej swoją Marynię, gdy uczuł, że do tych kolan, nawpół już empirejskich, można zarazem pochylić się jak do ojcowskich, ogarnęło go silniejsze nad wszystko wzruszenie, oczy mu zasły mgłą i prawda! — nigdy w życiu nie czuł się tak małym ziarnkiem piasku, ale zarazem uczuł się ziarnkiem piasku, w którym bije wdzięczne serce dziecka.

Po wyjściu wszyscy byli milczący. Marynia miała oczy jakby rozbudzone ze snu; profesorowi Waskowskiemu trzęsły się ręce; na śniadanie przywłókł się Bukacki, ale sam będąc chory, nie potrafił nikogo rozgadać; nawet Świrski mało gawędził podczas posiedzenia — i tylko, wracając ciągle do tego samego przedmiotu, od czasu do czasu powtarzał:

— Tak, tak! Kto tego nie widział, ten nie może mieć o tem żadnego pojęcia. To zostaje.

Wieczorem Połaniecki z Marynią poszli oglądać zachód słońca z Trinità dei Monti. Dzień kończył się bardzo pogodnie. Miasto całe pogrążone było jakby w rozpylonym złotym blasku; pod ich stopami, hen, w dole, na Piazza d'Espagna, poczynał się już zmierzch, ale zmierzch jeszcze świetlisty, w którego łagodnych tonach widać było bzy, irysy i białe lilie w wystawach kwiatowych po obu stronach Condotti. W całym obrazie był jakiś wielki i niezmacony spokój, jakby kojąca zapowiedź nocy i snu. Potem plac Hiszpański począł coraz bardziej zanurzać się w cień, tylko Trinità świeciła ciągle purpurowo.

I Połaniecki i Marynia odczuli ten spokój w sobie. Zstępowali teraz z olbrzymich schodów z jakimś dziwnym uczuciem ciszy w duszach. Wszystkie wrażenia dnia układały się w nich w linie tak wielkie i spokojne, jak owe pasma zorzy, która świeciła jeszcze nad nimi. Połaniecki wreszcie rzekł:

— Wiesz, co ja pamiętam jeszcze z dziecinnych lat? — że u nas w domu mówiło się pacierz wieczorny zawsze razem.

I począł patrzeć pytającym wzrokiem w jej oczy.

— A, mój Stachu! — odrzekła głosem, w którym drgało wzruszenie — ja ci tylko nie śmiałam o tem mówić — mój najlepszy!

On zaś odrzekł:

— „Służba boża!“ — czy pamiętasz?

Lecz ona powiedziała to niegdyś z taką prostotą i jako rzecz, która tak bardzo rozumiała się sama przez się, że teraz nie pamiętała nic a nic.

XVI.

Połaniecki ciągle jednak był w niełasce u pani Osnowskiej. Spotykając się z nim u Świrskiego między jednym posiedzeniem a drugim, mówiła z nim tylko tyle, ile nakazywało jej dobre wychowanie i grzeczność. Połaniecki widział to doskonale, czasem pytał się siebie: „Czego ona ode mnie chce“? — i niewiele sobie z tego robił, a byłby jeszcze mniej robił, gdyby jednak pani Osnowska, zamiast dwudzieściu ośmiu, miała pięćdziesiąt ośm lat, gdyby nie posiadała tak fiołkowych oczu i tak wiśniowych ust. I taka jest natura ludzka, że pomimo, iż rzeczywiście niczego od niej nie chciał i nie wyglądał, nie mógł wstrzymać się od myślenia, coby być mogło, gdyby istotnie starał się o jej łaski i do czego ona byłaby zdolną się posunąć.

Odbyli we czworo jeszcze jedną przejażdżkę do katakumb Św. Kalixta, Połaniecki bowiem chciał się wypłacić grzecznością za grzeczność, to jest powozem za powóz. Ale wycieczka ta nie przyniosła zgody. Rozmawiali tylko o tyle, żeby nie zwrócić na siebie uwagi — i jego wreszcie zaczęło to gniewać. Rzeczywiście, to za-

chowanie się pani Osnowskiej wytwarzało między nimi szczególny stosunek, niby niechętny, ale im tylko wiadomy, zatem coś wyłącznego między nimi, jakiś rodzaj tajemnicy, do której nikt inny nie był dopuszczany. Połaniecki sądził, że wreszcie wszystko to urwie się z chwilą, gdy koło jej portretu nic już nie będzie do roboty, ale tymczasem, choć twarz była już dawno skończona, pozostawało dużo innych drobnych szczegółów, dla których obecność uroczej modelki okazywała się niezbędną.

Składało się zaś znowu tak choćby z tej prostej przyczyny, że Świrski nie chciał tracić czasu, że gdy Połanieccy przychodzili, państwo Osnowscy byli jeszcze w pracowni. Czasem też przystawiali nieco, dla powitania się i krótkiej pogawędki o wczorajszych wrażeniach, czasem pan Osnowski bywał wysyłany przez żonę za jakąś sprawą, lub po jakiejś wiadomości — wówczas wychodził naprzód, zostawiając jej powóz przed pracownią.

I raz zdarzyło się, że gdy Marynia już zasiadła do pozowania, pani Osnowska jeszcze nie była wyszła; przez chwilę, dowiedziawszy się, że Połanieccy byli zeszłego wieczora w teatrze, wypytywała się, nakładając przed lustrem kapelusz i rękawiczki, o śpiewaków i operę — poczem, zwróciwszy się do Połanieckiego, rzekła:

— A teraz poproszę o odprowadzenie mnie do powozu.

I zarzuciwszy okrycie, poczęła szukać wstążek, przyśzytych z tyłu do podszewki, żeby je zawiązać w pasie, ale w przedpokoju zatrzymała się nagle.

— Nie mogę przez rękawiczki znaleźć wstążek — rzekła — niech się pan zmiłuje nademną!

Połaniecki począł szukać, ale przytem musiał ją niemal objąć. Przez chwilę oblał go war żądz, tem bardziej, że pochyliła się ku niemu, tak, że ciepło od jej twarzy i ciała poczęło na niego bić.

Ona zaś zapytała półgłosem:

— Czemu się pan gniewa na mnie. To źle! Ja tak potrzebuję przyjaznych dusz! Co ja panu zrobiłam?

On tymczasem znalazł wstążki, odsunął się, ochłodził i z tem nieco grubem zadowoleniem człowieka szorstkiego, który chce wyzyskać swój tryumf i zaznaczyć, że się nie dał — odpowiedział jej po prostu impertynencyą:

— Pani mi nic nie zrobiła — i nic nie może zrobić.

Lecz ona odbiła niegrzeczność, jakby piłkę w tenisie:

— Bo tak mało czasem zważam na ludzi, że ich prawie nie widzę.

Poczem poszli w milczeniu aż do powozu.

— A więc to tak? — myślał, wracając do pracowni Połaniecki — więc tamby się można posunąć tak daleko, jak się podoba!

I znów przebiegł go dreszcz od stóp do głowy.

— ...Tak daleko, jak się podoba. . — powtórzył.

Przyczem nie zdał sobie sprawy, że popelnia omyłkę, jaką popelniają codziennie tuziny mężczyzn, miłośników polowania na cudzych gruntach. Pani Osnowska była kokietką, miała oschłe serce i znieciały już umysł, ale była jeszcze o sto mil od zupełnego fizycznego upadku.

Tymczasem wrócił do pracowni z uczuciem, że

uczynił dla Maryni jakąś ogromną ofiarę i z pewnym żalem w sercu, naprzód z tego powodu, że ona o tem wiedzieć nie będzie, a powtóre, że choćby się dowiedziała, toby jego postępek uważała za zupełnie prosty. To poczucie gniewało go, i gdy spojrzął na nią, na czyste jej oczy, na twarz jej spokojną i piękną uczciwą pięknnością, mimowoli porównanie tych dwóch kobiet nasunęło mu się na myśl i w duszy powiedział sobie:

— Ach, Marynia! taka wołałaby się w ziemię zapasć! tej można być pewnym!

I rzecz szczególna. Było w tem niewątpliwie uznanie, ale był zarazem odcień politowania i jakby rozdrażnienia. Była to dusza, tak bardzo jego, iż nie czuł się w obowiązku do ustawicznego podziwu nad jej wartością.

I przez resztę posiedzenia wracał ustawicznie myślą do pani Osnowskiej. Przypuszczał, że w przyszłości przestanie mu po prostu rękę podawać i pokazało się, iż się znów omylił. Przeciwnie, chcąc mu dowieść, że nie przywiązuje żadnej wagi do niego, ani do jego słów, była z nim grzeczniejsza niż przedtem. Tylko pan Osnowski miał minę obrażoną i stawał się dla niego z każdym dniem bardziej lodowaty — zapewne wskutek rozmów z „Anetką“.

Lecz w kilka dni później, innego rodzaju wrażenia zatarły to zajście w pamięci Połanieckiego. Bukacki od dawna ciągle był niezdrów; narzekał coraz bardziej na ból głowy z tyłu czaszki i na jakieś dziwne uczucie, jakby rozbratu z własnymi mięśniami. Humor jego odzywał się jeszcze czasem, ale wybuchał i gasł, jak ogniotrysk. Coraz rzadziej przychodził na wspólne obiady

w hotelu. Nakoniec któregoś ranka Połaniecki odebrał jego kartkę, skreśloną bardzo niepewną ręką, a w niej słowa:

„Mój drogi, zdaje się, że od dzisiejszej nocy jestem na wsiadanem. Jeśli chcesz widzieć odjazd, to przyjdź do mnie, zwłaszcza w braku czego lepszego do roboty“.

Połaniecki zataił kartkę przed Marynią, ale poszedł natychmiast. Zastał Bukackiego w łóżku, a przy nim lekarza, którego zresztą Bukacki natychmiast odprawił.

— Przestraszyłeś mnie okropnie — rzekł Połaniecki — co ci jest?

— Nic wielkiego: małeńki paraliżyk lewej części ciała.

— Bójże się Boga!

— Rozumnie mówisz! Jeśli kiedy była pora po temu, to teraz. Nie mam władzy w lewej ręce, w lewej nodze — i nie mogę wstać. Takem się obudził dziś rano. Myślałem, że stracił i mowę i zacząłem sobie deklamować: „Per me si va“ — ale jak widzisz — nie! Język został — a teraz pracuję nad odzyskaniem pogody myśli.

— Czyś ty tylko pewny, że to paraliż? Może to chwilowe odrętwienie.

— „Czem jest życie? ach, chwilką tylko!“ — począł deklamować Bukacki. — Nie mogę się ruszać i skończyło się — albo jeśli wolisz: zaczęło się!

— Toby była okropna rzecz, ale ja w to nie wierzę. Każdy może na czas jakiś zdrętwieć.

— Bywają chwile w życiu nieco przykre, jak mówił karaś, którego kucharka oskrobywała nożem z łuski. Przyznaję ci się, że w pierwszej chwili strach mnie zdjął.

Czy ty miałeś kiedy uczucie podnoszenia się włosów na głowie? Niezupełnie ono się da policzyć do uczuć rozkosznych. Ale teraz przyszedłem już do równowagi i po trzech godzinach wydaje mi się, że sobie żył z moim paraliżem od dziesięciu lat. Kwestya przyzwyczajenia! — jak mówił rydz na patelni. Dużo gadam, bo nie mam wiele czasu. Czy ty wiesz, mój drogi, że ja za parę dni umrę?

— Prawdziwie gadasz! Ludzie sparaliżowani żyją po trzydzieści lat.

Bukacki odpowiedział:

— Nawet po czterdzieści! Paraliż jest to poniekąd luksus, na jaki sobie mogą niektórzy pozwolić — ale nie tacy, jak ja. Dla tęgiego człowieka, który ma porządny kark, porządne plecy i porządne łydki, to może być nawet rodzajem wypoczynku, rodzajem wywczasu po wesołej młodości — i sposobnością do rozmyślań — ale dla mnie! Pamiętasz, jakieś wyśmiewał moje łydki? Otóż powiadam ci, że miałem wówczas elephantiasis w porównaniu z tem, co dziś jest. To nieprawda, że każdy człowiek jest bryłą — ja jestem tylko linią — i do tego linią, idącą — bez żartów — *w nieskończoność!*...

Połaniecki począł się zżymać, zaprzeczać, powoływać się na znane sobie przykłady, lecz Bukacki odparł:

— Daj pokój! ja czuję i wiem, że za parę dni przyjdzie paraliż mózgu. Nie mówiłem nikomu, że ja się od roku tego spodziewałem i od roku czytałem medyczne książki... Przyjdzie drugi atak i będzie koniec!

Tu umilkł, lecz po chwili począł znów mówić:

— I czy myślisz, że ja tego nie wolę! Pomyśl, że ja

jestem samotny, jak odcięty od ręki palec. Nie mam nikogo... Tu, a nawet w Warszawie, mogliby mnie pilnować tylko ludzie płatni. To ogromnie podle życie, bez ruchu i bez żywego ducha bliźniego. Gdy stracę mowę, jak straciłem ruch, to pierwsza lepsza dozorczyńni, albo pierwszy lepszy dozorca będzie mnie mógł po fizyognomii bić, ile mu się podoba. A trzeba ci wiedzieć jedną rzecz. Złakłem się w pierwszej chwili paraliżu, ale w mojem marnem ciełe siedzi harda dusza — przypomnij sobie, com ci mówił, że się śmierci nie boję — i nie boję się!

Tu w oczach Bukackiego mignął jakiś płowy odblask odwagi i energii, ukrytej gdzieś na dnie tej zwichniętej i rozmiękczonej duszy.

Lecz Połaniecki, który miał dobre serce, położył rękę na jego sparaliżowanej dłoni i rzekł z wielką serdecznością:

— Mój Adziu! Nie przypuszczaj tylko, że cię tak zostawimy, jak jesteś — i nie mów, że nie masz nikogo. Masz mnie, a oprócz mnie i moją żonę, i Świrskiego, i Waskowskiego, i Bigielów. Dla nas nie jesteś obcym. Przewiozę cię do Warszawy, umieszczę w domu zdrowia i będziemy cię doglądali, a po pysku żaden dozorca nie będzie cię bił — naprzód dlatego, że jabym każdemu kości połamał, a powtóre, że u nas są Szarytki, a między niemi pani Emilia.

Bukacki umilkł i trochę pobladł. Był i on więcej wzruszony, niż chciał okazać. Przez oczy przeszedł mu cień. Po dłuższem milczeniu rzekł:

— Ty jesteś dobry chłopak. I sam nie wiesz, że

dokazałeś cudu, boś dokazał, że jeszcze czegoś chcę... Tak, ogromniebym chciał do Warszawy — między was wszystkich. Ogromniebym się cieszył na Warszawę!...

— Trzeba, żebyś i tu zaraz przeniósł się do jakiego domu zdrowia pod stały nadzór. Świrski powinien wiedzieć, gdzie najlepiej. Tymczasem oddaj mi się w łapy — dobrze? Pozwól, że ja się za ciebie rozporządzę.

— Rób, co chcesz — odpowiedział Bukacki, w którego, na widok nowych planów i energii Połanieckiego, poczęła wstępować otucha.

Połaniecki napisał do Świrskiego, do Waskowskiego i wysłał natychmiast posłańców. W pół godziny zjawili się obaj, a Świrski ze słynnym miejscowym lekarzem — i jeszcze przed południem Bukacki znalazł się w domu zdrowia, w jasnym i wesołym pokoju.

— Jaki to łagodny i ciepły ton — rzekł, spoglądając na złotawy kolor ścian i pułapu. — To ładne.

Poczem zwrócił się do Połanieckiego:

— Przyjdź do mnie wieczorem — rzekł — a teraz idź do żony.

Połaniecki pożegnał się i wyszedł. Przyszedszy do domu, opowiedział ostrożnie Maryni cały wypadek, nie chciał jej bowiem przestraszać nagłą wieścią, przypuszczając, że może być w stanie odmiennym. Marynia poczęła go prosić, by zabrał ją do Bukackiego, jeśli nie wieczorem, to nazajutrz rano — co przyrzekł uczynić. Wybrali się też zaraz po śniadaniu, gdyż posiedzenia tego dnia nie było.

Ale przedtem profesor Waskowski nie odstępował Bukackiego ani na chwilę. Gdy chory zagospodarował

się już w nowym łóżku, w domu zdrowia, staruszek począł mu opowiadać, jak raz myślał już, że umrze, ale po spowiedzi i po przyjęciu sakramentów zrobiło mu się jakby cudem lepiej.

— Znana metoda, kochany profesorze — odpowiedział z uśmiechem Bukacki — i wiem, o co panu chodzi.

A profesor zmieszał się, jakby złapany na złym uczynku — i złożył ręce.

— Bo ja się załóżę, że toby ci pomogło! — odrzekł.

Bukacki zaś odpowiedział z odbłyskiem dawnego humoru:

— Dobrze. Za parę dni przekonam się, o ile mi to pomoże — z tamtej strony rzeki.

Przybycie Maryni ucieszyło go tem bardziej, że było dla niego niespodzianką. Począł mówić, że nie spodziewał się już po tej stronie rzeki zobaczyć żadnej kobiety, a do tego swojej. Trochę przytem na wszystkich zrzędził, ale z widocznem wzruszeniem.

— Co to za romantycy! — mówił. — To jest wprost brak rozsądku zajmować się takim kościanym dziadkiem, jak ja. Wy nigdy nie potraficie być rozsądni. Poco to? naco? Oto jeszcze przed śmiercią muszę być wdzięczny — i jestem wdzięczny — szczerze — bardzo szczerze!...

Ale Marynia nie dała mu mówić o śmierci, natomiast z wielkim spokojem mówiła o konieczności przeniesienia się do Warszawy, między swoich; mówiła o tem, jak o rzeczy, której możliwość wykonania nie podlega najmniejszej wątpliwości i potrafiła zwolna wszczepić to

przekonanie w Bukackiego. Dawala mu rady, jak ma się urządzić, a on w końcu słuchał ich chciwie. Myśli jego przeszły w jakiś stan folgi, w którym dały sobą powodować. Czuł się jakby dzieckiem i do tego biednym dzieckiem.

Tegoż samego dnia odwiedził go jeszcze pan Osnowski i ten również okazał mu tyle zajęcia i serca, ile mógł okazać rodzony brat. Bukacki wprost się tego wszystkiego nie spodziewał i na nic podobnego nie liczył. To też, gdy późnym wieczorem przyszedł jeszcze raz Połaniecki i gdy zostali sam na sam, rzekł:

— Powiem ci teraz szczerze: nigdy nie czułem lepiej nie czułem, żem z życia zrobił głupią farsę i żem je zmarnowałem, jak pies.

Po chwili zaś dodał:

— I gdybym był chociaż znajdował prawdziwe upodobanie w tej metodzie, według której żyłem — ale i to nie. Jaka głupia ta nasza epoka! Człowiek się rozdwoja: wszystko, co w nim lepsze, chowa i zatyka gdzieś w kąty, a staje się jakąś małpą, czy pajacem, i to gorzkim pajacem, a w dodatku często nieszczerym. Więcej wmawiać w siebie marność życia, niż ją odczuwać — jakie to dziwne! Jedna rzecz mnie pociesza, że czemś naprawdę rzeczywistem w życiu jest tylko śmierć — chociaż z drugiej strony, to znów nie racya, żeby przedtem, nim ona przyjdzie, mówić na wino, że to ocet...

— Mój kochany — odpowiedział Połaniecki — tyś się zawsze męczył tem ciąglem nawijaniem myśli na byle motek. Nie czyńże tego teraz.

— Masz słuszość. Ale nie mogę o tem nie myśleć,

że pókim chodził i był jako tako zdrow, drwiłem z życia, a teraz — powiem ci to pod sekretem — ja mam ochotę jeszcze żyć.

— I będziesz.

— Ej, daj spokój. Żona twoja mi to wmówiła — ale teraz znów nie wierzę. I ciężko mi. Zmarnowałem się. Ale słuchaj, dlaczego chciałem z tobą mówić. Nie wiem, czy czeka mnie jaki obrachunek, czy nie? Szczerze ci mówię: nie wiem! — a jednak mam jakiś dziwny niepokój, jakbym się czegoś bał — i powiem ci czego: oto, że ja tam, dla swoich, nic nie zrobiłem, a mogłem! mogłem!... Przed tą myślą strach mnie bierze — daję ci słowo! To jest niegodna rzecz! Nic nie zrobiłem: zjadłem darmo chleb, a teraz... śmierć. Jeśli są jakie baty i jeśli mnie czekają, to za to — i słuchaj Stachu — ciężko mi!...

Tu jakkolwiek mówił zwykłym sobie, niedbałym tonem, twarz jego zaczęła wyrażać istotny niepokój — usta pobladły mu nieco, a na czole osiadło kilka kropel potu.

— Dajże pokój! — rzekł Połaniecki — ot, co mu do głowy przychodzi! Szkodzisz sobie!

Lecz Bukacki mówił dalej:

— Słuchaj, czekaj! Ja mam dość znaczny majątek — niech choć on coś zrobi za mnie. Ja tobie zostawię część, ale ty resztą rozporządź na coś pożytecznego! Ty jesteś praktyczny i Bigiel także. Namyślcie się, bo ja nie wiem, czy będę miał czas. Zrobisz to?

— I to, i co chcesz!

— Dziękuję ci. Jaki to dziwny tego rodzaju nie-

pokój i tego rodzaju wyrzuty? A jednak nie mogę się pozbyć poczucia winy. Takie warunki, że nie godzi się! Trzeba zrobić coś uczciwego, chociaż przed śmiercią. To jednak nie żarty! — Śmierć. Żeby to było coś widnego, ale to takie ciemne!... I trzeba rozpadać się, psuć i gnić *po ciemku*. Czy ty jesteś człowiek wierzący?

— Tak jest.

— A ja ani tak, ani nie. Bawiłem się w nirwanę, tak jak w inne rzeczy. Wiesz, żeby nie poczucie tej winy, tobym był spokojniejszy. Nie miałem pojęcia, że to tak może dokuczać. Mam wrażenie, że jestem pszczołą, która ograbiła swój ul, i że to jest rzecz podła. Ale przynajmniej po mnie zostanie majątek. Co? prawda? Trochę straciłem, ale bardzo niewiele — i to na obrazy, które także zostaną — prawda? Ach, jakbym ja chciał teraz jeszcze żyć, choćby z rok, choćby tyle, by nie umrzeć tu...

Na chwilę zamyślił się i potem rzekł:

— Ja teraz rozumiem jedno: życie może być złe, bo je człowiek może sobie głupio urządzić — ale istnienie, to dobra rzecz.

Połaniecki odszedł późną nocą. Przez tydzień następny zdrowie chorego wahało się. Lekarze nie umieli nic przewidzieć, sądzili jednak, że podróż w żadnym razie nie może spowodować niebezpieczeństwa. Świrski i Waskowski podjęli się odwiedzić chorego, który tęsknił coraz bardziej i codziennie prawie wspominał panią Emilię — Siostrę miłosierdzia. Ale w wigilię dnia, w którym mieli wyjechać, stracił nagle mowę. Połanieckiemu serce się krajało, gdy patrzył na jego oczy, w których chwilami malował się straszny niepokój, a chwilami, jakby jakaś

wielka, niema prośba. Próbował pisać, ale nie mógł. Wieczorem przyszło porażenie mózgu — i umarł.

Pochowano go na Campo Santo tymczasowo. Połaniecki bowiem domyślał się, iż jego spojrzenia wyrażały prośbę o przewiezienie go do kraju, a Świrski potwierdził domysł.

Tak znikła ta bańka mydlana, czasem połyskująca barwami tęczy, ale czeza i nietrwała, jak prawdziwa bańka...

Połaniecki szczerze strapiony był jego śmiercią i następnie całemi godzinami rozmyślał o tem dziwnym życiu. Myśłami temi nie dzielił się z Marynią, bo jakoś dotąd nie weszło mu w zwyczaj dzielić się z nią z tem, co się w nim działo. Ostatecznie, jak to się często zdarza ludziom, którzy myślą o umarłych, wyprowadził z tych rozmyślań rozmaite wnioski na własną korzyść.

— Bukacki — mówił sobie — nigdy nie umiał przyjść do ładu z własnym rozumem; brakło mu zmysłu życiowego, nie umiał rozpoznawać się w tym lesie i szedł zawsze według chwilowej fantazyi. I gdyby mu było z tem dobrze, gdyby był z życia coś wycisnął — przyznałbym mu jeszcze rozum. Ale jemu było źle. Istotnie, głupią jest rzeczą wmawiać w siebie, zanim śmierć przyjdzie, że wino jest octem. Jednak patrzę jaśniej na rzeczy, a oprócz tego, byłem z sobą daleko szczerzy. Bądź-cobądź, ja prawie zupełnie jestem w porządku i z Bogiem i z życiem.

Było w tem nieco prawdy, ale były i złudzenia. Połaniecki nie był w porządku z własną żoną.

Sądził, że dając jej opiekę, chleb, dobre obchodze-

nie się i miażdżąc od czasu do czasu jej usta pocałunkami, spełnia wszelkie możliwe obowiązki, jakie względem niej zaciągnął. Tymczasem stosunki między nimi zaznaczały się coraz wyraźniej w ten sposób, że on tylko raczył kochać i raczył przyjmować miłość. W ciągu jego spostrzeżeń życiowych uderzało go niejednokrotnie dziwne zjawisko, że gdy naprzykład człowiek, znany z uczciwości, spełnił jakiś szlachetny postępek; ludzie kiwali rękoma, jakby z pewną niedbałością, mówiąc: „Ach, ten, pan X. To zupełnie naturalne!“ Gdy jednak wypadkiem zdarzyło się uczynić coś uczciwego szui — ci sami ludzie mówili z wielkiem uznaniem: „A jednak w nim coś jest“. Sto razy Połaniecki widział, że grosz, dany przez skąpca, więcej czyni wrażenia, niż dukat, dany przez człowieka hojnego. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że w stosunku do Maryni sam trzyma się takiej samej miary sądu i uznania. Oddawała mu całą swą istotność, całą duszę? — „Ach, Marynia! to naturalne!“ I kiwał również ręką. Gdyby jej miłość nie była tak bezwzględna, gdyby przychodziła mu z większą trudnością, gdyby w przeświadczeniu, że jest skarbem, oddawała się jako skarb, gdyby w przeświadczeniu, że jest bóstwem, wymagała schylonej głowy i czci — Połaniecki byłby ją przyjmował ze schyloną głową i czcił. Takie jest ogólnie serce ludzkie i tylko najbardziej wyborowe natury, utkane z promieni, umieją wznieść się nad ten poziom. Marynia oddawała Połanieckiemu swoją miłość, jako jego prawo — więc i przyjmował ją, jako swoje prawo. Jego miłość uważała za szczęście, więc też on dawał ją jako szczęście — sam zaś czuł się bożkiem w ołtarzu. Jeden jego promień pa-

dał na serce kobiecie i rozjaśniał je — resztę promieni bożek chował dla siebie. Biorąc wszystko — oddawał tylko część. W jego miłości nie było tej bojaźni, która wypływa ze czci — i nie było tego, co w każdej pieszczocie mówi kochanej kobiecie: „Do twoich stóp!“

Ale nte rozumieli jeszcze tego oboje.

XVII.

— Nawet się nie pytam — mówił Bigiel do Połanieckiego, po jego powrocie do Warszawy — czy jesteś szczęśliwy. Z taką osobą, jak twoja żona, nie można być nieszczęśliwym.

— Tak — odpowiedział Połaniecki. — Marynia taka poczciwa kobiecina, że trudno o lepszą.

Poczem zwrócił się do pani Bigielowej:

— Obojgu nam dobrze — rzekł — i nie może być inaczej. Pamięta droga pani nasze dawne rozmowy o małżeństwie i miłości? Pamięta pani, jak ja się bałem, żeby nie trafić na kobietę, któraby chciała zasłonić sobą mężowi cały świat, zająć wszystkie jego myśli, wszystkie jego uczucia, być jedynym celem jego życia? Pamięta pani, jak dowodziłem i pani i pani Emilii, że jednak miłość dla kobiety nie może i nie powinna być dla człowieka wszystkim i że poza nią są inne sprawy na świecie?

— Tak, ale pamiętam także, co ja panu mówiłam, iż mnie naprzykład zajęcia domowe nic a nic nie przeszkadzają kochać dzieci... Bo ja wiem! ale tak mi się

jakoś zdaje, że te rzeczy nie są, jak na przykład pudełka, których jak się kilka na stole postawi, to na inne niema już miejsca.

— Moja żona ma słuszość — rzekł Bigiel. — To zauważyłem, że ludzie często się mylą, przenosząc w warunki fizyczne uczucia, albo idee. Gdy o nich mowa, niema co mówić o miejscu...

Na to Połaniecki rzekł wesoło:

— Cicho, ty kraju podbity!

— A kiedy mi z tem dobrze — rzekł roztropnie Bigiel. — Przytem i ty będziesz podbity.

— Ja?

— Tak. Poczciwością, dobrocią, sercem.

— To co innego. Można być podbitym i nie być pantoflem. Nie przeszkadzajcie mi państwo chwalić Maryni. Trafiłem tak, że lepiej nie mogłem, i właśnie dlatego, że ona zadawałnia się takim uczuciem, jakie dla niej mam — i nie chce być mojem wyłącznem bożyszczem. Za to ją kocham! Bóg mnie ustrzegł od żony wymagającej poświęcenia dla siebie całej duszy, całego rozumu, całej istoty et caetera — i szczerze mu za to dziękuję, bo takiejbym nie zniósł. Prędeż rozumiem, że to wszystko można dać z dobrej woli, a mianowicie wówczas, gdy to nie jest wymaganiem.

— Niech mi pan wierzy, panie Stanisławie — odrzekła pani Bigielowa — że my bez wyjątku jesteśmy pod tym względem jednako wymagające, tylko z początku bierzemy często tę cząstkę, którą nam dają, za całość. a potem...

— A potem co? — przerwał nieco drwiąco Połaniecki.

— Potem te, które mają w sercu prawdziwą poczciwość, zdobywają się na coś, co dla was jest słowem bez znaczenia, a dla nas często podstawą życia.

— Cóż to za talizman?

— Rezygnacya.

Połaniecki zaczął się śmiać.

— Nieboszczyk Bukacki mawiał — rzekł — że kobiety ubierają się często w rezygnacyę, tak jak w kapelusz, dlatego, że im z tem do twarzy. Kapelusz z rezygnacyi, woalka z lekkiej melancholii — alboż to brzydkie?

— Nie, to nie brzydkie. Co pan chce! może to strój, ale w takim stroju łatwiej się dostać do nieba, niż w innym.

— To moja Marynia skazana w takim razie do piekła, bo mam nadzieję, że go nie będzie nigdy nosiła. Zresztą za chwilę ją pani zobaczy, gdyż obiecała mi, że po naszych godzinach biurowych przyjdzie do państwa. Spóźnia się maruda, ale już tu powinna być.

— Ojciec pewnie jej nie puszcza. Ale zostanieie państwo u nas na obiedzie, bez żadnej ceremonii — prawda?

— Zostaniemy na obiedzie. Zgoda!

— I tak ktoś się nam dziś obiecał, więc się tylko towarzystwo powiększy. Tymczasem pójdę zapowiedzieć, żeby przygotowano dla was nakrycia.

To rzekłszy, pani Bigielowa wyszła. Połaniecki zaś spytał Bigiela:

— Kogo macie mieć na obiedzie?

— Zawilowskiego, przysłego korespondenta naszego Domu.

— Jaki to Zawilowski?

— Ten, ten sam, znany już — poeta.

— Z Parnasu do kantorka? jakże to?

— Bo już nie pamiętam, kto powiedział, że społeczeństwo nasze trzyma swoich geniuszów na dyecie. Mówią, że to bardzo zdolny człowiek, ale wierszami nie można na chleb zarobić. Wiesz, nasz Ciskowski przeszedł do Towarzystwa ubezpieczeń — posada zawakowała i zgłosił się Zawilowski. Miałem trochę skrupułów, ale on mi powiedział, że to dla niego kwestya chleba i możliwości pracy. Przytem podobał mi się, bo się przyznał od razu, że w trzech językach pisze, ale żadnym dobrze nie mówi, a powtórę, że nie ma najmniejszego pojęcia o korespondencyi handlowej.

— E, to głupstwo — odrzekł Połaniecki — w tydzień się nauczy. Tylko czy to na długo będzie tej posady i czy korespondencya nie będzie zalegała... Z poetą sprawa!

— To się pożegnamy. Ale rozumiesz, że gdy sam się zgłosił, wołałem dać miejsce takiemu Zawilowskiemu, niż komu innemu. Za trzy dni ma zacząć robotę. Tymczasem wypłaciłem mu naprzód miesięczną pensję, bo było trzeba.

— Goły był?

— Zdaje się. Jest tu stary Zawilowski, ten, co ma córkę, bardzo bogaty człowiek. Pytałem się naszego, czy nie jego krewny. Powiedział, że nie, ale się przytem zacierwienił, więc myślę, że tak. Ale jak to u nas! w niczem

równowagi: jedni wypierają się krewnych dlatego, że biedni, drudzy dlatego, że bogaci. Wszystko dla fantazyi — i przez tę szelmowską pychę. On ci się zresztą spodoba. Żonie mojej się podobał.

— Kto się podobał twojej żonie? — spytała wchodząc pani Bigielowa.

— Zawilowski.

— Bom czytała jego taki ładny wiersz, pod tytułem: „Na progu“. Przytem Zawilowski wygląda, jakby coś chował przed ludźmi.

— Chował biedę, a raczej bieda jego chowała.

— Nie, on wygląda jakby przeszedł przez jakiś ciężki zawód.

— Widziałeś romantyczkę! Mówiła mi już, że on dużo przecierpiał i obraziła się, gdym wyraził przypuszczenie, że może na robaki w dzieciennym wieku, albo na ogniopiór. To dla niej nie dość poetyczne.

Lecz Połaniecki począł spoglądać na zegarek i począł się niecierpliwić.

— Nie popisuje mi się Marynia — rzekł — co za maruda!

Lecz „maruda“ właśnie w tej chwili nadeszła, a raczej nadjechała. Powitanie odbyło się bez wybuchów, albowiem z Bigielową widziały się już poprzednio na kolei. Połaniecki zapowiedział żonie, że zostają na obiad, na co zgodziła się chętnie, a następnie poczęła witać się z dziećmi, które hurmem wpadły do pokoju.

Tymczasem nadszedł Zawilowski, którego Bigiel przedstawił Połanieckim. Był to jeszcze zupełnie młody człowiek, lat około dwudziestu siedmiu lub ośmiu. i Po-

łaniecki, patrząc na niego, zauważył, że bynajmniej nie ma miny człowieka, który dużo cierpiał w życiu. Był tylko widocznie zakłopotany w towarzystwie, którego przez pół wcale nie znał. Twarz miał nerwową, z wystającą silnie naprzód, jak u Wagnera, brodą, z wesołemi czarnemi oczyma i z niezmiernie delikatnem, białszem niż reszta twarzy, czołem, na którem wydane żyły formowały literę Y. Był przytem dość wysoki i dość niezgrabny.

— Słyszałem, rzekł mu Połaniecki — że za trzy dni zacznie pan z nami kolegować.

— Tak jest, panie pryncypale — odpowiedział młody człowiek — raczej służyć w biurze.

Połaniecki zaczął się śmiać.

— Tylko pan daj spokój z pryncypałowaniem. U nas niema zwyczaju tak się mościć mościami, albo pryncypałować... Nie wiem, czybaby mojej żonie podobał się taki tytuł, dlatego, że dodałby jej powagi we własnych oczach.

Tu zwrócił się do Maryni:

— Słuchajno, pani pryncypałowo: czy chcesz, żeby cię nazywano pryncypałową? Będzie nowa zabawa!

Zawiłowski zmieszał się, ale począł się równie śmiać, gdy pani Połaniecka odrzekła:

— Nie, bo mi się zdaje, że „pryncypałowa“ powinna nosić ot taki ogromny czepek (tu pokazała rękoma, jak wielki) a ja niecierpię czepka.

Zawiłowskiemu uczyniło się raźniej wśród wesołej dobroduszości tych ludzi, zmieszał się jednak znowu, gdy Marynia mu rzekła:

— A pan to mój dawny znajomy. Teraz nie nowego nie czytałam, bośmy dopiero co wrócili; czy przybyło co przez ten czas?

— Nie, pani — odpowiedział — ja się tak tem zajmuję, jak pan Bigiel muzyką: w wolnych chwilach i dla własnej rozrywki.

— Nie wierzę — odpowiedziała pani Połaniecka.

I miała słusność nie wierzyć, bo wcale tak nie było. W odpowiedzi Zawilowskiego brakło też prostoty, ale on chciał dać poznać, że przedewszystkiem pragnie uchodzić za korespondenta Domu handlowego i być traktowanym jako urzędnik, nie jako poeta. Tytułował też Bigiela i Połanieckiego, bynajmniej nie przez potulność, tylko, by okazać, że podjąwszy się pracy biurowej, uważa ją za tak dobrą, jak każda inna, że się do tej roli stosuje i będzie się stosował w przyszłości. Było w tem również i co innego. Zawilowski, jakkolwiek młody, spostrzegł, ile jest śmieszności w ludziach, którzy, napisawszy jeden lub drugi wierszyk, przybierają pozy wieszczów i każą się za takowych uważać. Jego wygórowana miłość własna drżała przed obawą śmieszności — wpadł więc w drugą ostateczność i prawie wstydził się swojej poezji. W ostatnich czasach, w których przytem znosił wielki niedostatek, stało się to niemal dziwactwem i najlżejsza wzmianka z czyjejkolwiek strony o tem, że jest poetą, wprowadzała go w tłumiony gniew.

Czuł zaś jednocześnie, że jest nielogicznym, wobec tego bowiem najprostszą rzeczą było nie pisywać wierszy i nie ogłaszać ich; ale od tego nie mógł się powstrzymać. Głowa jego nie była otoczona jeszcze aureolą, ale

padło już na nią kilka promyków, które to rozświetlały mu czoło, to gasły, w miarę jak tworzył lub się zaniedbywał. Po każdym nowym wierszu promyk poczynał na nowo drgać — i Zawilowski, zarówno zdolny jak ambitny, cenił w gruncie rzeczy te odbłyski sławy więcej niż wszystko w świecie. Chciał jednak, by ludzie między sobą tylko o nim mówili, ale nie jemu w oczy. Gdy przeczuwał, że o nim zaczynają zapominać, cierpiał skrycie. Było w nim jakby rozdwojenie miłości własnej, która chce sławy i zarazem odpycha ją przez pewną dzikość i dumę, z obawy, by ktoś nie powiedział, że jej za dużo. A prócz tego tkwiło w nim mnóstwo sprzeczności, jak w człowieku młodym i wrażliwym, który przejmuje się i odczuwa wyjątkowo, a wśród tych odczuwań nie umie częstokroć własnego *ja* odnaleźć. Z tego powodu artyści wogóle wydają się częstokroć sztuczni.

Tymczasem jednak podano obiad, podczas którego rozmowa toczyła się oczywiście o Włoszech i o ludziach, jakich Połanieccy tam spotkali. Połaniecki opowiadał o Bukackim i o jego ostatnich chwilach, a zarazem ostatniej woli, wskutek której stał się spadkobiercą po nim dość znacznej sumy. Daleko większa część miała być użytą na cele publiczne — i o tem mieli się z Bigielem naradzić. Lubiono jednak Bukackiego i wspomniano go ze współczuciem, a pani Bigielowa miała nawet lzy w oczach, gdy Marynia wspomniała, że się przed śmiercią wypowiedał i że umarł jak chrześcijanin. Ale współczucie to było tego rodzaju, że można było przy niem jeść obiad, i jeśli Bukacki wzdychał kiedykolwiek naprawdę za Nirwaną, to obecnie miał, czego chciał, został

bowiem dla ludzi, nawet sobie blizkich i którzy go lubili, wspomnieniem zarówno lekkim, jak nietrwiałem. Jeszcze tydzień, miesiąc lub rok — i nazwisko jego miało się stać dźwiękiem bez echa. Istotnie, na niczyją głębszą miłość nie zarobił, niczyjej nie miał, i życie spłynęło mu w ten sposób, że nawet po takim dziecku, jak Litka, zostało nietylko stokroć więcej żalu, miłości, ale i pamiętnych śladów. Zawilowskiego, który go nie znał, zaciekawilo z początku jego życie, gdy jednak wysłuchał wszystkiego, co Połaniecki opowiadał, pomyślawszy, rzekł: „To w dodatku kopia!” — Bukackiego, który ze wszystkiego żartował, byłby jednak zabolął taki nagrobek.

Lecz Marynia, chcąc nadać weselszy zwrot rozmowie, poczęła opowiadać o wycieczkach, które czynili po Rzymie i jego okolicach, bądź to sami, bądź ze Świrskim, bądź z Osnowskimi. Bigiel, który był kolegą Osnowskiego i od czasu do czasu jeszcze go widywał, rzekł:

— On ma jedną miłość, to jest własną żonę, i jedną nienawiść, to jest własną otyłość, a raczej skłonność do niej. Zresztą najlepszy w świecie człowiek.

— Ależ on wygląda zupełnie szczupły — rzekła Marynia.

— Dwa lata temu był prawie gruby, ale jak począł jeździć na welocypedzie, fechtować się, zażywać kuracyi Bettinga, latem pić Karlsbad a zimą jeździć do Włoch lub Egiptu dla transpiracyi — tak napowrót zrobił się cienki. Zresztą, źle powiedziałem, że on ma nienawiść do otyłości — to jego żona! A on to czyni przez kokieterę dla niej. Tańcowywał też po całych nocach na balach, także z tego samego powodu.

— To „sclavus saltans“ — rzekł Połaniecki. — Świrski już nam o tem opowiadał.

— Bo rozumiem, że można żonę kochać — rzekł Bigiel — że można ją uważać, jak się to mówi: za źrenicę oka. Dobrze! Ale ja, jak Boga kocham, słyszałem, że on do swojej wiersze pisuje, że otwiera z zamkniętymi oczyma książki, zaznacza palcem wiersz i wróży sobie z tego, co przeczyta, czy jest kochany. Jeśli mu źle wypadnie, to wpada w melancholię. On się kocha jak student. Liczy wszystkie jej spojrzenia, usiłuje odgadnąć, co miało za znaczenie takie lub owakie jej słowo; całuje nie tylko jej nogi i ręce, ale gdy myśli, że nikt na niego nie patrzy, to i jej rękawiczki... Bóg wie co! i tak już przez całe lata.

— A jaki kochany! — rzekła Marynia.

— Chciałabyś, żebym taki był? — spytał Połaniecki.

Ona pomyślała chwilkę i odrzekła:

— Nie, bo w takim razie byłbyś inny, niż jesteś.

— O to Machiawel! — rzekł Bigiel. — Wartoby taką odpowiedź zapisać, bo to zarazem i pochwała, i trochę krytyki, i zaświadczenie, że tak jak jest, jest najlepiej, i że możnaby żądać jeszcze czegoś lepszego. Dajże tu sobie, człowieku, z tem radę.

— Ja to biore, jako pochwałę — rzekł Połaniecki — choć pani (tu zwrócił się do Bigielowej) powie zapewne, że to rezygnacya.

Pani Bigielowa odrzekła, śmiejąc się:

— Wierch jest z miłości, rezygnacya może przyjść z czasem jako podszewka, jeśli zacznie być chłodno.

Lecz Zawilowski patrzył z ciekawością na Marynię.

Sama ona wydawała mu się i ładna, i sympatyczna, a odpowiedź jej zastanowiła go. Pomyślał jednak, że tak mogła mówić tylko kobieta bardzo zakochana, której nigdy nie dość uczucia. I począł spoglądać na Połanieckiego z pewną zazdrością, że zaś był wielkim samotnikiem, więc przyszyły mu zarazem do głowy słowa piosenki: „U sąsiada żonka miła“.

Tymczasem, ponieważ cały czas milczał, lub przemówił zaledwie parę słów, wydawało mu się, że trzeba by jakoś wtrącić się do rozmowy. Ale powstrzymywała go nieśmiałość i przytem przemijający ból zębów, który, po przejściu większego paroksyzmu, odzywał się jeszcze dość silnie. Odbierało mu to resztę animuszu — wreszcie jednak, zdobywszy się na odwagę, spytał:

— A pani Osnowska?

— A pani Osnowska — odrzekł Połaniecki — ma męża, który kocha za dwoje, więc się nie potrzebuje facygować. Tak przynajmniej utrzymuje Świrski. Przytem ma chińskie oczy, ma imię Aneta, plombę w górnych ząbkach, którą widać, jak się bardzo śmieje — więc woli się uśmiechać — i wogóle jest jak synogarliczka: kręci się w kółko i woła: „Cukru! cukru!“

— To złośliwy człowiek — odrzekła Marynia. — Jest śliczna, żywa, sprytna — a pan Świrski nie może wiedzieć, o ile ona męża kocha, bo z pewnością o tem z nią nie rozmawiał. To wszystko są tylko przypuszczenia.

Połaniecki pomyślał dwie rzeczy: naprzód, że to nie są przypuszczenia, a powtóre, że ma żonę równie naiwną, jak pocziwą.

Zawiłowski zaś rzekł:

— Ciekawym, coby to było, gdyby ona tak samo kochała się w nim, jak on w niej?

— Byłby to największy dwuosobowy egoizm, jaki świat widział — odpowiedział Połaniecki. — Byliby tak zajęci sobą, że nie widzieliby nic i nikogo obok siebie.

Zawiłowski uśmiechnął się i odrzekł:

— Światło nie przeszkadza ciepłu, ale je rodzi.

— Ściśle biorąc, to jest porównanie więcej poetyczne, niż fizyczne — odrzekł Połaniecki.

Ale obydwom paniom podobała się odpowiedź Zawiłowskiego i obie poparły go gorąco, a gdy do nich przyłączył się i Bigiel, Połaniecki został przegłosowany.

Potem poczęto mówić o Maszce i jego żonie. Bigiel opowiadał, że Maszko dostał w ręce ogromną sprawę o zwalenie milionowego testamentu po panie Płoszowskiej, z którą wystąpiło kilkunastu spadkobierców dość dalekich. Pan Pławicki donosił o tem Maryni do Włoch, ale uważała całą sprawę za takie marzenie, jakim niegdyś były miliony, oparte na marglu w Krzemieniu, i za ledwie o tem wspomniała mężowi, który też od razu kiwnął na wszystko ręką. Teraz sprawa, skoro Maszko się jej podjął, zapowiadała się poważniej. Bigiel przypuszczał, że muszą być jakieś nieformalności w testamencie, i twierdził, że gdyby Maszko wygrał, mógłby od razu stanąć na nogach, wymówił sobie bowiem olbrzymie honorarium. Połanieckiego cała rzecz zaciekawiała mocno.

— Maszko ma jednak sprężystość kota — rzekł — zawsze padnie na nogi.

Bigiel zaś odpowiedział:

— I tym razem powinniście prosić Boga, żeby krzyża nie złamał, bo to dla pani i dla jej ojca chodzi o niemalą rzecz. Sam Płoszów ze wszystkimi folwarkami oceniono na siedmset tysięcy rubli. A prócz tego jest gruba gotówka.

— Toby było dziwne, taka niespodziana gratka — rzekł Połaniecki.

Lecz Marynia dowiedziała się z przykrością, że ojciec jej wystąpił wraz z innymi spadkobiercami o zwalenie testamentu. Jej „Stach“ był człowiekiem zamożnym i miała ślepą wiarę, że od niego tylko zależy zrobić miliony; ojciec miał rentę, a prócz tego ona odstąpiła mu dożywocie na sumie, która się należała z Magierówki, więc bieda nikomu nie groziła. Miłoby wprawdzie było pani Połanieckiej mózdz odkupić Krzemień i wozić tam na lato swojego „Stacha“, ale nie za takie pieniądze.

Poczęła więc mówić z wielkiem ożywieniem:

— Ja się tem tylko martwię. To były pieniądze użyte tak poczciwie! Nie godzi się zmieniać woli zmarłych, nie godzi się odejmować chleba biednym, albo szkołom. Synowiec pani Płoszowskiej zastrzelił się: może jej chodziło o ratunek duszy jego, o przejednanie bożego miłosierdzia. To się nie godzi!... Powinno się inaczej myśleć i inaczej czuć!...

I aż zapłoniła się nieco, a Połaniecki rzekł:

— A jaka rezolutna!

Lecz ona wysunęła naprzód swoje nieco za szerokie usta z wyrazem zadąsanego dziecka, i poczęła powtarzać:

— No, Stachu, powiedz, że ja mam słusność, powiedz, że ja mam słusność!! Tyś to powinien powiedzieć!

— Bez wątpienia — rzekł Połaniecki — ale Maszko może sprawę wygrać.

— Życzę mu, żeby przegrał — odpowiedziała.

Połaniecki zaś powtórzył:

— A jaka rezolutna!

— I jaka poczciwa, jaka szlachetna natura — pomyślał Zawilowski, nadając zarazem w swym plastycznym umyśle pojęciom o dobroci i szlachetności kształt kobiety o ciemnych włosach, niebieskich oczach, wysmukłej postawie i ustach nieco za szerokich.

Po obiedzie Bigiel z Połanieckim wyszli na cygara i czarną kawę do pokoju biurowego, gdzie mieli zarazem odbyć pierwszą naradę, na jakie cele rozporządzić spadkiem po Bukackim. Zawilowski, jako niepalący, został z paniami w salonie. Wówczas Marynia, która, jako pani „pryncypałowa“, poczuwała się do obowiązku ośmielenia przyszłego urzędnika „Domu“, zbliżyła się do niego i rzekła:

— Ja, tak jak pani Bigielowa, chciałabym, żebyśmy wszyscy uważali się za jedną wielką rodzinę, dlatego niech pan zaliczy i nas do swoich dobrych znajomych.

— Z największą chęcią, jeśli pani pozwoli — odpowiedział Zawilowski. — Ja i tak byłbym złożył moje uszanowanie...

— Poznałam wszystkich panów z biura tylko na ślubie, potem zaraz wyjechalismy, ale teraz przyjdzie do bliższej znajomości. Mąż mi mówił, że chciałby, żebyśmy się zbierali jednego tygodnia u państwa Bigielów, a drugiego u nas. To bardzo dobry zamiar, tylko ja robię jedno zastrzeżenie.

— Jakie? — spytała pani Bigielowa.

— Żeby nie wolno było mówić na tych zebraniach o żadnych interesach handlowych. Będzie trochę muzyki, bo spodziewam się, że o tem pomyśli pan Bigiel — a czasem odczytamy coś takiego, jak „Na progu“.

— To chyba nie przy mnie — rzekł z przymuszonym uśmiechem Zawilowski.

A ona poczęła mu patrzeć w oczy ze zwykłą sobie prostotą:

— Czemu nie? — spytała. — Wobec ludzi szczerze przyjaznych? Myśmy o panu nieraz i mówili i myśleli, zanim przyszło do poznania, a cóż dopiero teraz.

Zawilowski czuł się ogromnie rozbrojony. Zdawało mu się, iż wpadł między wyjątkowych ludzi, a przynajmniej, że pani Połaniecka jest wyjątkową kobietą. Obawa, która paliła go jak ogień, żeby nie wydać się śmiesznym, razem ze swoją poezją, ze swoją długą szyją i śpiczastymi łokciami, poczęła się w nim zmniejszać. Było mu przy niej jakoś swobodnie. Odczuwał, że ona nigdy nie mówi dlatego tylko, by coś powiedzieć, lub ze względów towarzyskich, ale wypowiada najściślej tylko to, co płynie z jej dobroci i wrażliwości. Przytem zachwycała go jej twarz i postać, tak jak w Wenecyi zachwycała Świrskiego. A ponieważ przywykł szukać dla każdego wrażenia określeń, więc począł szukać wyrazów i dla niej — i czuł, że one powinny być nietylko szczerze, ale zarazem wykwintne, wdzięczne i polne, tak jak piękność jej była współcześnie wykwintna i polna. Uznał, że ma przed sobą temat i zbudził się w nim artysta.

Tymczasem ona poczęła go wypytywać z wielką

życzliwością o stosunki rodzinne, na szczęście jednak wejście do salonu Bigiela i Połanieckiego uwolniło go od dokładniejszych odpowiedzi, które musiałyby mu być przykre. Ojciec jego, znany niegdyś karciarz i hulaka, od kilku lat cierpiał na pomieszanie zmysłów i był w zakładzie dla obłąkanych.

Muzyka miała przerwać tę drażliwą rozmowę. Połaniecki kończył z Bigielem naradę, ów zaś mówił:

— Zdaje się, że to doskonały projekt, ale trzeba się jeszcze będzie namyślić.

Potem wsparłszy się na wiolonczeli, począł się rzeczywiście namyślać, a wreszcie rzekł:

— To dziwna rzecz! Ja, jak gram, to niby nic innego mi nie w głowie, a tymczasem nieprawda! Jakaś cząstka mózgu zastanawia się wtedy nad innymi rzeczami, i co szczególne, to, że najlepsze pomysły wówczas przychodzą.

To rzekłszy, siadł, chwycił wiolonczelę między kolana, przymknął oczy i rozpoczął „Pieśń wiosenną“.

Zawiłowski odszedł tego dnia do siebie, zachwycony domem, ludźmi, ich prostotą, „Pieśnią wiosenną“, a szczególnie panią Połaniecką.

Ona zaś ani się domyślała, że z czasem może wzbogacić „nowym dreszczem“ poezję.

XVIII.

Państwo Maszkowie odwiedzili Połanieckich w tydzień po ich przyjeździe. Ona, przybrana w szarą suknię, obszytą takiejże barwy marabutem, wyglądała tak ładnie, jak nigdy. Zapalenie oczu, na które dawniej cierpiała, przeszło. Twarz jej posiadała dawniejszą obojętną, prawie senną łagodność, ale obecnie podnosiło to tylko jej artystyczny wyraz. Dawniejsza panna Krasławska była starsza około pięciu lat od Maryni i jako panna wyglądała starzej, teraz jednak zdawało się, że odmłodziła. Wysmukła i rzeczywiście nader zgrabna jej postać rysowała się w obcisłej sukni, jak dziecinna. Szczególną było rzeczą, że Połaniecki, który jej nie lubił, znajdował w niej coś pociągającego, i ilekroć ją widział, mówił sobie: „Wszelako w niej coś jest.“ Nawet jej głos monotony i nieco dziecinny miał dla niego pewien urok. Obecnie wprost powiedział sobie, że wygląda wyjątkowo wdzięcznie i że więcej się zmieniła na korzyść od Maryni.

Sam Maszko zakwitł również, jak słonecznik. Dystrykcyja aż biła od niego, a obok niej pewność siebie

i duma, łagodzona łaskawością. Zdawałoby się mogło, że jednego dnia nie jest w stanie objechać swych włości — słowem *udawał* więcej niż kiedykolwiek. Nie udawał tylko miłości do żony, znać bowiem było z każdego jego spojrzenia, że ją pokochał rzeczywiście. Naprawdę trudno byłoby znaleźć kobietę, któraby lepiej odpowiadała jego pojęciom o dobrym smaku, wykwińności i wielkoświatowym polorze. Jej obojętność, jej jakby zamrożone obojętanie się z ludźmi, uważał za coś wprost nieporównanego. Ona tej „dystynkcyi“ nie traciła nigdy i w żadnej chwili, nawet sam na sam z nim. On zaś, jak prawdziwy parweniusz, który posiadał księżniczkę, pokochał ją właśnie dlatego, że mu się wydawała księżniczką i że ją posiadał.

Marynia poczęła wypytywać, gdzie spędzili czas poślubny, na co pani Maszkowa odrzekła: „w majątku męża“ — takim tonikiem, jak gdyby ów „majątek męża“ był majoratem od dwudziestu pokoleń — przyczem dodała, że za granicę wybierają się dopiero za rok, gdy mąż pokończy interesa, tymczasem na letnie miesiące wyjadą znów do „majątku męża.“

— Pani lubi wieś? — spytała Marynia.

— Mama lubi wieś — odrzekła pani Maszkowa.

— A Krzemień podobał się mamie pani?

— Tak. Tylko okna w domu jak w oranżeryi.

Tyle szyb!

— To trochę konieczne — odrzekła, śmiejąc się, pani Połaniecka — bo jak się taka szybka stłucze, to ją każdy szklarz naprawi, a po wielkie trzebaby posyłać aż do Warszawy.

— Mąż mówi, że wybuduje nowy dom.

Pani Połaniecka westchnęła po cichu i zmieniła przedmiot rozmowy. Poczęły mówić o wspólnych znajomych. Pokazało się, że pani Maszkowa brała niegdyś z „Anetką“ Osnowską i z jej młodszą krewną, Linetą Castelli, lekcye tańca, że znają się doskonale i że Lineta jeszcze ładniejsza od Anety, a przytem maluje i ma cały album własnych wierszy. Pani Maszkowa słyszała, że Anetka już wróciła i że Lineta zamieszka w tej samej willi aż do czerwca, razem ze swoją ciotką, panią Broniczową... „i to będzie bardzo dobrze, bo one takie miłe!“

Połaniecki zaś z Maszką wynieśli się zwolna do przyległego saloniku i rozmawiali o testamencie panny Płoszowskiej.

— Mogę ci powiedzieć, że prawie wypłynął — mówił Maszko. — Byłem niemal nad przepaścią, ale ta sprawa postawiła mnie na nogi, przez to samo, że ją zaczął. Bo też od lat całych nie było podobnej. Tu chodzi o miliony. Płoszowski, sam przez się, bogatszy był od ciotki — i zanim sobie w łeb strzelił, zapisał majątek matce pani Kromickiej, a gdy ta go nie przyjęła, cała fortuna przeszła na starą pannę Płoszowską. Rozumiesz teraz, ile babulka musiała zostawić.

— Bigiel wspominał o siedmiuset tysiącach rubli.

— Powiedzże twemu Bigielowi, skoro tak lubi liczyć, że jest przeszło dwa razy tyle. No, muszę sobie jednak oddać tę sprawiedliwość, że się umiem ratować, i że łatwiej mnie wrzucić do wody, niż utopić. Ale co ci osobliwego powiem: wiesz, komu to zawdzięczam? —

twemu teściowi. On mi kiedyś o tem wspominał, ale zrazu machnąłem ręką. Potem wpadłem w te tarapaty, o których ci pisałem. Miałem nóż na gardle. Otóż trzy tygodnie temu spotykam wypadkiem twego teścia, który mi, między innymi, zaczyna mówić o pannie Płoszowskiej i wymyśla na nią ile wlezie. Nagle uderzyłem się w czoło. Co mam do stracenia? Nic. Kazałem regentowi Wyszyńskiemu pokazać sobie testament — i widzę, że nieformalności są. Małe, ale są. W tydzień miałem już plenipotencję od spadkobierców i rozpocząłem sprawę. I co powiesz? Na samą wieść o honorarium, jakie mam dostać w razie wygranej, wróciła ludziom ufność, wróciła moim wierzycielom cierpliwość, wrócił kredyt — i trzyma się... Pamiętasz? był czas, zem spuścił z tonu, że mi po głowie chodziły sielankowe zamiary wyrobienia się mrówczą pracą, ograniczeniem życia. Głupstwo! To trudno, mój kochany! Tyś mi zarzucał, że *udaje*, ale u nas trzeba. Ja muszę dziś udawać człowieka, który jest zarówno pewny swego majątku, jak i wygranej!

— Powiedz mi otwarcie, czy to jest dobra sprawa?

— Jakto czy dobra?

— Po prostu, czy nie zbyt ją trzeba będzie ciągnąć za uszy, przeciw słuszności?

— Wiedz o tem, że w każdej sprawie jest coś do powiedzenia na jej korzyść, i uczciwość adwokacka polega właśnie na tem, żeby to powiedzieć. Właściwie tu jest kwestya, kto ma być spadkobiercą i czy testament jest tak napisany, żeby się mógł ostać wobec prawa — a prawo nie ja wymyśliłem.

— Masz widoki wygranej?

— Gdy chodzi o zwalenie testamentu, niemal zawsze się je ma, dlatego, że atak jest zawsze prowadzony sto razy energiczniej, niż obrona. Kto się będzie przeciw mnie bronil? Instytucye, to jest ciała same przez się ociężałe, mało zaradne, których przedstawiciele nie mają w obronie żadnego osobistego interesu. Wezmą adwokata, dobrze! ale co mu dadzą? co mogą dać? Tyle, ile z prawa wypada. Otóż i ten adwokat będzie miał raczej większe widoki zysku w razie, jeśli ja wygram — bo to może zależeć od osobistego mego z nim układu. Wogóle powiem ci, że w sprawach sądowych, tak jak i w życiu, wygrywa ta strona, która bardziej chce wygrać.

— Ale opinia publiczna zmiele cię na otręby, jeśli poobalasz takie zapisy. Widzisz! moja żona jest poniekąd interesowaną.....

— Jakto: poniekąd? — przerwał Maszko. — Będę waszym prawdziwym dobroczyńcą.

— Więc dobrze. Otóż żona moja oburzała się i oburza na całą tę sprawę.

— Żona twoja jest wyjątkiem.

— Niezupełnie. Bo i mnie to nie w smak.

— Cóż to? Przerobili i ciebie na romantyka?

— Mój drogi! my się z dawna znamy. Mów tym językiem do kogo innego.

— Dobrze. Będę więc mówił tylko o opinii. Na-przód powiem ci, że pewna niepopularność człowiekowi prawdziwie „comme il faut“ raczej pomaga, niż szkodzi. Powtóre, trzeba te rzeczy rozumieć. Zmielonoby mnie,

jak się wyraziłeś, na otręby, gdybym tę sprawę przegrał, ale gdy ją wygram, będę tylko uważany za tęgą głowę — a ja ją wygram!

Po chwili zaś mówił dalej:

— A ze stanowiska ekonomicznego, o co tu chodzi? Pieniądze zostaną w kraju i dalibóg, nie wiem, czy zostaną gorzej użyte. Bo, że mogłoby się za nie wyhodować kilkanaścioro chuderławych dzieci, które wyrosną na niedołęgów i będą się przyczyniały do skarlenia rasy, albo że kilkanaście szwaczek mogłoby dostać maszyny do szycia, albo że kilkadziesiąt bab lub dziadów mogłoby żyć o parę lat dłużej, to krajowi niewiele z tego przyjdzie. To są cele nieprodukcyjne. Trzeba, żebyśmy się raz nauczyli ekonomii... Wreszcie krótko powiem: miałem nóż na gardle. Moim pierwszym obowiązkiem jest zabezpieczyć byt sobie, mojej żonie i mojej przyszłej rodzinie. Jeśli kiedykolwiek będziesz w takim położeniu, jak ja byłem — to mnie zrozumiesz. Wolałem wypłynąć, niż utonąć — a takie prawo każdy ma. Żona moja, jak ci pisałem, ma znaczną rentę, ale majątku prawie nic, a przynajmniej niewiele. Do tego z tej renty płaci jeszcze coś swemu ojcu. Tę pensję powiększyłem, bo mi groził, że tu zjedzie, a tegom sobie nie życzył.

— Tak więc wiesz już teraz na pewno, że pan Krasławski istnieje? Pamiętam, żeś mi o tem wspominał.

— Właśnie dlatego, że ci niegdyś wspominałem, nie robię z tego tajemnicy i dziś. Zresztą wiem, że ludzie gadają o tem z krzywdą mojej teściowej i mojej żony, że rozpowiadają Bóg wie co, więc, jako przyja-

cielowi, wolę ci powiedzieć, jak jest. Pan Krasławski żyje w Bordeaux; był pośrednikiem w handlu sardynkami i zarabiał dobre pieniądze, ale posadę tę stracił, bo się zapijał i zapija absyntem, a prócz tego stworzył sobie nielegalną rodzinę. Te panie posyłają mu trzy tysiące franków rocznie, ale mu to nie wystarcza i między ratą a ratą gniecie go bieda, wskutek czego zapija się coraz bardziej i gnębi te biedne kobiety listami, w których grozi, że ogłosi w pismach, jak się z nim obchodzą. A one obchodzą się z nim lepiej, niż wart. Pisał i do mnie zaraz po ślubie, prosząc o podniesienie pensyi o tysiąc franków. Oczywiście, dowodzi mi, że go te kobiety „zjadły,“ że nie miał za grosz szczęścia w życiu, że stoczył go ich egoizm — i ostrzega mnie przed nimi...

Tu Maszko począł się śmiać:

— A ma bestya fantazyę szlachecką. Raz z biedy chciał się wziąć do sprzedawania afiszów na korytarzu teatralnym — ale kazali mu się ubrać w jakiś kaszkiet i tego nie mógł przenieść. Piszę do mnie tak: „Wszystkoby, panie, dobrze poszło, ale kaszkiet!! jak mi dali kaszkiet — nie mogłem!...“ I wołał z głodu umrzeć, niż włożyć kaszkiet! Podoba mi się mój teść! Byłem niegdyś w Bordeaux, ale dalibóg zapomniałem, jakie kaszkiety noszą ci, co sprzedają afisze, a chciałbym taki kaszkiet widzieć... Rozumiesz zresztą, że wołałem dodać tysiąc franków, byle go trzymać z daleka, razem z jego absyntem i kaszkietem... Co mnie boli, to to, że ludzie mówią, że on i tu był jakimś woźnym, czy pisarzem, a to jest podła potwarz, bo dość otworzyć

pierwszy lepszy herbarz, żeby wiedzieć, kto byli Krasławscy. Tu koligacye są wiadome i Krasławskim ich nie brak. Człowiek upadł — ale rodzina była i jest znakomita. Te panie mają tu na tuziny krewnych nie bylejakich — i jeśli ci całą tę historję opowiadam to dlatego, że chcę, byś wiedział, jaka jest prawda.

Ale prawda, dotycząca rodu Krasławskich, mało obchodziła Połanieckiego, więc wrócili do pań, tem bardziej, że tymczasem nadszedł Zawilowski, którego Połaniecki zaprosił na poobiednią herbatę, aby mu pokazać fotografie, przywiezione z Włoch. Jakoż całe ich zwoje leżały już przygotowane na stole, ale Zawilowski trzymał w ręku ramkę z główką Litki i zachwycał się tak, że zaraz po zapoznaniu się z Maszką, znów począł patrzeć na portrecik i mówić o nim w dalszym ciągu.

— Myślałbym prędzej, że to jakiś pomysł artystyczny — rzekł — niż portret żywego dziecka. Co za cudna główka i co za wyraz! To pani siostrzyczka?

— Nie — odpowiedziała pani Połaniecka — i to jest dziecko, które już nie żyje.

W oczach Zawilowskiego, jako poety, ów tragiczny cień podniósł jeszcze współzucie i podziw dla tej istotnie anielskiej twarzy. Przez jakiś czas przypatrywał się jej w milczeniu, to odsuwając, to zbliżając do oczu fotografię, poczem rzekł:

— Ja się dlatego pytałem, czy to nie pani siostra, bo jednak jest coś... w rysach, raczej w oczach... doprawdy coś jest!

Zawilowski zdawał się szczerze mówić, ale Po-

łaniecki miał taką, religijną niemal, cześć dla zmarłej. że mimo całego uznania dla urody Maryni, porównanie wydało mu się jakimś rodzajem profanacji, więc, wyjąwszy fotografię z rąk Zawilowskiego, ustawił ją napowrót i począł mówić z pewną szorstką żywością:

— Ale bynajmniej! bynajmniej! Niema jednego rysu wspólnego. Jak można nawet porównywać! Ani jednego rysu wspólnego!

A Marynię dotknęła nieco ta jego żywość.

— Ja także jestem tego zdania — odrzekła.

Lecz jemu nie dość było jej zdania.

— Czy pani знаła Litkę? — spytał, zwróciwszy się do pani Maszkowej.

— Tak!

— Prawda! widziała ją pani u Bigielów.

— Tak.

— No, przecie niema śladu podobieństwa?

— Nie.

Zawilowski, który adorował szczerze panią Połaniecką, począł patrzeć na Połanieckiego z pewnem zdziwieniem — on jednak spoglądał teraz na wydłużoną postać pani Maszkowej, rysującą się przez popielatą suknię — i myślał:

— Jaka ona zgrabna!

Po chwili Maszkowie poczęli się żegnać. Maszko, całując na odchodnym rękę pani Połanieckiej, rzekł:

— Mnie może wypadnie wkrótce wyjechać do Petersburga — niech pani pamięta trochę przez ten czas o mojej żonie.

W czasie herbaty, Marynia przypomniała Zawil-

łowskiemu obietnicę, jaką jej uczynił za pierwszą bytnością, że jej przyniesie i odczyta wariant wiersza „Na progu“ — on zaś tak przyłgnał od razu do Połanieckich, że odczytał nie tylko wariant, ale i drugi wiersz, który był poprzednio napisał. Znać było po nim, że sam dziwi się własnej odwadze i ochocie — to też po odczytaniu i wysłuchaniu pochwał, które były naprawdę szczere, rzekł:

— Ja równie szczerze mówię, że z państwem, za trzecim widzeniem się, to się tak jakoś jest, jakby się od dawna znało. Aż mi to dziwne.

Połaniecki przypomniał sobie, że niegdyś powiedział coś podobnego Maryni w Krzemieniu — ale przyjął to teraz, jakby należało się i jemu.

Zawilowski zaś ją wyłącznie miał na myśli: po prostu zachwycała go i swoją prostą dobrocią i twarzą.

Gdy odszedł, Połaniecki rzekł:

— To bestya naprawdę zdolna. Czyś ty uważała, że on jakby się trochę zmienił na twarzy?

— Przystrzygł włosy — rzekła Marynia.

— Aha! i broda jeszcze więcej mu wystaje.

To mówiąc, Połaniecki wstał i począł układać zwoje fotografii na półeczce nad stołem, wreszcie zabrał portret Litki i rzekł:

— Przeniosę ją do mego gabinetu.

— A tam masz tę z brzózkami, kolorowaną.

— Tak, ale nie chcę, żeby i ta stała tu, tak na widoku. Każdy robi uwagi, a czasem mnie to gniewa. Pozwolisz?

— Dobrze, mój Stachu — odpowiedziała Marynia.

XIX.

Bigiel usilnie namawiał Połanieckiego, by nie zwijać Domu i nie rzucać się zbyt pośpiesznie w innego rodzaju przedsiębiorstwa. „Stworzyliśmy uczciwy kupiecki dom — (mówił) — jakich u nas mało — i dlatego jesteśmy pożyteczni“. Utrzymywał, że przez samą wdzięczność należy prowadzić dalej interes, za pomocą którego podwoili niemal majątki, przyczem wypowiadał przekonanie, iż okażą największy rozum, gdy teraz właśnie będą prowadzili rzecz ostrożnie, gruntownie, i gdy pierwsza śmiała spekulacya, jakkolwiek szczęśliwa, nietylko nie zachęci ich do innych, ale będzie ostatnią. Połaniecki zgadzał się na to, że umiarkowanie trzeba okazać właśnie w powodzeniu, ale narzekał, iż w Domu nie może się pomieścić i pragnąłby coś produkować. Miał on tyle zmysłu praktycznego, że o fabryce na własną rękę jeszcze nie myślał. „Małej nie chcę prowadzić — mówił — bo mnie wielkie, produkujące *en gros*, pochłoną, a na wielką nie mam, w akcyjnej zaś pracowałbym nie na siebie, ale na innych“. Rozumiał też, że o akcyonaryuszów, złożonych z miejscowych żywiółów, nie łatwo, a obcych nie chciał,

wiedząc przytem, że nie potrafi wzbudzić w nich zaufania, i że samo jego nazwisko będzie mu w tem przeszkodą. Bigiel, któremu chodziło o „Dom“, szczerze rad był z tej trzeźwości poglądu.

W Połanieckim zaś zbudziła się jeszcze inna chęć, mianowicie odwieczna, stara jak ludzkość, chęć posiadania. Po szczęśliwej spekulacyi i po zapisie Bukackiego stał się on człowiekiem zupełnie zamożnym, ale przy całej swej istotnej trzeźwości, miał jakieś dziwne poczucie, że ta zamożność, polegająca choćby na najpewniejszych, zamkniętych w kasie ogniotrwałej papierach, jest również papierową i pozostanie nią dopóty, dopóki nie będzie posiadał czegoś realnego, o czemby mógł powiedzieć: „To moje!“ Ta dziwna żądza ogarniała go coraz silniej. Nie chodziło mu o nic wielkiego, ale o jakikolwiek kąs, byle własny, gdzieby mógł czuć się u siebie. Próbował nad tem filozofować i tłumaczył Bigielowi, że ta chęć posiadania musi być jakąś namiętnością wrodzoną, którą można potłumić, ale która w wieku dojrzalszym odzywa się z nową siłą. Bigiel uznawał, że tak może być, i mówił mu:

— To i słuszne. Jesteś żonaty, więc chcesz mieć własne, a nie najęte ognisko, a że masz po temu wszelkie środki, więc sobie takie ognisko stwórz.

Połaniecki myślał czas jakiś o wybudowaniu dużego domu w mieście, któryby czynił zadość chęci posiadania i zarazem przynosił dochody. Ale któregoś dnia spostrzegł, że ten praktyczny zamiar ma jedną złą stronę — mianowicie nie posiada żadnego wdzięku. Coś, o czem się mówi: „To moje“ — trzeba lubić, a jak tu lubić

kamienicę, w której mieszka każdy, kto najmie mieszkanie? Z początku wstydził się tej myśli, bo mu się wydała romantyczną, ale potem powiedział sobie: „Nie! skoro posiadam środki, przeto użycie ich w ten sposób, któryby mi zapewnił przyjemność, nietylko nie jest romantyzmem, ale dowodem rozsądku“. Bardziej poczęła go pociągać myśl o jakimś mniejszym domu w mieście, lub za miastem, o takim, w którymby sam tylko z żoną mieszkał. Ale chciało mu się przytem choć kawałek ziemi, na którejby coś rosło. Czuł, że naprzykład widok drzew, któreby rosły w jego ogrodzie, przed jego domem, na jego gruncie, sprawiałby mu wielką przyjemność. Sam się dziwił, że tak jest, ale tak było. W końcu doszedł do przekonania, że najmilej byłoby mu posiadać jakąś kolonijkę tuż pod miastem, coś w rodzaju takiego letniego domu, jaki posiadał Bigiel, ale z kawałkiem ziemi, kawałkiem lasu, jakiemiś kilku morgami warzywnego ogrodu, wreszcie z sadem i z bocianiem gniazdem gdzieś na starej lipie.

— Skoro na to mam, to wolę, żeby to było takie, niż inne, to jest ładne, nie brzydkie — mówił sobie.

I począł rzecz rozważać ze wszystkich stron. Rozumiał, że gdy chodzi o gniazdo, w którym się ma mieszkać przez resztę życia, trzeba wybrać rozważnie, więc nie spieszył się. Tymczasem myślenie o tem zajęło mu wszystkie godziny wolne od pracy biurowej i sprawiało mu rzetelną przyjemność. Ci i owi dowiedzieli się wkrótce, że Połaniecki szuka czegoś za gotowy grosz, nadeszły więc z różnych stron propozycje, często dziwaczne, ale niekiedy dość ponętne. Trzeba było czasem

jeździć, oglądać wille, położone w mieście lub za miastem. Często, po powrocie z biura, i po obiedzie, Połaniecki zamykał się z listami, z planami i pokazywał się dopiero wieczorem. Marynia miała wówczas 'dużo wolnego czasu. Spostrzegła wreszcie, że coś zajmuje go niezwykle i próbowała dopytywać, lecz on odpowiedział:

— Moje dziecko, jak będzie rezultat, to ci powiem, ale póki sam nie wiem, trudno, żebym się rozgadywał o niczem. To takie przeciwne mojej naturze.

Dowiedziała się wreszcie o co chodzi od pani Bigielowej, ta zaś wiedziała od męża, którego naturze nie było przeciwnem rozgadywać się z żoną o wszelkich przedsięwzięciach i zamiarach na przyszłość. Dla pani Połanieckiej byłoby również ogromną przyjemnością rozmawiać z mężem o wszystkim, a zwłaszcza o wyborze gniazda. Oczy śmiały jej się na samą myśl o tem, ale skoro „usposobienie Stacha“ stało temu na przeszkodzie, więc wołała nie dopytywać przez delikatność.

On zaś nie miał złych chęci, ale wprost nie przyszło mu do głowy wtajemniczać ją w jakieśkolwiek sprawy, w których chodziło o pieniądze. Może byłoby inaczej, gdyby mu była wniosła znaczny posąg i gdyby zmuszony był rozporządzać i jej majątkiem: był człowiekiem w takich razach nader skrupulatnym. Ale ponieważ rozporządzał tylko swoim, nie czuł, tak jak i za dawnych kawalerskich czasów, żadnej potrzeby spowiadania się z tego, póty szczególnie, póki nic nie było postanowione. Z Bigielem jednym rozmawiał, dlatego, że przywykł z nim rozmawiać o interesach.

Z żoną mówił o takich rzeczach, które podług niego

„do niej należały“ — więc między innemi o kółku znajomych, które należało sobie stworzyć. Pod koniec swego kawalerstwa Połaniecki nie był prawie nigdzie — czuł jednak, że obecnie nie może tak być. Oddali więc wizytę Maszkom i któregoś wieczora poczęli rozważać, czy wypada im być u Osnowskich, którzy w tym czasie wrócili z zagranicy i mieli do połowy czerwca zostać w Warszawie. Marynia mówiła, że wypada, dlatego, że się będą widywali u pani Maszkowej, i miała ochotę, albowiem lubiła pana Osnowskiego, który ją wzruszał. Połaniecki okazał mniej chęci, i początkowo stanęło na tem, czego chciał, ale w kilka dni później Osnowscy spotkali Marynię i powitali ją tak serdecznie, pani Osnowska powtarzała tak często: „my Rzymianki“, oboje zaś kładli taki nacisk na nadzieję widywania i spotykania się, że niepodobna było uniknąć złożenia im wizyty.

Jednak gdy Połanieccy przybyli w odwiedzinę, wszelkie uprzejmości okazywano przedewszystkiem Maryni. Mąż prześcigał się pod tym względem w grzecznościach z żoną. Dla Połanieckiego byli, jako ludzie dobrze wychowani, równie uprzejmi bez zarzutu, ale zimniej. On rozumiał, że Marynia gra pierwszą, on zaś dopiero następną rolę, i trochę go to jednak drażniło. Pan Osnowski zresztą nie potrzebował się wysilać na grzeczności dla pani Połanieckiej, albowiem czując, że ona ma dla niego szczerą sympatyę, odpłacał jej z nawiązką, gdyż mu tego wogóle brakło.

Maryni wydał się jeszcze bardziej zakochany w żonie, niż był poprzednio. Wprost znać było, że serce mu bije żywiej, gdy na nią patrzy. Mówiąc do niej, zdawał się

podsuwać wyrazy, jakby z pewną obawą, by jej czemkolwiek nie zrazić. Połaniecki patrzył na niego z pewnem politowaniem, ale było to zarazem i wzruszające. W walce z otyłością natomiast pan Osnowski odniósł tak walne zwycięstwo, że ubranie wydawało się na nim za szerokie. Czerwone wyrzuty, które okrywały jego twarz blondyna, znikły i wogóle był przystojniejszy, niż przedtem.

A pani miała zawsze swoje nieporównane skośne oczy koloru fiołków i myśli, które, jak rajskie ptaki, ciągle bujały w powietrzu.

Ale Połanieccy zrobili u Osnowskich nową znajomość, mianowicie poznali panią Broniczową i jej siostrzenicę, pannę Castelli, które przybyły na „letni karnawał“ do Warszawy i zamieszkały w tej samej willi, którą nieboszczyk Bronicz sprzedał Osnowskim, z wymówieniem jednego pawilonu dla żony. Pani Broniczowa była wdową po panu Broniczu, o którym wspominała, jako o ostatnim krewnym książąt Ostrogskich, zatem ostatnim z Rurycowiczów. Znano ją także w mieście pod nazwą „Słodyczki“; przezwisko to zawdzięczała temu, że, mówiąc, zwłaszcza do osób, o które jej chodziło, przymilała się tak, iż zdawać się mogło, że mówi przez trzymany w ustach kawałek cukru. Opowiadano dziwy o jej kłamstwach. Panna Castelli była córką jej siostry, która w swoim czasie, ku wielkiemu zgorszeniu rodziny i świata, wyszła za Włocha, nauczyciela muzyki i zmarła przy słabości, pozostawiając córkę. Gdy w rok potem i pan Castelli utopił się na Lido, pani Broniczowa wzięła i wychowała siostrzenicę.

Panna Lineta była prawie zupełną pięknością,

o rysach bardzo regularnych, czarnych oczach, złotawych włosach i cerze aż zbyt pięknej, bo niemal porcelanowej. Miała jednak przyciężkie powieki, co jej nadawało senny wyraz, ale ta senność mogła się wydawać także skupieniem. Można było mniemać, że to jest istota, która żyła bardzo rozwiniętem życiem wewnętrznem i dlatego zachowuje się nieco obojętnie względem tego, co ją otacza. Ktoby zresztą sam nie wpadł na ów domysł, mógł być pewien, że mu pani Broniczowa do tego dopomoże. Pani Osnowska, która przechodziła przez okresy zachwyty nad kuzynką, mówiła o oczach panny Linety, że są „głębokie jak jeziora“, kwestyą było tylko, co jest na dnie, ale właśnie ta tajemnica dodawała pannie Linecie uroku.

Państwo Osnowscy przyjechali z zamiarem bawienia się w Warszawie, ale pani Aneta nie napróżno była w Rzymie. „Sztuka i sztuka! — mówiła do pani Połanieckiej — o niczem więcej nie chcę wiedzieć“. Zamiarem jej jawnym było otworzyć salon „ateński“, a skrytym zostać Beatryczą jakiegoś Danta, Laurą jakiegoś Petrarcki, lub przynajmniej czemś w rodzaju Vittorii Colonna dla jakiegoś Michała Anioła.

— Mamy ładny ogród przy willi — mówiła — wieczory będą śliczne, i będziemy się schodzili na takie pogadanki rzymskie, florenckie... Pani wie (tu podniosła do poziomu z ramionami dłonie i poczęła nimi poruszać), szara godzina, trochę zorzy, trochę księżycy, kilka lamp, trochę cieniów od drzew: siedzi się i rozmawia półgłosem o wszystkim: o życiu, uczuciach, o sztuce. Przecie to doprawdy więcej warte, niż plotki!

Mój Józiu, może się będziesz nudził, ale nie gniewaj się, zrób to dla mnie, i wierz mi, że to będzie bardzo ładne.

— Ale, moja Anetko, czy mnie to może nudzić, co ciebie bawi? — odpowiedział Osnowski.

— Teraz zwłaszcza, póki Lineta jest z nami, to przecie artystka w każdej kropli krwi!

Tu zwróciła się do niej:

— Jaką tam niteczkę przędzie ta główka? Co mówisz o takich wieczorach rzymskich?

Panna Lineta uśmiechnęła się, a „ostatnia z Rurykowiczów“ zaczęła mówić z wyrazem nieopisanej słodyczy do Połanieckich:

— Państwo nie wiedzą, że ja Wiktor Hugo błogosławił, gdy była jeszcze mała.

— To panie. znały Wiktora Hugo? — spytała Marynia.

— My? nie! Nie byłabym chciała go znać za nic w świecie, ale raz przejeżdżałyśmy przez Passy, gdy on stał na balkonie i — nie wiem, czy przez jakieś przecucie, czy przez natchnienie, jak zobaczył Linetkę, tak podniósł rękę i przeżegnał ją.

— Ciociu! — rzekła panna Castelli.

— Kiedy prawda, moje dziecko, a co prawda, to prawda! Zaraz na nią zawołałam: Patrz! patrz! podnosi rękę — i pan Cardyn, konsul, który siedział na przodzie, widział także, że on podniósł rękę, a potem przeżegnał cię. Owszem, ja to chętnie opowiadam, bo może za to przeżegnanie Pan Bóg odpuścił mu jego grzechy, których miał tyle. On, taki przewrotny umysł, a jednak, zobaczywszy Linetkę, przeżegnał ją!

Było w tem tyle prawdy, że panie te, przejeżdżając przez Passy, istotnie widziały na balkonie Wiktora Hugo. Co do błogosławieństwa, jakiego miał udzielić Linetce, złe języki warszawskie dowodziły, że podniósł rękę, albowiem w tej chwili ziewał.

Lecz tymczasem pani Osnowska mówiła dalej:

— Stworzymy tu sobie małe Włochy, a jeśli się próba nie uda, to na przyszłą zimę uciekniemy do wielkich. Już mi to chodziło po głowie, żeby otworzyć w Rzymie dom. Tymczasem Józio przywiózł kilka ładnych kopii obrazów i posągów. To tak pocziwie z jego strony, bo jego to niewiele obchodzi, więc zrobił to tylko dla mnie. Są tam bardzo dobre rzeczy, bo Józio miał ten rozum, że sobie nie ufał i prosił o pomoc pana Świrskiego. Szkoda, że go tu niema. Szkoda także, że pan Bukacki jak na złość umarł, bo i onby się nam przydał. Czasem bywał bardzo miły. Miał taką jakąś giętkość, jak wąż, a to w rozmowie dodaje życia. Ale (tu zwróciła się do pani Połanieckiej) czy pani wie, że pani całkiem podbiła pana Świrskiego? Po pani wyjeździe o nikim innym nie mówił i zaczął Madonnę, która ma pani rysy. Zostanie pani Fornariną! Pani ma widocznie szczęście do artystów — i jak się moje wieczory florenckie zaczną, musimy się trzymać z Linetą, inaczej pójdziemy w kął.

A pani Broniczowa, rzuciwszy niechętnie spojrzenie Maryni, rzekła:

— Ach, pan Świrski! Pamiętasz Linetko?... Ale jeśli chodzi o twarze, które robią wrażenie na artystów, to powiem państwu, co się raz zdarzyło w Nizy...

— Ciociu!... — przerwała panna Castelli.

— A kiedy prawda, moja Niteczko, a co prawda, to prawda... Rok temu... Nie! dwa lata temu... Jak to ten czas leci...

Lecz pani Osnowska, która zapewne słyszała już nieraz co się zdarzyło w Nizy, poczęła wypytywać pani Połanieckiej:

— A państwo dużo mają znajomości w świecie artystycznym?

— Mąż mój, zapewne — odpowiedziała Marynia — ja nie; ale znamy pana Zawilowskiego.

Pani Osnowska wpadła na tę wiadomość w prawdziwy entuzjazm. Jej marzenie było poznać pana Zawilowskiego, i niech Józio powie, czy to nie było jej marzenie? Niedawno czytały z Linetą jego wiersz pod tytułem: „Ex imo“ — i Lineta, która czasem tak umie jednym słowem określić wrażenie, jak nikt inny, powiedziała... Co to ona takiego charakterystycznego powiedziała?...

— Że w tem jest coś śpiżowego — poddała pani Broniczowa.

— A tak, że w tem jest coś śpiżowego. Ja sobie wyobrażam pana Zawilowskiego także, jak jakiś odlew. Jak on naprawdę wygląda?

— Nizki — odrzekł Połaniecki — gruby, lat pięćdziesiąt i żadnego włosa na głowie.

Na to twarze pani Osnowskiej i panny Linety przybrały taki wyraz rozczarowania, że Marynia poczęła się śmiać i odrzekła:

— Niech panie mu nie wierzą, to zły człowiek

i lubi martwić. Pan Zawilowski jest młody, trochę dziki i trochę podobny do Wagnera.

— To znaczy, że ma brodę, jak poliszynel — dodał Połaniecki.

Lecz pani Osnowska nie brała już w uwagę słów Połanieckiego i wymogła na Maryni, że ułatwi jej poznanie z panem Zawilowskim — i to prędko, „bardzo prędko, bo lato za pasem!”

— Postaramy się przytem, żeby mu było dobrze między nami i żeby nie był dziki — choć, jeśli jest trochę dziki, to nie nie szkodzi, bo on powinien być trochę dziki i trochę najeżać się, gdy ludzie się do niego zbliżają... jak orzeł w klatce! Zresztą porozumieją się z Linetką, bo i ona zamknięta w sobie i tajemnicza jak Sfinx.

— Mnie się zdaje, że każda niepospolita dusza... — zaczęła ciocia „Słodyczka”.

Lecz Połanieccy poczeli się żegnać. W sieni spotkali cudnego Kopowskiego, któremu służący okurzał trzewiki, a który tymczasem przeczesywał swą posagową i twardą jak marmur głowę. Wyszedłszy, Połaniecki rzekł:

— Ten im się także przyda na „floreńskie” wieczory. To także Sfinx!

— Gdyby stał w niszy! — rzekła Marynia. — Jakie to jednak ładne kobiety.

— Dziwna rzecz — odpowiedział Połaniecki. — Niby pani Osnowska jest ładna, a ja wolę, jako urodę, panią Maszkową. Co do Castelli, to naprawdę ładna, choć za wysoka. Czyś ty uważała, że się tam ciągle o niej mówi, a ona ani mru-mru!

— Ma opinię bardzo inteligentnej — odpowiedziała Marynia — ale może trochę nieśmiała, jak Zawilowski. Trzeba będzie pomyśleć o tem poznaniu.

Ale tymczasem wypadek pomieszał plany poznania. Pani Połaniecka, na drugi dzień po wizycie, poślizgnąwszy się na schodach, zbiła kolano tak silnie, że przez kilka dni musiała leżeć w łóżku. On, wróciwszy z biura i dowiedziawszy się co zaszło, naprzód przestraszył się, następnie, uspokojony przez lekarza, zbureczał żonę dość żywo:

— Powinnaś pamiętać, że tu może nietylko o ciebie chodzi! — rzekł jej.

Ona cierpiała dość mocno i z powodu uderzenia, i z powodu tych słów, które wydały się jej jakieś nadto bezwzględne, sądziła bowiem, że jemu powinno przedewszystkiem o nią chodzić, zwłaszcza, że inne obawy nie były jeszcze na niczem oparte. Poza tem jednak okazał jej wielką troskliwość i ani nazajutrz, ani następnego dnia, nie poszedł do biura, by jej pilnować. W godzinach przedpołudniowych czytywał jej, po śniadaniu zaś pracował w przyległym pokoju, przy otwartych drzwiach, tak, aby go mogła w każdej chwili zawołać. Ona, przejednana tą troskliwością, dziękowała mu za nią bardzo gorąco, wskutek czego ucałował ją i rzekł:

— Moje dziecko, to przecie prosty obowiązek. Wiesz, że nawet i obcy dowiadują się o ciebie codziennie.

Obcy rzeczywiście dowiadawali się codziennie. Zawilowski wypytywał w biurze: „jak się pani ma?“ Bigielowa przychodziła po południu, a Bigiel wieczorem, i nie wchodząc do pokoju chorej, wygrywał w przyległym

na fortepianie, by ją rozerwać. Państwo Maszkowie i pani Broniczowa zostawili dwukrotnie karty wizytowe, pani Osnowska zaś, zostawiwszy męża w powozie na dole, wdarła się do Maryni trochę przemocą i siedziała u niej koło dwóch godzin, rozmawiając ze zwykłym sobie darem przerzucania się z przedmiotu na przedmiot, o Rzymie, swoich zamierzonych wieczorach, o Świrskim, mężu, o Linecie i o Zawilowskim, który jej spać nie dawał. Pod koniec odwiedzin oświadczyła pani Połanieckiej, że powinny sobie mówić „ty“ — i że wzywa ją, by jej pomogła w jednym planie: „to jest nie w planie, ale w spisku“, czyli raczej w czemś takim, co jak jej wpadło do głowy, tak się pali i pali, do tego stopnia, że cała głowa się pali!

— Tak mi utkwil w mysli ten Zawilowski, że aż Józio począł być o niego zazdrosny, ale Józio z tylu rzeczy, biedaczysko, nie umie sobie zdać sprawy! Ja jestem pewna, że oni z Linetą są dla siebie stworzeni, to jest, nie Józio z Linetą, ale Zawilowski. I to poezya, i to poezya! Nie śmiej się, Maryniu, i nie myśl, że ja jestem postrzelona. Ty Linety nie znasz. Jej trzeba jakiego nadzwyczajnego człowieka. Ona za takiego Kopowskiego za nic w świecieby nie wyszła, choć Kopowski wygląda jak cherubin. Takiej twarzy, jak ma Kopowski, nigdy w życiu nie widziałam... Może we Włoszech na jakim obrazie, ale i to nie. A wiesz, co Lineta o nim mówi: „c'est un imbécile!“ Może, ale jednak i ona na niego patrzy! Pomyśl, jakby to ślicznie było, żeby oni się poznali, pokochali i pobrali — to jest, nie Kopowski z Linetą, ale Zawilowski! To dopiero byłaby para! A Lineta ze swo-

jemi aspiracyami, kogo ona znajdzie? Gdzie dla niej jest mąż? A co byśmy się napatrzyły, to byśmy się napatrzyły! Wyobrażam sobie, jakby się oni kochali. Na świecie tak nudno, że jak można mieć taki widok, to warto popracować. Zresztą wiem, że to nie pójdzie trudno, bo i ciocia Broniczowa ręce łamie, gdzie ona znajdzie męża dla Linety. Boję się, czym cię nie zmęczyła, ale to tak miło pogadać, zwłaszcza, gdy się coś układa.

Rzeczywiście, po wyjściu pani Osnowskiej, Marynia czuła jakby zawrót głowy. Jednakże, gdy Połaniecki nadzszedł, poczęła mu opowiadać o przygotowanych na Zawilowskiego planach, trochę się śmiejąc z zapału pani Osnowskiej, a wreszcie rzekła:

— Ona musi mieć dobre serce i podoba mi się, ale jaka egzaltowana! Co jej przez głowę nie przechodzi!

— Raczej narwana, niż egzaltowana — odpowiedział Połaniecki — a to, widzisz, jest różnica, bo egzaltacya idzie niemal zawsze w parze z dobrem sercem, a narwanie często godzi się z oschłością serca i często nawet wypływa z tego, że głowa się pali, a serce śpi.

— Ty nie lubisz pani Osnowskiej — rzekła Marynia.

Połaniecki nie lubił jej istotnie, ale tym razem, zamiast potwierdzić lub zaprzeczyć, począł na żonę spoglądać z pewną ciekawością. Uderzyła go w tej chwili jej piękność. Włosy jej rozplynęły się w nieładzie po poduszce i drobna jej twarz wychylała się z tej ciemnej fali po prostu jak kwiat. Oczy jej wydawały się błękitniejsze, niż zwykle, przez rozchylone usta widać było brzeżek drobnych i białych zębów. Połaniecki zbliżył się do niej i rzekł półgłosem:

— Jakaś ty dziś ładna!

I pochyliwszy się nad nią, ze zmienioną twarzą, począł całować jej oczy i usta.

Lecz każdy pocałunek wstrząsał nią, a każde wstrząśnięcie sprawiało jej ból. Prócz tego przykro jej było, że on jakby tylko wypadkiem spostrzegł jej piękność, przykrym był dla niej jego wyraz twarzy i jego nieuwaga, więc poczęła odwracać głowę.

— Stasiu! nie całuj mnie tak mocno, wiesz, że jestem cierpiąca.

Wówczas Połaniecki wyprostował się i rzekł z tłumionym gniewem:

— Prawda! przepraszam!

I wyszedł do swego pokoju rozpatrywać plan jakiegoś letniego domu z ogrodem, który mu dzisiejszego rana przysłano.

XX.

Lecz choroba pani Połanieckiej nie trwała długo i w tydzień później mogli już oboje pojechać do Bigielów, którzy tymczasem przenieśli się na letnie mieszkanie; pogoda bowiem, mimo wczesnej pory, uczyniła się piękna i w mieście zaczęły się prawie upały. Zawilowski, który był się już oswoił, przyjechał także, wraz z ogromnym latawcem, którego mieli puszczać na wspólnie z Połanieckim i dziećmi. Bigielowie polubili Zawilowskiego również, ponieważ był człowiekiem prostym i poza swoją dzikością wesołym, a chwilami nawet dziecinny. Pani Bigielowa utrzymywała przytem, że ma szczególną głowę, co było o tyle prawdą, że posiadał bliznę na powiece i że wystająca broda nadawała mu wyraz energii, której całkowicie przeczyła górna część twarzy, tak delikatna, że prawie kobieca. Z początku pani Bigielowa doszukiwała się w nim oryginała, ale on zbyt uświadamiał wszystko, a zatem i samego siebie, by mógł być oryginałem. Był tylko nierównym przez nieśmiałość, wielkim entuzjastą i człowiekiem nie bez ukrytej pychy.

Przy obiedzie rozprowadano mu o Osnowskich,

o zamierzonych wieczorach ateńsko-rzymsko-florenckich, o pannie Castelli i o ciekawości, jaką w paniach wzbudził.

Usłyszawszy o tem, rzekł:

— No, to dobrze wiedzieć, to nie pójdę tam za nic w świecie.

— Naprzód pozna się pan z niemi u nas — rzekła Marynia.

A on złożył ręce:

— Pani, ucieknę z przedpokoju!

— Dlaczego? — spytał Połaniecki — trzeba mieć odwagę nietylko swoich przekonań, ale i swoich wierszy.

— A oczywiście — rzekła pani Bigielowa. — Co tu się wstydzić! Powinien pan śmiało ludziom w oczy patrzeć i mówić im: piszę, bo piszę!

— Piszę, bo piszę! — powtórzył rezolutnie Zawilowski, podnosząc głowę i śmiejąc się.

Lecz Marynia mówiła dalej:

— Pozna się pan z niemi u nas, potem złoży im pan kartę, a następnie pojedziemy kiedy do nich wieczorem.

On zaś rzekł:

— Nie, mogę schować głowy w śnieg, bo go niema, ale jednak wynajdę sobie jaką kryjówkę.

— A jeśli pana będę bardzo prosiła?

— To pójdę — odpowiedział po chwili Zawilowski, czerwieniąc się zlekka.

I spojrzal na nią. Przybladłszy nieco przez dłuższe leżenie w łóżku, twarz jej zdrobniała jeszcze i wyglądała na twarz szesnastoletniej dziewczyny. Zawilowskiemu wydała się tak cudną, że nie mógł jej niczego odmówić.

Wieczorem Połanieccy mieli go zabrać z powrotem do miasta, ale przedtem Marynia rzekła mu:

— Trzeba teraz używać z panem przemocy, bo pan nie widział Linety Castelli, a jak ją pan zobaczy, to się pan zakocha.

— Ja, pani!?! — zawołał Zawilowski, przyłożywszy dłoń do piersi. — Ja, w pannie Castelli?

I tyle było szczerości w jego pytaniu, że znów zmieształ się; ale tym razem zmieszała się również nieco i pani Połaniecka.

Tymczasem Połaniecki skończył z Bigielem rozmowę o niebezpieczeństwach lokaty kapitału w ziemi i pojechali. Marynia przypomniawszy sobie, jak niegdyś wracali tak z ojcem, panią Emilią, Litką i Połanieckim od Bigielów, w taką samą miesięczną noc. Jak wówczas ten „pan Stanisław“ kochał się w niej i jaki był nieszczęśliwy; jaka ona była dla niego surowa — i serce poczęło jej bić litością dla tego „pana Stanisława,“ który wówczas tyle wycierpiał. Chciało się jej teraz przytulić do niego i przeprosić za owe dawne złe chwile — i gdyby nie obecność Zawilowskiego, byłaby to uczyniła.

Lecz ów dawny pan Stanisław siedział sobie teraz spokojny i pewny siebie koło niej, i palił cygaro. Przecie ona była jego, przecie ją wziął i miał, więc wszystko się skończyło.

— O czym ty tak rozmyślasz, Stachu? — spytała.

— O interesach, o których mówiliśmy z Bigielem.

I otrząsnąwszy popiół z cygara, włożył je do ust i pociągnął, tak, że czerwone światełko rozświeciło mu wąsy i część twarzy.

A Zawilowski, patrząc na twarz Maryni, pomyślał w swojej młodej duszy, że gdyby ona była jego żoną, toby nie palił teraz cygara, ani nie rozmyślał o interesach, o których się mówi z Bigielem, ale chyba kłęczalby przed nią i adorował ją na kolanach.

I zwolna, pod wpływem nocy i tej słodkiej twarzy kobiecej, którą uwielbiał, poczęła go ogarniać egzaltacja. Po niejakej chwili jął deklamować, z początku cicho, jakby sam do siebie, a potem coraz głośniej, swój wiersz, pod tytułem „Śniegi w górach.“ Była w tym wierszu jakby ogromna tęsknota za czemś niedostępnem i niepokalanem. Zawilowski sam nie wiedział, kiedy znaleźli się w mieście i kiedy latarnie poczęły migać po obu stronach ulicy.

— Więc pojutrze, na „five o'clock?“

— Tak jest — odpowiedział, całując ją w rękę.

Pani Połaniecka była trochę rozmarzona pod wpływem przejażdżki, nocy, a może i wiersza. Lecz od czasu pobytu w Rzymie, oboje z mężem odmawiali razem pacierz wieczorny. I po tym pacierzu ogarnęła ją nagle wielka tkliwość, jakby przypływ uczucia, pokrytego przez chwilę innemi wrażeniami. Zbliżywszy się, objęła ramionami szyję Połanieckiego i poczęła szeptać:

— Mój Stachu! tak nam jednak ze sobą dobrze? Prawda?

On zaś przyciągnął ją do siebie i odpowiedział z pewną niedbałą chępliwością:

— A czy ja się skarżę?

I ani w głowie mu nie powstało, że w pytaniu jej był jakby odcień żalu i zwątpienia, którego nie chciała

do duszy dopuścić — i że pragnęła, by ją uspokoił i upewnił.

Nazajutrz Zawilowski oddał w biurze Połanieckiemu wycinek z jakiejś gazety ze „Śniegami w górach.“ Połaniecki przeczytał go przy obiedzie, ale przy brzęku widelców wiersz wydał się mniej piękny, niż wśród ciszy nocnej, przy świetle księżyca.

— Zawilowski mówił — rzekł Połaniecki — że wkrótce wyjdzie tom, ale obiecał, że przedtem pozbiera wszystko, co było w różnych pismach, i przyniesie ci.

Marynia zaś odrzekła:

— Nie; trzeba, żeby to zachował dla Linety.

— Ach! jutro się mają spotkać po raz pierwszy. Chcecie koniecznie urządzić epokę w życiu Zawilowskiego?

— Chcemy odpowiedziała z pewną stanowczością Marynia. — Aneta z początku mnie zdziwiła — ale dla-czegóżby nie!

Jakoż spotkanie nastąpiło nazajutrz. Państwo Osnowscy, pani Broniczowa i panna Castelli przyjechali nader punktualnie o piątej, ale Zawilowski przyszedł jeszcze wcześniej, by uniknąć wchodzenia do salonu przy całym towarzystwie. A i tak był nietylko nastraszony, ale niezgrabniejszy niż zwykle i nigdy własne nogi nie wydawały mu się tak długie. Była jednak pewna dystynkcyja nawet w jego niezgrabności i pani Osnowska umiała się na tem poznać. Rozpoczęły się pierwsze sceny komedyi ludzkiej, w których te panie, jako osoby dobrze wychowane, wystrzegając się wszelkiej natarczywości w przypatrywaniu się Zawilowskiemu, nie czyniły jednak nic innego; on zaś, udając, że tego nie widzi, nie my-

ślał jednak o niczem innym, tylko, że mu się przypatrują i że go sądzą. Sprawiało mu to wielki przymus, który starał się pokryć przez sztuczną swobodę, miał bowiem tyle miłości własnej, że mu chodziło o to, by sąd wypadł dobrze. Ale panie te były tak z góry nastrojone, że sąd nie mógł wypaść źle, i gdyby nawet Zawilowski okazał się głupim i płaskim, byłoby to wzięte za mądrość i poetyczną oryginalność. Najobojętniej zachowywała się panna Lineta, którą poniekąd dziwiło, że w tej chwili nie ona jest słońcem, a Zawilowski księżycem, lecz że dzieje się odwrotnie. Pierwsze wrażenie, jakie na nią uczyniła twarz Zawilowskiego, było: „Co za porównanie z tym głupcem Kopowskim!“ I nieporównana, cudna twarz tego „głupca“ — stanęła jej jak żywa przed oczyma, skutkiem czego powieki jej stały się jeszcze cięższe, a wyraz twarzy przypominał jeszcze bardziej niż zwykle Sfinxa... z porcelany. Drażniło ją to jednak, że Zawilowski nie zwraca żadnej niemal uwagi ani na jej postać Junony, ani na „coś tajemniczego i poetycznego,“ co, jak utrzymywała pani Broniczowa, przykuwało od pierwszego rzutu oka. Zwolna też zaczęła na niego spoglądać i, mając, obok poetycznego usposobienia, rozwinięty silnie zmysł światowej obserwacji, zauważyła, że wprawdzie on ma dużo wyrazu, ale że surdut na nim źle leży i że musi się ubierać u byle krawca, a szpilka w jego krawacie jest wprost „mauvais genre.“ On tymczasem, rzucając niekiedy spojrzenia na Marynię, jako na jedyną bliską i przyjazną duszę, rozmawiał z panią Osnowską, która, uważając za najwyższy takt nie

mówić za pierwszym razem o poezji, a dowiedziawszy się, iż Zawilowski pierwsze lata dzieciństwa spędził na wsi, poczęła szczebiotać o swoim pociągu do życia wiejskiego. Mąż jej wolał zawsze miasto, mając w mieście swoje przyjemności i przyjaciół, ale co do niej!... „Och, ja jestem szczerą i przyznam się od razu, że nie cierpię folwarku, gospodarstwa i rachunków, za które nieraz byłam łajaną... Przytem, trochę ze mnie próżniak, więc lubiłabym taką robotę, przy której można próżnować: zaraz! co to jabym lubiła?”

Tu rozłożyła swe wydłużone paluszki, żeby na nich łatwiej wyliczyć zajęcia, któreby jej przypadły do smaku:

— Naprzód, lubiłabym paść gęsi!

Zawilowski roześmiał się; wydała mu się naturalną, a przytem zabawił go obraz pani Osnowskiej pasącej gęsi.

Jej fiołkowe oczy poczęły się także śmiać i wpadła w ton swobodnej i wesołej dziewczynki, która mówi o wszystkim, co jej przez głowę przejdzie.

— A panby lubił? — spytała nagle Zawilowskiego.

On zaś odpowiedział:

— Pasyami!

— A widzi pan!... Co to jeszcze? Aha! lubiłabym być rybakiem. Rano na wodzie muszą się zorze odbijać ślicznie... Przytem mokre sieci przed chatą, z błonkami wody w oczkach, to takie ładne... Chciałabym być przynajmniej, jeśli nie rybakiem, to czapłą i medytowć na jednej nodze nad wodą, albo czajką nad łąkami. Ale nie! czajka to jakiś smutny ptak! — prawda? — jakby w żalobie!

Tu zwróciła się do panny Castelli:

— A ty, Linetko, czem chciałabyś być na wsi?

Panna Castelli podniosła powieki i po chwili rzekła:

— Pajęczyną.

Wyobrażenia Zawilowskiego, jako poety, poruszyła się tą odpowiedzią. Nagle stanęły mu przed oczyma wielkie płowe przestrzenie rżysk i srebrne nitki, pływające się w spokojnym błękitcie i w słońcu.

— A jaki to ładny obraz! — rzekł.

I spojrzął uważniej na pannę Linetę, a ona uśmiechnęła się, jakby z podziękowaniem za to, że odczuł piękność obrazu.

Lecz w tej chwili nadeszli Bigielowie. Zawilowskiego zaś wzięła w obroty pani Broniczowa i zastawiła go krzesłem tak, że się nie mógł poruszyć. Łatwo było odgadnąć, co stanowiło przedmiot ich rozmowy. Zawilowski bowiem podnosił od czasu do czasu oczy na pannę Castelli, jakby chcąc sprawdzić, czy wygląda na to, co o niej słyszy. Wreszcie, jakkolwiek rozmowa prowadzona była przyciszonym głosem, obecni usłyszeli wkrótce słowa, jakby precedzone przez kawałek cukru:

— Czy pan wie, że ją Napoleon... to jest, chcia-
lam powiedzieć: Wiktor Hugo... błogosławił...

Wogóle Zawilowski nasłuchiwał się tyle rzeczy niezwykłych, że mógł z pewną ciekawością przypatrywać się pannie Castelli. Była ona, według tych opowiadań, najdziwniejszem w świecie dzieckiem, zawsze bardzo łagodnem, ale nieobliczalnem. Mając lat dziesięć, była bardzo chora. Kazano jej oddychać morskiem powietrzem i te panie mieszkały długo na Stromboli...

— Dziecko patrzyło na wulkan, na morze i klasnęło w ręczęta, powtarzając: „ładnie! ładnie!“ Zajechaliśmy tam przypadkiem, blakając się w najętym jachcie bez celu; trudno było zostać dłużej, bo to pusta wysepka i nie było gdzie mieszkać, i nie bardzo co jeść, ale ona za nic nie chciała wyjeżdżać, jakby w przeczuciu, że tam przyjdzie do zdrowia. Jakoż w miesiąc, a jeśli nie w miesiąc, to we dwa, poczęła do siebie przychodzić, i niech pan patrzy, że wyrosła mi, jak trzcina!

Rzeczywiście panna Castelli, lubo kształtna i nie rażąca wzrostem, wyższą była nieco nawet od pani Osnowskiej. Zawilowski patrzył na nią ze wzrastającym zajęciem. Przed rozejściem się gości, wypuszczony wreszcie z niewoli, zbliżył się do niej i rzekł:

— Nie widziałem nigdy wulkanu i nie mam pojęcia, jakie to może sprawiać wrażenie.

— Ja znam tylko Wezuwiusz — odpowiedziała — ale jakeśmy go widziały, nie było wybuchu.

— A Stromboli?

— Nie znam.

— Tom się tylko przesłyszał, bo — ciotka pani...

— Tak — odpowiedziała panna Castelli — nie pamiętam! Byłam widocznie zbyt mała.

I na twarzy jej odbiła się przykrość i zmieszanie.

Pani Osnowska, nie wychodząc do końca z roli czarującej terkotki, zaprosiła przed wyjazdem Zawilowskiego do siebie, „któregokolwiek wieczora, bez ceremonii i bez fraka, bo taką wiosnę można uważać za lato, a w lecie najprzyjemniejsza swoboda.“ Oświadczyła przytem, iż rozumie, że ludzie tacy, jak on, nie lubią no-

wych znajomości, ale jest na to prosty sposób, a mianowicie: uważać ich za starą. Najczęściej siedzą sami: Linetka coś czyta, albo mówi, co jej przez głowę przechodzi, a jej takie różne rzeczy przez głowę przechodzą, że warto je słyszeć, zwłaszcza komuś, kto jest w stanie lepiej je odczuć i zrozumieć, niż kto inny.

Panna Castelli uścisnęła na pożegnanie dość silnie jego rękę, jakby potwierdzając, że mogą i powinni się zrozumieć. Zawilowski, nieprzywykły do ludzi, był trochę odurzony: słowami, szelestem sukien, oczyma i zapachem irysowym, który te panie zostawiły po sobie. Czuł przytem trochę zmęczenia, bo w tej rozmowie, jakkolwiek swobodnej i pozornie pełnej prostoty, brakło takiego spokoju, jaki był zawsze w słowach pani Połanieckiej i pani Bigielowej; Zawilowskiemu zostało poniekąd wrażenie bezładnego snu.

Bigielowie mieli zostać na obiedzie, więc Połaniecki zatrzymał i Zawilowskiego. Tymczasem poczęli mówić o tych paniach.

— Cóż panna Castelli? spytała Marynia.

— Obie mają dużo wyobraźni — odpowiedział po chwili zastanowienia Zawilowski. — Czy pani zauważyła, jak im łatwo mówić obrazami?

— Ale prawda, jaka Lineta interesująca panna?

Połaniecki, na którym panna Castelli nie czyniła wielkiego wrażenia, a który był głodny i pilno mu było do obiadu, odezwał się z pewną niecierpliwością:

— Co wy tam upatrujecie! Interesująca, dopóki nie spowszednieje.

Pani Połaniecka zaś odrzekła:

— Nie! Lineta nie spowszednieje... Powszednieją tylko takie zwyczajne, proste istoty, które nie umieją nic innego, tylko kochać.

Zawiłowskiemu, który spojrział na nią w tej chwili, wydało się, iż dostrzegł w niej odcień smutku. Była może przytem jeszcze osłabiona, bo twarz jej miała tony po prostu liliowe.

— Pani się zmęczyła? — spytał.

— Trochę — odpowiedziała, uśmiechając się.

Jego zaś młode, wrażliwe serce zabiło dla niej wielkiem współczuciem. „To jest naprawdę lilia“ — pomyślał — i, w porównaniu z jej słodkim urokiem, pani Osnowska przedstawiła mu się jak krzykliwa sójka, a panna Castelli, jak martwa głowa posągu. Poprzednio, po każdym widzeniu pani Połanieckiej, marzył, bywało, o takiej kobiecie, jak ona; tego wieczora począł marzyć nie o takiej jak ona, ale o niej samej. A ponieważ uświadamiał szybko wszystko, co się w nim działo, więc spostrzegł, że ona zaczyna mu być kwiatem nie tylko „polnym“, ale i kochanym.

Połaniecki zaś, spotkawszy go na drugi dzień w biurze, pytał:

— Cóż, śpiąca królewna? Śniła się panu? co?

— Nie! — odpowiedział Zawiłowski, czerwieniąc się.

Połaniecki, spostrzegłszy jego rumieniec, począł się śmiać i rzekł:

— Ha! trudno! każdy musi przez to przejść: przeszedłem i ja!

XXI.

Marynia nie skarżyła się nawet sama przed sobą na męża. Nie było dotąd między nimi najmniejszego nieporozumienia. Musiała tylko przyznać, że prawdziwe, bardzo wielkie szczęście, a zwłaszcza bardzo wielką miłość, taką, o jakiej marzyła, gdy Połaniecki był jej narzeczonym, wyobrażała sobie inaczej. O tem przekonywał ją każdy niemal dzień. Inne były nadzieje, inną pokazywała się rzeczywistość. Prawa natura Maryni nie poczęła się przeciw tej rzeczywistości buntować, ale padł na nią cień smutku, wraz z poczuciem, że ów cień może się stać z czasem tłem życia. Mając pełną duszę dobrej woli, próbowała sobie z początku dowieść, że to są jej własne urojenia. Czego jej brakło i w czem Połaniecki mógł ją zawieść? Nie wyrządził jej nigdy umyślnej przykrości; ilekroć przyszło mu do głowy, że coś mogłoby być jej przyjemne, starał się jej to zapewnić: był dla niej hojny, dbał o jej zdrowie, chwilami zacałowywał jej twarz i ręce — słowem, był raczej dobrym, niż złym. A jednak czegoś w tem brakło. Maryni trudno było to określić w jednym lub kilku słowach,

ale umysł jej był zbyt jasnym, żeby nie rozumieć tego, co serce odczuwało codzien żywiej i codzien smutniej. Czegoś brakło! Po wielkiem i uroczystem święcie miłości zaczynał się szereg dni powszednich, a jej żal było święta; chciałaby była rozciągnąć je na całe życie, widziała zaś ze zmartwieniem, że mężowi jej ta powszedniość wydawała się właśnie czemś normalnem i pożądanem. Tak jak było, nie było źle, ale to nie było owo wysokie szczęście, które „*taki człowiek*“ powinien był zdolny czuć, stworzyć i dać. Ale prócz tego chodziło i o inne rzeczy. Oto ona czuła, iż jest więcej jego, niż on jej — i że gdy ona oddaje mu całą duszę, on zwraca jej ze swojej tylko tę cząstkę, którą z góry przeznaczył na użytek domowy. Mówiła sobie wprawdzie, że on jest mężczyzną, że ma po za nią cały świat pracy i myśli; ale niegdyś spodziewała się, że on ją weźmie za rękę i w ten świat wprowadzi, że przynajmniej w domu będzie się nim z nią dzielił, tymczasem nie mogła się nawet ludzić, żeby tak było. I rzeczywistość gorsza była, niż sobie wyobrażała. Połaniecki — jak sam się wyrażał — wziął ją i miał, i gdy wzajemne ich uczucie stało się zarazem prostym wzajemnym obowiązkiem, sądził, iż nie potrzebuje inaczej się o nie troszczyć, ani inaczej o nie zabiegać, jak o wszelkie inne obowiązki codziennego życia. Nie przyszło mu wprost do głowy, że do takiego ogniska nie dość jest dokładać zwyczajnych drew, jak się dokłada do komina, ale że trzeba sypać w nie bursztyn i myrrę, tak jak się je sypie przed ołtarzem. Gdyby mu ktokolwiek coś podobnego powiedział, wzruszyłby ramionami i uznał go za roman-

tyka. Dlatego była w nim może troskliwość męża, ale nie było nic troski kochanka, ani przejęcia się, ani czuwania, ani takiej bojaźni, która w mniejszym zakresie ziemskich uczuć jest tem, czem bojaźń boża w uczuciu religijnem. Niegdyś, gdy po sprzedaży Krzemienia Marynia była względem niego obojętna, on czuł i przeszedł przez to wszystko, ale teraz, a nawet od czasu śmierci Litki, gdy począł być zupełnie pewnym, że ona jest jego własnością, nie myślał o niej więcej, niż wypada myśleć o własności. Uczucie jego, oparte przeważnie na jej uroku fizycznym, posiadało to, czego chciało — i było spokojne, a czas mógł je tylko w przyszłości spowszedniać, ochładzać, stępiać.

Tymczasem teraz już, jakkolwiek było jeszcze żywe, brakło mu takiej naprzykład czujnej i pieściotliwej tkliwości, jaka była w uczuciu dla Litki. I Marynia to spostrzegła. Dlaczego tak było? — na to nie umiała odpowiedzieć. Nie mniej jednak wyraźnie czuła, że była dla tego człowieka, któremu chciała być wszystkim, czemś pospolitszem i mniej cennem, niż tamto zmarłe dziecko.

Nie przyszło jej to do głowy i nie mogłoby się żadną miarą w niej pomieścić, iż jedyny powód był ten, że tamto dziecko nie było jego, a ona zaś oddała mu i ciało i duszę. Sądziła, że im się więcej oddaje, tem się więcej powinno otrzymać i mieć. Ale czas przyniósł jej pod tym względem dużo zawodów. Oto nie mogła również nie dostrzedz, że wszyscy ją cenią, chwalaą, że Świrski, Bigiel, Zawilowski i nawet pan Osnowski, patrzą na nią nietylko z podziwem, ale niemal z zachwytem, i że najmniej ze wszystkich robi so-

bie z tych przymiotów — on — „Stach.“ Ani na chwilę nie przyszło jej na myśl, by on nie był zdolny się na niej poznać i ocenić tego, co inni w niej dostrzegali i ocenili z taką łatwością. Więc co był za powód? Te pytania dręczyły ją teraz dniem i nocą. To, iż spostrzegła, że Połaniecki we wszystkim trochę udaje charakter zimniejszy i bardziej trzeźwy, niż ma rzeczywiście, nie wydało się jej dostateczną odpowiedzią. Pozostawała jej, niestety, odpowiedź tylko jedna: „On mnie nie kocha tak, jakby mógł, i dlatego nie ceni, jak cenią inni.“ Było w tem tyle samo prawdy, ile goryczy i smutku.

Instykt kobiecy, który w takich razach nigdy nie zawodzi, ostrzegł Marynię, że uczyniła na Zawilowskim niezwykle wrażenie, i że to wrażenie powiększało się za każdym spotkaniem. I myśl ta nie oburzyła jej, nie wybuchnęła w gniewnem pytaniu: „Jak on śmie?!“ — bo zresztą on na nic się nie ośmielał — przeciwnie, dodała jej pewnej otuchy, pewnego zaufania we własny urok, które chwilami poczynała tracić, ale zarazem wzbudziła tem większy żal, że taką tkliwą cześć, taki zachwyt okazywał jej ktoś obcy, a nie „Stach.“ Co do Zawilowskiego, nie czuła dla niego nic, prócz wielkiej sympatyj i przychylności, więc myśli jej pozostały czyste. Nie byłaby zdolną bawić się przez próżność cudzem cierpieniem, i z tego powodu, nie chcąc, by zaszedł zadaleko, przyłączyła się chętnie do planu pani Osnowskiej zbliżenia Zawilowskiego z panną Castelli, jakkolwiek ten plan wydał się jej tak nagłym, że aż niezrozumiałym. Zresztą i serce jej i umysł były zajęte całkowicie pytaniami:

czemu ten dobry, ten rozumny i ten kochany „Stach“ nie chce wstępować z nią na wysokości, czemu on nie ceni jej tak, jakby mógł, czemu on ją tylko kocha, ale nie kocha się w niej, czemu jej miłość uważa tylko za coś przynależnego sobie, ale nie za coś drogiego? Skąd to poszło i gdzie leży tego przyczyna?

Każda płaska, samolubna natura znalazłaby całą winę w nim — Marynia Połaniecka znalazła ją w sobie. Wprawdzie odkrycie to uczyniła z cudzą pomocą, ale tak była zawsze gotowa zdjąć wszelką odpowiedzialność ze swego „Stacha,“ a wziąć na siebie, że obok przestachu, sprawiło ono jej niemal radość.

Raz po południu siedziała sama i z rękoma złożonemi na kolanach, gubiła się w myślach i pytaniach, na które nie umiała znaleźć odpowiedzi, gdy wtem drzwi się otworzyły i ukazał się w nich biały kwef i ciemna suknia Siostry miłosierdzia.

— Emilka! — zawołała z radością pani Połaniecka.

— Tak, to ja — odpowiedziała Siostra — mam dziś wolny dzień i chciałam was odwiedzić. Gdzie pan Stanisław?

— Stach jest u państwa Maszków, ale myślę, że niedługo wróci. Ach, jaki będzie rad! Siadaj, odpocznij!

Pani Emilia siadła i poczęła mówić:

— Jabym częściej do was wpadała — tylko że nie mam czasu. Ale dziś wolny dzień: byłam u Litki. Żebyś wiedziała, jak tam zielono i co ptaków!

— Byliśmy tam kilka dni temu. Wszystko kwitnie — i taki spokój. Jaka szkoda, że Stacha niema.

— Tak. On ma przytem kilka listów Litki: chcia-
łam go prosić, żeby mi ich pożyczył. Na przyszłą nie-
dzielę wpadnę znowu i odniosę mu je.

Pani Emilia mówiła już spokojnie o Litce. Może
było tak dlatego, że z niej samej został tylko cień ży-
wej istoty, który miał się wkrótce rozwiać — ale tym-
czasem była w niej niezmacona pogoda. Myśl jej nie
była już także pochłonięta wyłącznie nieszczęściem i owa
dawna obojętność dla wszystkiego, co nie było Litką,
przeszła. Zostawszy Siostrą miłosierdzia, zstąpiła znów
między ludzi i nauczyła się odczuwać wszystko, co sta-
nowiło ich dołę lub niedołę, wesołość lub smutek,
a nawet przyjemność lub przykrość.

— A jak tu u was zawsze ładnie! — rzekła po
chwili — po naszych białych ścianach, takie mi się tu
wszystko wydaje bogate. Pan Stanisław był niegdyś
wielki leniuch; bywał u państwa Bigielów i u nas; ni-
gdzie więcej nie chciało mu się bywać, ale teraz pewno
się rozruszał i przyjmujecie dużo ludzi?

— Nie — odpowiedziała Marynia. — Bywamy tylko
u państwa Maszków, u pani Broniczowej i u państwa
Osnowskich.

— A, poczekaj! Ja znam panią Osnowską. Zna-
łam ją jeszcze panną. Znałam także oboje państwa Bro-
niczów i ich siostrzenicę, ale ona nie była wtedy jesz-
cze dorosłą. Pan Bronicz umarł sześć lat temu. Widzisz,
jak ja wszystko wiem!

Marynia poczęła się śmiać.

— Doprawdy więcej odemnie. Ja poznałam pań-
stwa Osnowskich dopiero w Rzymie.

— Przecie tyle lat mieszkałam w Warszawie, więc wszystko obijało mi się o uszy. Niby to przesiadywałam ciągle w domu, ale świat mnie zajmował. Taki to był ze mnie lekkoduch! Zresztą i twój dzisiejszy pan Stach znał panią Osnowską...

— Mówił mi o tem. Spotykali się na balach publicznych.

— Ona miała wówczas wychodzić za pana Kopowskiego. Były i lzy, i rozpacz, bo jej ojciec się sprzeciwił. Ale dobrze trafiła? — nieprawda? Pan Osnowski zawsze uchodził za bardzo dobrego człowieka.

— I jest dla niej jak najlepszy. Ale o tem nie wiedziałam, że ona miała wyjść za pana Kopowskiego, i dziwi mnie to — taka inteligentna!

— Chwała Bogu, że szczęśliwa; byle chciała to cenić. To rzadka rzecz szczęście i tak się trzeba umieć z tem dobrze obchodzić! Ja się nauczyłam teraz patrzeć na świat bardzo bezstronnie, jak mogą tylko ludzie, którzy dla siebie niczego już nie wyglądają — i wiesz, co mi nieraz przychodzi do głowy? Że szczęście, to jak oczy: lada prószynka — i zaraz poczynają lzy płynąć.

Marynia uśmiechnęła się trochę smutno i odrzekła:

— Oj to, to wielka prawda!

Nastała chwila milczenia, poczem pani Emilia, spojrzawszy uważnie na Marynię, położyła łagodnie swoją przezroczywą rękę na jej dłoni i spytała:

— Ale ty, Marylko, jesteś szczęśliwa? — tak?

Marynię chwyciła nagle taka chęć do płaczu, że oparła się jej tylko z największem wysileniem. Ale trwało to jedno mgnienie oka. Cała jej prawa dusza

wzdrygnęła się nagle na myśl, że jej lzy lub smutek byłyby niejako skargą na męża, więc siłą woli opanowała wzruszenie i odrzekła:

— Byle tylko Stach był szczęśliwy!

I podniosła pogodnie już zupełnie oczy na panią Emilię, która rzekła:

— Litka wam to wyprosi! Spytałam tylko dlatego, że jakem weszła, wydałaś mi się jakaś zasepiona. Ale ja wiem najlepiej, jak on cię kochał i jaki był nieszczęśliwy wówczas, gdyś się na niego gniewała z powodu Krzemienia.

Maryni twarz rozjaśniła się uśmiechem. Tak mile jej było każde słowo o jego dawnej miłości, że gotowa była słuchać tego rodzaju opowiadań bez końca.

Pani Emilia zaś mówiła dalej, dotykając jej ręki.

— A ty, brzydkie dziecko! takieś było niemilośmierne, tak nie umiałaś ani ocenić, ani uszanować prawdziwego przywiązania, że czasem byłam na ciebie zła. Czasem bałam się o poczciwego pana Stanisława, żeby się nie zraził do życia, żeby się nie zwichnął, żeby nie zdziwaczał. Bo to, widzisz, zdarza się, że jak się zrobi jakaś faldka gdzieś w głębi serca, to całe życie nie można jej potem wyprostować.

Marynia podniosła głowę i poczęła mrugać, jakby oczy jej poraziło jakieś nagle światło:

— Emilko, Emilko! — zawołała — jak ty rozumnie mówisz!

Pani Emilia nazywała się teraz „Siostra Aniela,“ ale Marynia nazywała ją zawsze dawnym imieniem.

— Ej, co tam rozumnego! — rzekła. — Ot, tak

sobie zrządzą za dawne czasy. Ale Litka wyprosi wam szczęście i Bóg wam je da, boście go oboje warci.

I poczęła się zbierać. Marynia zatrzymywała ją do przyjścia męża, ale napróżno, gdyż w zakładzie czekało ją zajęcie. Jednakowoż pogawędziły jeszcze, według zwyczaju kobiecego, z kwadrans we drzwiach; wreszcie pani Emilia odeszła, obiecując odwiedzić ich znów na przyszłą niedzielę.

Marynia Połaniecka wróciła na swój fotel pod oknem i wsparłszy się na rękę, poczęła myśleć nad słowami pani Emilii, po chwili zaś rzekła półgłosem:

— Tak, to moja wina!...

Zdawało jej się teraz, że ma klucz do zagadki.

Oto nie umiała uszanować siły tak prawdziwej i tak wielkiej, jak miłość. I teraz w jej struchlałym sercu wydała się ta miłość jakimś obrażonym bóstwem, które karze. Wówczas Połaniecki był przed nią na kolanach. Ilekroć się spotkali, patrzył jej w oczy, wyglądając zmiłowania od jej serca i od tych wspomnień błahych, nikłych, ale drogich, które ich łączyły. Gdyby wtedy była zdobyła się na prostotę i na wspaniałomyślność, gdyby była wyciągnęła do niego ręce, jak nakazywało jej tajone uczucie — byłby jej wdzięczny przez całe życie, byłby cenił ją, cenił i kochał z tem większą tkliwością, im bardziej odczuwałby własną winę, a jej dobroć. Ale ona wówczas wolała pielęgnować i rozdmuchiwać swoją urazę, a jednocześnie przyciągać Maszkę. Gdy było trzeba zapomnieć, nie umiała zapomnieć; gdy trzeba było przebaczyć, nie umiała przebaczyć. Wolała sama cierpieć, byle i on cierpiał. Połanieckiemu oddała

rękę wówczas dopiero, kiedy nie mogła inaczej, kiedy nie oddać jej, byłoby wprost niecną i bezrozumną ztwardziałością. Prawda, że wówczas tłumione kochanie powstało w całej swej nieprzewycięzonej mocy i że pokochała sercem i duszą — ale to było zapóźno. Miłość została obrażona. Coś się złamało, coś zginęło; w jego sercu powstała taka złowroga fałda, o jakiej wspomniała pani Emilia — i teraz ona, Marynia, zbiera tylko to, co posiała.

On tu nic nie winien — i jeśli kto komu, to nie on jej, ale ona jemu popsowała życie.

Zdjął ją na tę myśl taki strach i taki żal, że przez chwilę patrzyła w przyszłość z zupełnem przerażeniem. A zarazem chciało się jej płakać i płakać, jak małemu dziecku. Gdyby pani Emilia nie była odeszła, byłaby to uczyniła w jej ramionach. Była tak przejęta ciężarem własnych przewinień, że gdyby w tej chwili ktoś nadzszedł i próbował zdjąć z niej ten ciężar, gdyby jej powiedział: „Tyś tyle winna, ile gołąb“ — byłaby uważała, iż mówi rzecz niegodziwą. Najstraszniejszym w tej rozterce duchowej było to, że w pierwszej chwili klęska wydała jej się niepowetowaną, i że jej się zdawało, iż w przyszłości może być tylko gorzej i gorzej, że „Stach“ będzie ją coraz mniej kochał — i że będzie miał prawo coraz mniej kochać, słowem: nie widziała przed sobą ratunku.

Logika mówiła jej: dziś jeszcze jest dobrze w porównaniu z tem, co może być jutro, pojutrze, za miesiąc, za rok... A tu przecie chodzi o całe życie!

I poczęła wysilać swą biedną, strapioną głowę, by

wynaleźć, jeśli nie drogę, to przynajmniej jaką ścieżynę, którąby można wyjść z tych manowców nieszczęścia. Nakoniec, po długim wysileniu, po Bóg wie ilu pokniętych łzach, zdawało jej się, że widzi przed sobą jakieś światło.

I to światło, w miarę, jak mu się jąła przyglądać, rosło coraz bardziej.

Było jednak coś potężniejszego od logiki nieszczęścia, potężniejszego od win spełnionych i obrażonego bóstwa, umiającego się tylko mścić — miłosierdzie boże!

Ona zawiniła, więc do niej należy winy naprawić. Trzeba oto „Stacha“ kochać tak, żeby odnalazł wszystko to, co mu zginęło w sercu. Trzeba mieć cierpliwość i nie tylko nie narzekać na swoją dzisiejszą dolę, ale jeszcze dziękować Bogu i „Stachowi,“ że jest taka, jak jest. Gdyby przyszły większe smutki i trudności, trzeba je po cichutku pochować w sercu — i wytrwać długo, bardzo długo, choćby lata całe, póki nie przyjdzie miłosierdzie boże.

Ścieżynka poczęła się teraz zmieniać w gościniec. „Nie zabłądzę!“ — mówiła sobie Marynia. Chciało się jej i teraz płakać z wielkiej radości, ale sądziła, że nie może sobie na to pozwolić. Zresztą lada chwila Stach mógł wrócić i trzeba, żeby ją zastał z suchemi oczyma.

Jakoż niebawem wrócił. Marynia chciała w pierwszej chwili rzucić mu się na szyję, ale czuła się względem niego tak winną, że wstrzymała ją jakaś nagle nieśmiałość.

On zaś, pocałowawszy ją w czoło, spytał:

— Nie był tu nikt?

— Była Emilka, ale nie mogła dłużej zostać. Przyjdzie w przyszłą niedzielę.

Wówczas zniecierpliwił się:

— Ach, Boże! Wiesz, że to taka dla mnie przyjemność ją widzieć — czemuś nie dała mi znać? Wiedziałaś przecie, gdzie jestem; czemuś nie pomyślała o mnie?

A ona, jak dziecko, które się tłómaczy, poczęła mówić głosem, w którym drgały łzy, ale zarazem i jakaś otucha:

— Nie, Stachu! — owszem! — jak ciebie Kocham, tak ciągle myślałam o tobie!

XXII.

— A widzicie państwo, że byłem — mówił wesoło u Bigielów Zawilowski — patrzyli na mnie trochę jak na jakąś panterę, albo na wilka, ale ja okazałem się bardzo oswojonem stworzeniem; nikogo nie podrapałem, nic nie rozbiłem, odpowiadałem mniej więcej przytomnie. Nie, ja to przecie dawno zauważyłem, że z ludźmi łatwiej żyć, niż się wydaje — i tylko w pierwszych chwilach mam zawsze ochotę zmykać. Ale te panie naprawdę bardzo są swobodne.

— Proszę nas nie zbywać i opowiedzieć nam dokładnie wszystko, jak było — rzekła pani Bigielowa.

— Jak było? Otóż naprzód wszedłem za kratę willi i nie wiedziałem, co dalej uczynić, ani gdzie mieszkają państwo Osnowscy, a gdzie pani Broniczowa — i czy im się razem składa wizytę, czy trzeba być osobno u jednych i u drugich.

— Osobno — rzekł Połaniecki. — Pani Broniczowa ma oddzielne mieszkanie, chociaż mają jeden salon, który uważają za wspólny.

— Otóż znalazłem wszystkich w tym salonie i pani

Osnowska pierwsza wyprowadziła mnie z kłopotu, bo mi powiedziała, że się mną dzieli z panią Broniczową i że za jednym razem składam dwie wizyty. Zostałem tam panią Maszkową i pana Kopowskiego — i to jest jakiś pan, taki piękny, że powinien mieć na głowę takie pudełko z aksamitem w środku, jakich używają jubile-
rowie. Kto to jest pan Kopowski?

— Dureń! — odpowiedział Połaniecki. — W tem się mieści imię, sposób utrzymania, zajęcie i znaki szczególne. Innego rysopisu nie potrzebuje nawet w paszporcie.

— Teraz rozumiem — rzekł Zawilowski — i niektóre słowa, jakie słyszałem, stały mi się jasne. Otóż ten pan pozował, a młode panie malowały go: pani Osnowska olejno wprost, a panna Castelli akwarelą z profilu. Obie były ubrane w perkalowe fartuszki na wierzchu sukien i obie były śliczne. Pani Osnowska widocznie dopiero zaczęła się uczyć, ale panna Castelli ma dużo wprawy.

— O czymżeście mówili?

Zawilowski zwrócił się do Maryni:

— Naprzód te panie pytały o zdrowie pani, ja zaś powiedziałem, że pani coraz lepiej wygląda.

Nie wspomniał jednak, że przy tej okazji zacerwienił się był jak student i że obecnie pocieszał się tylko myślą, że wszyscy tak byli zajęci malowaniem, iż nikt tego nie zauważył, w czem zresztą mylił się.

Zmieszał się nawet nieco teraz jeszcze i chcąc to pokryć, począł mówić dalej:

— Później, oczywiście, mówiliśmy o malowaniu i portretach. Ja zauważyłem, że panna Castelli ujęła

nico głowy panu Kopowskiemu, ona zaś odpowiedziała mi: „To nie ja, to natura!“

— To sprytna dziewczyna!

— I powiedziała to zupełnie głośno. Ja się zacząłem śmiać, wszyscy inni także, a ze wszystkimi i pan Kopowski. To musi być łatwy charakter. Oświadczył następnie, że jeśli dziś gorzej wygląda, niż zwykle, to dlatego, że się nie wyspał i że mu pilno w objęcia Orfeusza.

— Orfeusza?

— Tak. Pan Osnowski poprawił go bez ceremonii, ale on się nie zgodził na poprawkę, mówiąc, że przynajmniej z dziesięć razy był na Orfeuszu — i że pamięta dobrze. Te panie trochę się nim bawią, ale on taki ładny chłopiec, więc go rade malują. Jaka to jednak artystka ta panna Castelli! Jak mi zaczęła pokazywać pędzelkiem rozmaite płaszczyzny i linie na zaczęłym portrecie pana Kopowskiego, to aż dostała kolorów: „co to za linia!“ — „a jakie tu tony!“ Muszę jej oddać sprawiedliwość, że wyglądała przytem jak muza. Mówiła mi, że przede wszystkim lubi malować portrety, że o każdej twarzy myśli naprzód, jak o modelu, i że te głowy, w których jest coś niepospolitego, śnią się jej.

— Oho! będzie i pan naprzód się jej śnił, a potem pozował — jestem pewna! — odrzekła Marynia. — I to będzie dobrze.

Zawilowski zaś odpowiedział trochę niepewnym głosem:

— Powiedziała mi wprawdzie, że to jest podatek, który lubi ściągać od dobrych znajomych, sama jednak

wprost nie zwróciła się do mnie z żądaniem — i, żeby nie pani Broniczowa, nie byłoby o tem mowy.

— Pani Broniczowa wyręczyła muzę? — rzekł Połaniecki.

Marynia zaś powtórzyła:

— Owszem, to będzie dobrze.

— Dlaczego, pani? — spytał Zawilowski.

I spojrzal na nią wzrokiem zarazem pokornym i niespokojnym. Myśl, że ona może chce umyślnie popełnić go do innej, dlatego, iż odgadła, co dzieje się w jego sercu, pociągała go i zarazem przejmowała strachem.

— Bo — odpowiedziała Marynia — ja wprawdzie panny Linety prawie nie znam i sądzę tylko z pierwszych wrażeń i z tego, co o niej słyszę, ale mi się wydaje, że to niepospolita natura, i że jest coś głębokiego w jej sercu — więc dobrze, że się poznacie.

— Ja także sądzę z pierwszych wrażeń — odpowiedział uspokojony Zawilowski — i prawda, że mnie równie panna Castelli wydaje się mniej powierzchowną, niż pani Osnowska. Wogóle to są ładne i miłe kobiety — tylko — może ja nie umiem tego określić, bo nie znam dość świata, ale oto, wyszedłszy od nich, miałem takie uczucie, jakbym jechał w wagonie z ogromnie miłemi cudzoziemkami, które bawią się, rozmawiają bardzo sprytnie — ale nic więcej. Czuje się jednak w nich coś obcego. Pani Osnowska naprzykład, to zupełnie jak storczyk. Kwiat, bardzo szczególny i ładny, ale jakiś obcy. Panna Castelli — także. Tak!... i w niej niema nic swojskiego. Z niemi nie ma się uczucia, że się wyrosło z jednego pola, na jednym dżdżu i pod jednym słońcem...

— Jaką ten poeta ma intuicyę! — rzekł Połaniecki. Zawilowski zaś ożywił się tak, iż na jego delikatnem czole zarysowały się wyraźniej żyły w kształcie Y. Czuł, że w jego przyganie dla tamtych pań jest zarazem pochwała dla Maryni, i to czyniło go wymownym.

— Przytem — mówił dalej — istnieje jakiś instynkt, który odgaduje prawdziwą życzliwość ludzką. Tam się tego nie odgaduje. One są miłe, uprzejme — ale to wygląda tylko na formę i dlatego myślę, że tam człowiek szczery, który łatwo lgnie do ludzi, mógłby doznać wielu zawodów. To taka przykra i upokarzająca rzecz brać towarzyską plewę za ziarno! Co do mnie, to dlatego właśnie boję się ludzi; bo choć pan Połaniecki powiada, że ja mam intuicyę, ale ja wiem doskonale, że w gruncie rzeczy jestem naiwny. A boją mnie takie rzeczy ogromnie. Po prostu, nie znoszą tego moje nerwy. Pamiętam, że gdy, będąc jeszcze dzieckiem, zauważyłem, że ludzie są inni dla mnie przy rodzicach, a inni, gdy ich niema, była to jedna z większych przykrości mego dzieciństwa. Wydawało mi się to niekzemne i gryzło mnie tak, jakbym się sam czegoś niekzemnego dopuszczał.

— Bo pan ma poczciwą naturę — rzekła pani Bigielowa.

On zaś wyciągnął swoje długie ręce, któremi miał zwyczaj wymachiwać, gdy, zapomniawszy o swej nieśmiałości, mówił swobodnie, i zawołał:

— Ach, szczerłość! to i w sztuce i w życiu — jedyna rzecz!

Lecz pani Połaniecka poczęła bronić tamtych pań. Ludzie, a zwłaszcza panowie, są często niesprawiedliwi

i własne posądzenia, a nawet przypuszczenia, biorą za rzeczywistość. Co do pani Osnowskiej i panny Castelli, jak można je podejrzewać za drugim widzeniem? Są wesole, dobre, uprzejme, i z czegoż miałyby płynąć ta uprzejmość, jeśli nie ze szczerego serca.

Poczem, zwróciwszy się do Zawilowskiego, poczęła się z nim przekomarzać, trochę żartami, trochę naprawdę:

— A pan nie ma takiej poczciwej natury, jak mówi pani Bigielowa, bo te panie pana chwala, a pan je obmawia!...

Lecz Połaniecki przerwał jej ze zwykłą sobie żywością:

— Ach, ty jesteś także naiwna i wszystkich mierzysz własną miarą. Wiedże o tem, że zdawkowa dobroć i uprzejmość mogą płynąć także z egoizmu, który chce, żeby mu wesoło było i spokojnie.

Poczem rzekł do Zawilowskiego:

— Jeśli pan tak uwielbia szczerłość — to ot! tu siedzi! — masz pan prawdziwy typ!

— Wiem! wiem! — rzekł z zapalem Zawilowski.

— A chciałbyś, żeby było inaczej? — pytała, śmiejąc się, Marynia.

— Nie; nie chciałbym, ale swoją drogą, jakie to naprzykład szczęście, że nie jesteś za mała i że nie potrzebujesz nosić korków, bo gdybyś je nosiła, miałabyś ustawiczne zapalenie sumienia, że oszukujesz ludzi.

A Marynia, widząc, że wzrok Zawilowskiego skierował się do jej stóp, pochowała je mimowolnie pod stolec, i zmieniając przedmiot rozmowy, rzekła:

— A pański tom wyjdzie już podobno w tych dniach?

— Byłby już wyszedł — odpowiedział Zawilowski — ale dodałem jeden wiersz — i to wydanie opóźni.

— A można wiedzieć tytuł wiersza?

— Lilia.

— Czy nie Lilia-Lineta?

— Nie, pani. Nie Lilia-Lineta.

Twarz Maryni spoważniała. Łatwo jej było z odpowiedzi odgadnąć, że to jest wiersz do niej i o niej, więc nagle uczyniło się jej przykro, że to rozumie tylko ona sama a drugi Zawilowski i że skutkiem tego powstaje między nimi rodzaj tajemnicy, im tylko wiadomej. Zdawało jej się, że to jest czemś niezgodnem z tą jej szczerością, o której przed chwilą była mowa, i że jest jakimś grzechem względem „Stacha“. Po raz pierwszy dostrzegła, w jakie duchowe trudności może wpaść kobieta, choćby najbardziej zakochana w mężu i najniewinniejsza, jeśli tylko padnie na nią nieobojętny wzrok obcego mężczyzny. Bo jednak wtajemniczyć męża w swoje przypuszczenia wydało się jej niepodobieństwem. Po raz pierwszy zdjął ją pewien gniew na Zawilowskiego, ten zaś odczuł to natychmiast swymi nerwami artysty, tak jak barometr odczuwa zmiany pogody, jako zaś człowiek pozbawiony wszelkiego doświadczenia, wziął rzecz tragicznie. Wyobraził sobie, że Marynia zamknie mu drzwi, że go znienawidzi, że nie będzie mógł jej widywać — i cały świat przedstawił mu się od razu w żałobnych barwach. W jego artystycznej naturze istniała prawdziwa mieszanina egoizmu, fantazyi i istotnej tkliwości, niemal kobiecej, która potrzebowała ciepła i kochania. Poznawszy panią Połaniecką, przylgnął do niej z prawdziwym

egoizmem sybaryty, któremu takie uczucie jest miłe i który o niczem więcej nie myśli; następnie jego fantazyja wyniosła ją na poetyckie wyżyny i, spotęgowawszy stokrotnie rzeczywisty jej urok, uczyniła z niej nadziemską niemal istotę, a wreszcie wrodzona tkliwość, dla której osamotnienie i brak blizkiego serca były rzeczywistym bólem, wzruszyła się tak tą dobrocią, z jaką został przygarnięty, że z tego wszystkiego zrodziło się coś, mającego wszelkie pozory miłości. Brakło jednak temu uczuciu realnych podstaw. Zawilowski, jak zresztą większość artystów, obok zdolności do porywów tak idealnych, jak idealną jest sama dusza, miał zmysły satyra. Otóż zmysły te tym razem spały. Przybrał Marynię w tyle blasków, w tyle świętości, że nie pożądał jej. Gdyby, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, rzuciła mu się niespodzianie na szyję, przestałaby estetycznie dla niego być tem, czem była i czem ją chciał mieć, to jest istotą bez skazy. Tem bardziej też sądził, że na takie uczucie może sobie pozwolić i tem bardziej było mu teraz żal tego upojenia, które w tak wdzięczny sposób kołysało myśl i zapełniło mu pustkę życia. Tak mu było z tem dobrze, że, wróciwszy do siebie, widział jakąś postać kobiecą, do której nóg kładł duszę, że miał o kim marzyć i do kogo pisywać wiersze. Teraz zrozumiał, że jeśli pani Połaniecka domyśli się wyraźnie, co się w nim dzieje i jeśli on sam nie potrafi lepiej tego ukryć, niż dotąd, to stosunek ich nie będzie mógł się ostać i dawna pustka, tym razem jeszcze dotkliwsza, otoczy go znowu. Począł więc wysilać głowę, jakby temu zapobiedz i jakby nietylko nie utracić nic z tego, co dotąd miał, ale widy-

wać Marynię jeszcze częściej. W bujnej jego wyobraźni nie brakło sposobów, jakoż uczyniwszy ich pobieżny przegląd, znalazł i wybrał jeden, który, jak mu się zdawało, prowadził najprostszą drogą do celu.

— Zakocham się niby w pannie Castelli — rzekł sobie — a jej będę się zwierzał z moich udręczeń. To nas nietylko nie oddali, ale zbliży. Uczynię z niej moją patronkę.

I natychmiast począł układać rzecz, tak, jakby układał sztukę. Wyobraził sobie, że się naprawdę kocha w tamtej „sennej królownie“, że jest nieszczęśliwy i że wyznaje swoją tajemnicę Maryni, która go słucha pochylona, z wilgotnemi z łitości oczyma i, jak prawdziwa siostra, kładzie mu rękę na czoło. Ta gra fantazy wydała mu się tak oczywistą, a wrażliwość jego była tak wielką, że komponował wyrażenia, jakimi będzie spowiadał się Maryni — wynajdywał proste a rozdzierające — i czynił to z takim przejęciem, że się niemal wzruszał zupełnie szczerze.

Marynia zaś, wracając z mężem do domu, rozmyślała o tym wierszu, zatytułowanym „Lilia“, który opóźnił wydanie książki. Jako prawdziwa kobieta, trochę go była ciekawa, a trochę się go bała. Bała się też wogóle trudności, jakie mogła zrodzić w stosunku z Zawilowskim przyszłość.

I pod wpływem tych obaw rzekła:

— Wiesz, o czym ja myślę? że taka Lineta, to byłby jednak wielki los dla Zawilowskiego.

— Powiedz mi — odpowiedział Polaniecki — co

wam strzeliło do głowy z tym Zawilowskim i z tamtą włoską gidyą?

— Ja, mój Stachu, przecie nie swatam, tylko mówię, że nie byłoby to źle. Anetce Osnowskiej trochę się pali w głowie, to prawda, ale ona taka żywa, jak iskra.

— Narwana, nie żywa, ale wierz mi, że nie taka naiwna, jak się wydaje, i we wszystkim ma swój osobisty planik. Czasem myślę, że ją panna Castelli tyle obchodzi, ile mnie, i że na dnie tego wszystkiego jest coś innego.

— Cóżby mogło być?

— Nie wiem, a nie wiem może dlatego, że i to mnie mało obchodzi. Wogóle nie mam zaufania do tych kobiet.

Dalszą rozmowę przerwał im Maszko, który zajechał właśnie dorożką przed ich dom, i ujrawszy ich, pośpieszył powitać Marynię, następnie rzekł do Połanieckiego:

— Dobrze, żeśmy się spotkali, bo jutro wyjeżdżam na parę dni, a że dziś termin, więc przynoszę ci pieniądze.

Poczem zwrócił się do Maryni:

— Byłem właśnie u ojca pani. Pan Pławicki doskonale wygląda, ale mówił mi, że tęskni za wsią i za gospodarstwem, dlatego namyśla się, czy nie kupić jakiego mająteczku pod miastem. Powiedziałem mu, że jeśli wygramy sprawę, to może się utrzymać przy Płoszowie.

Maryni nie w smak była ta rozmowa, w której przebijała zresztą lekka ironia, więc nie chciała jej pod-

trzymywał. Po chwili też Połaniecki zabrał Maszkę do swego gabinetu.

— Wszystko więc dobrze idzie? — rzekł.

— Oto jest rata — odpowiedział Maszko — jaka przypada od twojej sumy. Bądź łaskaw pokwitować.

Połaniecki siadł do biurka i napisał pokwitowanie Maszko zaś rzekł:

— A teraz inna sprawa. Sprzedałem ci niegdyś dąbrowę na Krzemieniu, z warunkiem, że będę mógł ją odkupić, zwróciwszy cenę i umówiony procent. Oto cena i umówiony procent. Spodziewam się, że nie masz nic do nadmienienia, ja zaś mogę ci tylko podziękować, boś mi oddał wówczas rzeczywistą usługę i — jeśli kiedyś będziesz potrzebował czegoś odemnie — proszę cię — bez żadnej ceremonii! — proszę do mnie jak w dym — usługa za usługę! Wiesz, że lubię być wdzięczny!

— Ta małpa poczyna mnie protegować! — pomyślał Połaniecki.

I gdyby nie był u siebie, może wypowiedziałby głośno tę cichą uwagę, lecz się pohamował i rzekł:

— Nic nie mam do nadmienienia, ponieważ taki był kontrakt. Nie traktowałem też tego nigdy jako interesu.

— Tem bardziej umiem to cenić — odpowiedział łaskawie Maszko.

— A wogóle, co u ciebie słyhać? — spytał Połaniecki. — Widzę, że płyniesz wszystkimi żaglami. Jak sprawa?

— Ze strony instytucji dobroczynnych występuje jakiś młody adwokacina, nazwiskiem Śledź. Piękne nazwisko, prawda? Gdybym kota tak nazwał, toby trzy dni mia-

czał. Ale ja tego śledzia opieprzę i zjem. Pytasz, jak sprawa? Sprawa stoi tak, że po jej ukończeniu będę się mógł prawdopodobnie wycofać z adwokatury, która zresztą nie jest zajęciem odpowiednim dla mnie — i osiąść stale w Krzemieniu.

— Z gotówką w kieszeni?

— Z gotówką w kieszeni — i to z grubą! Mam dosyć adwokatury. Ostatecznie kto wyszedł z ziemi, tego do ziemi ciągnie. To się dziedziczy razem ze krwią. Ale na teraz dość o tem. Jutro, jak ci powiedziałem, wyjeżdżam i polecam wam moją panią, tembardziej, że pani Krasławska pojechała w tej chwili do okulisty do Wiednia. Wybieram się jeszcze do Osnowskich prosić, żeby również o niej pamiętali.

— Chętnie, owszem! — odpowiedział Połaniecki.

Potem przyszła mu na pamięć rozmowa z Marynią, więc spytał:

— Ty dawno znasz Osnowskich?

— Dość dawno. Chociaż żona moja zna ich jeszcze lepiej. On grubo bogaty człowiek; miał jedynaczkę siostrę, która umarła, i skąpca stryja, po którym wziął ogromną fortunę. Co do niej — cóż ci powiedzieć? — czytywała jeszcze jako panna co jej w rękę wpadło, miała pretensye do rozumu, do artyzmu — słowem do wszystkiego, do czego można mieć pretensye, a swoją drogą kochała się w Kopowskim — ot, masz ją całą.

— A pani Broniczowa i panna Castelli?

— Panna Castelli podoba się lepiej kobietom, niż mężczyznom, zresztą nic o niej nie wiem, prócz tego,

co mówiono, że tenże Kopowski starał się, czy stara o nią, a pani Broniczowa...

Tu Maszko począł się śmiać:

— Panią Broniczową khedyw wprowadzał osobiście na piramidę Cheopsa, nieboszczyk Alfons hiszpański mówił jej codzień w Cannes: „Bonjour, madame la comtesse!“ Musset pisywał jej w 56 roku wiersze w albumie, a Moltke przesiadywał u niej na kufunku w Karlsbadzie — słowem: przez imaginację jeździła na wszelkie koronacye. Teraz, od czasu gdy panna Castelli dorosła, a raczej wybujała na pięć stóp i coś tam cali, ciocia „Ślodyczka“ odbywa te imaginacyjne podróże, już nie na własny rachunek, ale siostrzenicy, w czem jej od pewnego czasu pomaga pani Osnowska tak gorliwie, że aż trudno zrozumieć, jaki ma w tem cel. Oto wszystko, chyba, że chcesz wiadomości o nieboszczyku panu Broniczu, który umarł sześć lat temu, nie wiadomo na jaką chorobę, bo pani Broniczowa za każdym razem wynajduje inną, dodając prócz tego, że był to ostatni z Rurykowiczów, nie dodając zaś, że przedostatni, to jest jego ojciec, był w swoim czasie rządcą u Rdułtowskich, i że na nich dorobił się fortuny. No, skończyłem... Vanity's fair!... Bądź mi teraz zdrow, trzymaj mi się dobrze, i w razie potrzeby licz na mnie. Gdybym był pewien, że taka potrzeba prędko zajdzie, zmusiłbym cię do przyrzeczenia, że się do nikogo innego nie udasz, tylko do mnie. Do widzenia!

To rzekłszy, Maszko uściskał rękę Połanieckiego z nieopisaną łaskawością — i wyszedł, Połaniecki zaś, wzruszywszy ramionami, rzekł:

— Dobrze, że mnie nie poklepał po ramieniu!... Vanity's fair! vanity's fair! Taki niby sprytny człowiek, a nie widzi takiej samej próżności w sobie, jaką wyśmiewa w innych. Jaki on był inny tak jeszcze niedawno! Omal nie przestał udawać, ale jak bieda przeszła, dyabeł wziął górę.

Tu przypomniało mu się, co Waskowski mówił niegdyś o próżności, o komedyanctwie, poczem pomyślał:

— A jednak takim ludziom u nas się powodzi!

XXIII.

Pani Osnowska zapomniała tak zupełnie o swoich „florencjo - rzymskich“ wieczorach, że była zdziwiona, gdy jej je kiedy mąż przypomniał. Jakies wieczory! ani jej w głowie! Ona ma teraz inne zajęcie, które się nazywa „oswajaniem orła.“ „Jeśli kto nie widzi, że *orzeł* i Lineta dla siebie stworzeni, to z przeproszeniem męża i pana, ma bardzo krótki wzrok, ale na to niema rady. Mężczyźni wogóle wielu rzeczy nie rozumieją, bo im brak poczuć! Zawilowski może być pod tym względem wyjątkiem, ale gdyby Marynia Połaniecka powiedziała mu po przyjaźni, żeby się staranniej ubierał i zapuścił brodę, toby było doskonale! Castelka taka nawskróś estetyczna, że ją byle co razi, choć z drugiej strony on ją porywa — mało powiedzieć! — wprost hipnotyzuje!... I przy jej naturze — niema w tem nic dziwnego!“

Pan Osnowski, słuchając takiego szczebiotania, rozpływał się z zachwyty i korzystając ze sposobności, starał się opanować ręce żony, by je pokrywać pocałunkami aż do łokci; raz jednak zadał jej to zupełnie naturalne pytanie, które i Połaniecki zadał Maryni:

— Powiedz mi, co ci na tem zależy?

A pani Aneta odrzekła z kokieteryją:

— La reine s'amuse! To nie sztuka pisać książki. Byle trochę talentu — to i dosyć; ale przeprowadzić w życiu to, o czem mówią książki, daleko większa sztuka, a przytem, co za zabawa!...

Po chwili zaś dodała:

— Może też i mam jakiś osobisty cel, a jeśli mam, to niech się go Józio domyśli.

— Powiem do ucha — odpowiedział Osnowski.

Ona zaś nadstawiła ucho z figlarną miną, mrugając przytem z ciekawości swemi fiołkowemi oczyma.

Lecz Osnowski po to tylko zbliżył usta do jej ucha, by je ucałować, za całą zaś tajemnicę powtórzył jedynie:

— La reine s'amuse!

I była w tem słuszność. Pani Osnowska mogła mieć swoje osobiste cele w zbliżaniu Zawilowskiego do „Castelki,“ a swoją drogą to wytwarzanie romansu w życiu i rola małej Opatrzności zajmowały ją i bawiły ogromnie.

W tych opatrznościowych zamiarach wpadała też często i do Maryni Połanieckiej, by się czegoś o „orle“ dowiedzieć, i najczęściej wracała z dobrą otuchą, Zawilowski bowiem, chcąc uspić podejrzania Maryni, coraz więcej mówił z nią o pannie Linecie. Dyplomacya jego okazała się tak skuteczną, że gdy raz pani Osnowska zapytała wprost Marynię, czy się Zawilowski w niej nie kocha, ta odpowiedziała, śmiejąc się:

— Musimy się z tem pogodzić, moja Anetko, ale ani we mnie, ani w tobie. Jabłko zostało przyznane Linecie, a nam nie pozostaje nic, jak albo płakać, albo się pocieszyć.

Z drugiej strony panna Castelli żyła w ustawicznym wmawianiu i poddawaniu tak uczuć, jak myśli, których sama miłość własna nakazywała jej się nie zapierać. Od rana do wieczora słyszała, że ten „orzel“ o szerokich skrzydłach kocha się w niej, że jest u jej nóg i że taka wybrana, taka wyjątkowa istota, jak ona, nie może być na to nieczułą. Zbyt jej to pochlebiało, by mogła być nieczułą. Malując Kopowskiego, podziwiała wprawdzie zawsze „przepyszne płaszczyzny“ na jego twarzy — i lubiła go, bo jej dostarczał pola do rozmaitych *powiedzeń*, które powtarzano potem jako dowód sprytu i dowcipu; lubiła go z różnych powodów, ale wszakże i Zawilowski nie był brzydkim chłopcem, choć nie nosił brody i nie ubierał się dość starannie. A przytem tyle mówiono o jego skrzydłach i o tem, że taka dusza, jak jej, powinna go zrozumieć. Mówili to wszyscy, nie tylko Anetka! Pani Broniczowa, która nie rozumiała niegdyś, jak się mógł ktoś w niej nie kochać, przeniosła później tę nieszczęśliwą pewność siebie na siostrzenicę — i tem samym przyłączyła się do zdania pani Osnowskiej, haftując przytem kanwę rzeczywistości kwiatami własnego pomysłu. Wreszcie i pan Osnowski zapisał się do chóru. Z miłości dla żony, kochał on „Castelkę“, panią Broniczową i gotów był kochać wszystko, co miało dalszy lub bliższy związek z „Anetką,“ więc wziął sprawę do serca. Zawilowski był mu sympatyczny; wiadomości zaś, jakie o nim zebrał, brzmiały pomyślnie. Dowiedział się wogóle o nim tylko tyle, że był odludek, ambitny i uparty we wszystkim, co zamierzy... a oprócz

tego skryty i bardzo zdolny; gdy zaś paniom przypadło to wszystko do smaku, jał pan Osnowski zupełnie poważnie rozmyślać: „Czyby to nie było dobrze?“ Zachowanie się Zawilowskiego usprawiedliwiała poniekąd poważny pogląd na rzeczy, począł bowiem od niejakięgo czasu częściej nawiedzać „wspólny salon“ i więcej rozmawiać z panną Linetą. Czynił wprawdzie to pierwsze zawsze na uprzejme zaproszenia pani Osnowskiej, ale drugie płynęło z jego tylko woli. Pani Aneta zauważyła też, że wzrok jego zatrzymuje się coraz uważniej na złotawych włosach i sennych powiekach Castelki, a oczy jego odprowadzają ją, gdy przechodzi przez salon. On zaś rzeczywiście począł jej się przypatrywać, trochę przez dyplomacyę, a trochę przez ciekawość.

Rzecz jednak stała się o wiele więcej poważną, gdy wyszedł pierwszy tom jego poezyi. Wiersze już poprzednio zwracały na siebie uwagę i mówiono o nich dużo, wszelako wrażenie rozdrabniało się przez to, że wychodziły w znacznych odstępach czasu i w rozproszeniu. Teraz książka uderzyła ludzi w oczy. Był w niej blask, siła i szczerość. Język miał w sobie niepożytość i wagę metalu, a mimo tego giął się posłusznie i przybierał wszelkie najsubtelniejsze kształty. Wrażenie rosło. Wkrótce pochwalny pomruk zmienił się w pełen podziwu gwar. Ze zwykłą w takich razach przesadą, wynoszono teraz dzieło nad wartość, a w młodym poecie poczęto przewidywać przyszłego spadkobiercę wielkiej sławy i wielkich buław. Nazwisko jego przeszło z redakcyjnych gabinetów do publiczności. Poczęto o nim mówić wszędzie, zajmować się nim i szukać go, ciekawość zaś stała

się tem większa, że osobiście był mało znany. Stary, bogaty pan Zawilowski, ojciec panny Heleny, który miał zwyczaj mawiać, że istnieją może dwie największe plagi na świecie, to jest podagra i ubodzy krewni, powtarzał teraz każdemu, kto go spytał: „Mais oui, mais oui — c'est mon cousin!“ — i takie oświadczenie miało również swą towarzyską wagę dla wielu osób, a między innymi pierwszorzędną dla pani Broniczowej. Pani Osnowska wraz z panną Castelli przestały cierpieć nawet z powodu mało „gustownej“ szpilki w krawacie Zawilowskiego, bo teraz wszystko w nim mogło już uchodzić za oryginalność. Bolało je jeszcze skrycie, że mu było na imię Ignacy. Wolałyby, żeby miał inne, jakoś bardziej odpowiednie do sławy i poezyi; gdy jednakże pan Osnowski który z Metz wyniósł trochę łaciny, wytłómaczył im, że to znaczy „Ognisty,“ oświadczyły, że jeśli tak, to co innego — i pogodziły się z Ignacym.

Szczera i wielka radość panowała z powodu rozgłosu książki u Bigielów, u Połanieckich i w biurze. W biurze nie było ludzi zazdrosnych. Stary kasyer, Wałkowski, agent Abdulski i drugi buchhalter, Późniakowski, dumni byli z kolegi, jakby jego sława opromieniała również i Dom. Wałkowski mówił nawet: „Ależ zadaliśmy ludziom szyku!“ Bigiel rozważał przez dwa dni, czy Zawilowski może wobec tego wszystkiego poprzestać na skromnej posiadzie w Domu handlowym pod firmą „Połaniecki i Bigiel,“ ale Zawilowski, zapytany przez niego, odpowiedział:

— A to dobre! panie drogi! To za to, że trochę ludzie gadają, chcecie mnie pozbawić kawałka chleba i najmilszego w świecie koleżeństwa. Nakładcy nie zna-

lazłem i żebym nie był waszym buchhalterem, nie mógłbym być książki wydać.

Na taki argument nie było co odpowiedzieć — i Zawilowski został w biurze. Bywał tylko coraz częściej gościem w domu i u Bigielów i u Połanieckich. U Osnowskich nie pokazał się po wyjściu książki cały tydzień, jak gdyby coś zbroił. Ale pani Bigielowa i Marynia namawiały go, żeby poszedł, on zaś miał skrytą ochotę, więc któregoś dnia wybrał się tam na wieczór.

Został jednak panie w chwili wyjazdu do teatru. Chciały koniecznie zostać, ale nie zgodził się i w końcu stało na tem, co i pani Anecie i panie Castelli sprawiło widoczną radość, mianowicie, że pojedzie razem z niemi. Tak się też stało: „Józio, jeśli zechce, weźmie sobie bilet do krzeseł.“ I Józio wziął bilet do krzeseł. W czasie przedstawienia Zawilowski siedział na przodzie łoży, razem z panną Linetą, bo pani Osnowska uparła się, że razem z panią Broniczową będzie im „matkowała.“ — „Wy sobie rozmawiajcie o czem chcecie, a jeśli kto przyjdzie, to już ja go tak zaterkoczę, że nie będzie wam mógł przeszkodzić.“ Oczy ludzkie zwracały się często na tę łożę, gdy się dowiedziano, kto w niej siedzi. I panna Castelli czuła, że otacza ją jakby światło; czuła, że ludzie nietylko na niego patrzą, ale zarazem pytają się: kto jest ta głowa o złotawych włosach i sennych powiekach, do której on się pochyla i mówi? Sama zaś, spoglądając chwilami na niego, mówiła sobie, że gdyby nie ta zanadto wystająca broda, toby był zupełnie ładny, bardzo delikatny profil, i że tę brodę mógłby przykryć zarost... Pani Osnowska ze swojej

strony dzielnie wywiązywała się z obietnicy, i gdy nadszedł Kopowski, zaterkotała go tak, że zaledwie miał czas przywitać się z panną Castelli i rzec do Zawilowskiego:

— A pan, to pisuje wiersze.

Po dokonaniu zaś tego szczęśliwego odkrycia, zdołał jeszcze dodać, ale raczej pod postacią monologu:

— Jabym ogromnie lubił wiersze, ale dziwna rzecz, jak tylko czytam wiersze, to zaraz myślę o czem innym.

Panna Castelli, odwróciwszy ku niemu twarz, rzuciła mu długie spojrzenie — i niewiadomo, co przeważało w tem spojrzeniu: złośliwość kobiety, czy nagły podziw artystki — albowiem ta pozbawiona mózgu głowa, wychylająca się z głębi łoży, wyglądała jednak na czerwonym tle ścian, jak jakiś mistrzowski pomysł malarski.

Po przedstawieniu pani Osnowska nie chciała puścić Zawilowskiego — i pojechali razem na herbatę. Zaledwie jednak stanęli w domu, pani Broniczowa poczęła mu robić wyrzuty:

— Pan jest niegodziwy człowiek, i jeśli Linetce się co stanie, to będzie na pańskim sumieniu. Dziecko mi nie je, nie śpi, tylko czyta pana i czyta...

Pani Osnowska zaś natychmiast dodała:

— Tak! Mam i ja się o co skarżyć: zagrabiła pańską książkę i nie chce nikomu ani na chwilę jej dać, a jak się gniewamy, to, wie pan, co odpowiada? — „To moje! to moje!”

A panna Castelli, jakkolwiek nie miała w tej chwili w rękę książki, przycisnęła je do piersi, jakby chcąc czegoś bronić, i odrzekła cichym, miękkim głosem:

— Bo to moje! moje!...

Zawiłowski spojrział na nią i uczył, że coś w nim jakby zadrżało.

Ale wracając późno, przechodził koło okien Połanieckich, w których się jeszcze świeciło. Po przedstawieniu i rozmowie u Osnowskich czuł jakiś zawrót głowy. Teraz widok tych okien oprzytomnił go. Doznał nagle takiego błęgiego wrażenia, jakiego się doznaje, gdy się myśli o czemś bardzo dobrem i bardzo drogiem. Ogromnie czyste uwielbienie dla Maryni ozwało się w nim z dawną siłą. Ogarnęła go taka łagodna egzaltacya, w której zmysły usypiają, a człowiek staje się niemal wyłącznie duszą — i wrócił do domu, szepcząc ustępy z wiersza „Lilia“, najbardziej egzaltowanego, jaki kiedykolwiek w życiu napisał.

A u Połanieckich świeciło się jeszcze dlatego, że zaszło coś, co Maryni wydało się owem wyglądanem miłosierdziem bożem.

Wieczorem, po herbacie, siedziała, łamiąc jak zwykle głowę nad dziennymi rachunkami, gdy nagle złożyła ołówek. Po chwili przybladła — ale zarazem twarz jej stała się jasna — i trochę zmienionym głosem rzekła:

— Stachu!...

Jego zdziwił trochę jej głos, więc zbliżył się i spytał:

— Co tobie jest? Trochęś blada.

— Chodź bliżej, mam ci coś powiedzieć.

I objąwszy rękoma jego głowę, poczęła mu coś szeptać do ucha — a on słuchał, następnie zaś, pocałował ją w czoło, rzekł:

— Tylko się nie wzruszaj, bo sobie możesz zaszkodzić...

Ale i w jego słowach czuć było pewne wzruszenie... Przez czas jakiś chodził po pokoju — przypatrując się żonie — w końcu pocałował ją znów w czoło:

— Ludzie zwykle sobie życzą pierwszego syna — rzekł — ale ty mi pamiętaj, żeby była córka. Damy jej na imię Litka.

Oboje nie mogli jednak długo usnąć tej nocy — i oto dlaczego Zawilowski widział światło w ich oknach.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

Stanford University Libraries



3 6105 012 052 531

PG
7158
S4
1883

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
CECIL H. GREEN LIBRARY
STANFORD, CALIFORNIA 94305-6004
(415) 723-1493

All books may be recalled after 7 days

DATE DUE

JUN 26 1997
JUL 15 1997

THE UNIVERSITY OF CHICAGO PRESS



THE UNIVERSITY OF CHICAGO PRESS